Wydanie na święta

NAJLEPSI AUTORZY, DUŻO DO CZYTANIA

PROROSYJSKI JAK TUSK, CZYLI RESECIARZE OBNAŻENI



W TYGODNIKU „SIECI" I TELEWIZJI wPOLSCE24 REPORTAŻ O AFERZE PEDOFILSKIEJ W PLATFORMIE OBYWATELSKIEJ





SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

14 (696) 2026
30 marca – 6 kwietnia 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

NASZE ŚLEDZTWO

DOWODY MĘKI I ZMARTWYCHWSTANIA

NIE MA TAKIEGO ARCHEOLOGICZNEGO ODKRYCIA, KTÓRE ZAPRZECZYŁOBY CHOĆBY JEDNEMU ZDANIU Z BIBLII

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 14
Numer w sprzedaży do 7 IV 2026 r.

epresa.pl

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość
czytania SIECI
na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl e4f04804a5



Jak III RP celebruje śmierć

Nagroda, którą od czytelników czasopisma „Wysokie Obcasy” dostała ginekolog Gizela Jagielska, znana z tego, że dokonała aborcji małego Felka w dziewiątym miesiącu ciąży jego matki w szpitalu w Oleśnicy, nie przestaje wywoływać polemik.

Nic w tym dziwnego. Sytuacja, w której śmierć dziecka przedstawia się jako owoc czynu bohaterskiego, bo Jagielska dostała nagrodę „Superbohaterki”, jest przykładem całkowitej demoralizacji społeczeństwa i jego patologii. Jasne jest, że ludzie będą na to reagować.

Trzeba to wyraźnie podkreślić, bo niektóre lewicowo-liberalne media kłamią w tej sprawie: kiedy Jagielska zabiła małego Felka, wstrzykując mu chlorek potasu do serca, życie jego matki nie było zagrożone. Felek cierpiał na wrodzoną łamliwość kości, ale mógł przeżyć poza łonem matki, bo w tym momencie w Polsce z tą chorobą żyje ponad 1 tys. osób. Szpital w Łodzi zaproponował matce poród za pomocą cesarskiego cięcia oraz opiekę dla dziecka w hospicjum perinatalnym. Kobieta odmówiła i prawdopodobnie namówiona przez kogoś wyjechała do Oleśnicy, do lekarki, która jest gotowa wykonywać aborcje w stylu niemieckich zbrodniarzy. Wbrew kłamstwom salonu liberalnego, nie było powodu medycznego do zabicia Felka – to był akt ideologiczny.

Uroczystość wręczenia nagrody dla „Superbohaterki” Gizeli Jagielskiej była również aktem ideologicznym. Ci, którzy oglądali nagrania z „uroczystości”, mogli dostrzec chorą atmosferę, która tam panowała. Sceny typowe dla tego typu imprez organizowanych przez magazyny kobiece, przemówienia o „odwadze” i „dumie”, czarująca warszawska gala pełna elitarnego uroku... i wszystko to zbudowane na celebracji śmierci! Jagielska, która mówi, że ta nagroda da jej „jeszcze większego kopa do działania” i która później dostaje od innych proaborcyjnych aktywistek pompy próżniowe do aborcji z komentarzem, że jest „jedną z niewielu lekarek w Polsce, które z nich rzeczywiście korzystają”. Po prostu odczłowieczenie.

Czasy, gdy lewicowo-liberalny salon III RP propagował aborcję z wyrafinowaną strategią, świadomy trudności tematu („aborcja jest trudną sprawą, ale...”), dawno minęły. Teraz ten salon otwarcie celebruje zabijanie nienarodzonych. Donald Tusk i jego była minister zdrowia Izabela Leszczyna zapewnili ochronę prawną swoimi wytycznymi, teraz można zabijać dzieci aż do momentu narodzin, jak uczyniono w Oleśnicy.

A wszystko to dzieje się w czasie, gdy Polska przeżywa poważny kryzys demograficzny. Zamiast wprowadzić politykę rządową, która zwiększy liczbę noworodków, tworzymy społeczeństwo, które celebruje śmierć jako „heroizm”.

Goran Andrijanić



Autopromocja

eprasa.pl e4f04804a5

SIECI

spis treści



26 Efekt Czarnka
Piotr Gursztyn



41 Pierwsza dama dyplomacji
Relacja z Waszyngtonu Marcina Wikły



56 Pokolenie Lisa i Wojewódzkiego
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

5 **WIELKANOCNY FELIETON**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WIELKANOC (NIE)TAKA WESOŁA**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **NIE MA ZŁEGO CZASU NA RODZENIE DZIECI!**
Jan Pietrzak

12 **KOLEJNA PRÓBA „DOMKNIĘCIA SYSTEMU”**
Samuel Pereira

13 **CICHY PRAGMATYZM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JULII BORKOWSKIEJ**
Michał Korsun

16 **SAFE JAKO „REPARACJE”?**
Arkadiusz Mularczyk

17 **OPOWIEŚĆ WIELKANOCNA**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **NA TROPACH ARCHEOLOGII BIBLIJNEJ**
Grzegorz Górny

KRAJ

22 **RESECIARZE OBNAŻENI**
Marek Pyza

26 **EFEKT CZARNKA**
Piotr Gursztyn

29 **PEDOFIL OBYWATELSKI**
Stanisław Pyrzanowski, Łukasz Wróblewski

32 **MARCIN POLICMAJSTER**
Stanisław Janecki

ŚWIAT

34 **KTO WYGRYWA WOJNĘ W IRANIE?**
Marek Budzisz

NA WIELKANOC

38 **JAK MATKA Z MATKĄ NIE TYLKO O ŚWIĘTACH**
Rozmawiają Emilia Wierzbicki i Dorota Łosiewicz

41 **PIERWSZA DAMA DYPLOMACJI**
Relacja z Waszyngtonu Marcina Wikły

44 **NIEJASNA GRA NOBLISTKI**
Łukasz Wróblewski

48 **SPIDER-MAN, TOLKIEN I „MANIFEST KOMUNISTYCZNY”**
Maciej Walaszczyk

52 **PREZYDENTURA NIE DLA KOBIETY**
Stanisław Janecki

56 **POKOLENIE LISA I WOJEWÓDZKIEGO**
Konrad Kołodziejski

59 **POLACY WRACAJĄ**
Aleksandra Rybińska

62 **ŻYCZMY SOBIE ZDROWIA**
Dorota Łosiewicz

66 **WYŻEJ, DALEJ I WYŻEJ**
Z Zoją Skubis rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

69 **„SPRAWY HONOROWE”. POJEDYNKI W DWUDZIESTOLECIU MIĘDZYWOJENNYM**
Stanisław Płużański

73 **ZIMĄ WE FLORENCJI**
Jan Rokita

76 **UKRZYŻOWANIE WŚRÓD CHMUR KŁĘBIASTYCH**
Przemysław Barszcz

79 **SŁODKA WIELKANOC**
Anna Monicka

82 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

NA KONIEC

84 **FABRYCZNE USTAWIENIA KOSMOSU**
Robert Tekieli

86 **SOCJOPATA TUSK**
Wojciech Reszczyński

87 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

88 **WIELKANOC JEST W NAS**
Aleksander Nalaskowski

89 **FERGUSSON, SIMEONE I NASI**
Ryszard Czarnecki

90 **SKAŻENI PRZEZ GRĘ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl e4f04804a5

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wielkanocny felieton

„Dwójki" słucham ze względu na muzykę. Nie zawsze jednak wyłączam, kiedy trafiam na audycje słowne. Dzięki nim dowiaduję się, co należy oglądać, co czytać, co myśleć i jak mówić. A może na odwrót? Jak by nie było, sprawy ważne.

– Religie się skończyły, ideologie się skończyły, nadszedł czas sztucznej inteligencji – usłyszałem wysoki głos, uruchamiając samochód.

– Zastąpi dawne wiary? – zainteresowała się prowadząca.

– Już je zastąpiła i jest nowym, pojemniejszym bogiem w HD5. Pokazujemy to w spektaklu!

– Wizja, którą stworzyłeś jest tak przekonująca...

– To także dzieło scenarzystki, która głęboko zagląda w psychikę AI – zapiszczał reżyser. – Tak, poświęciłam temu wiele czasu – zabrzmiał głęboki bas. – Właściwie zaczęłam ją badać, od kiedy zobaczyłam komputer...

Potem usłyszałem, że kiedy wszystkie przejawy sztucznej inteligencji zjednoczą się, a ich moc spotęguje wykładniczo, świat objawi się nam w całości i odsłoni wszystkie tajemnice. Będziemy trwali w przejrzystości software, a hardware nie będzie już nam potrzebny.

Wyobrażenie kreacji, która przerośnie i opanuje nas, ma długi rodowód. Współcześnie to topos szalonego naukowca, który stwarza nieposłuszne sobie monstrum. Pierwszym jego wcieleniem jest Frankenstein z powieści Mary Wollstonecraft Shelley o tym tytule, która żyje w filmowych, także udanych adaptacjach, jak ostatnia z nich nakręcona przez Guillerma del Toro.

Prototypem szalonego naukowca jest uczeń czarnoksiężnika uruchamiający moce, nad którymi nie jest w stanie zapanować. Pamiętamy go z wiersza Goethego, ale jego inspiracje sięgają starożytności.

Podobny jest wywodzący się z tradycji żydowskiej wątek golema, stworzonej przez człowieka bezdusznej istoty, karykatury Boskiego dzieła. Największą sławę zdobyła legenda o golemie z Pragi, który miał bronić prześladowanych żydów, ale ogarnięty szałem zwrócił się przeciw nim.

Wszystkie te podania mają wspólny rdzeń: pychę człowieka, który usiłuje dorównać Bogu w akcie tworzenia, a jego dzieło obraca się przeciw niemu. Pokrewna im jest biblijna opowieść o wieży Babel, która sięgać miała nieba, ale Bóg pomieszał języki ludzi, uniemożliwiając im kontynuację budowy.

Od czasów romantyzmu topos ten został przemodelowany scjentystycznie, a w naszych czasach przyjął wizerunek sztucznej inteligencji. Przytoczony na początku bełkot pokazuje, że ma ona także (liczne) grono wyznawców. Również jej negatywna wersja, czyli bunt ludzkich tworów przeciw swoim konstruktorom, wyrasta z hybris, wyobrażenia, że możemy zająć miejsce Stworzyciela. Rojenia o AI, która zaczyna egzystować niezależnie i albo eksterminuje nas, albo czyni niewolnikami, ma tyle samo wspólnego z rzeczywistością, co mit golema albo Frankensteina. Mają sens jako przypowieść – tracą go, jeśli zaczynamy traktować je dosłownie. Są płodem infantylnej ekstrapolacji i uogólnienia zjawisk, z którymi mamy do czynienia. Skoro zrobiliśmy tyle, to niedługo zrobimy wszystko, jeśli coraz dalej skaczemy, to niedługo będziemy skakali nieskończenie daleko.

Już ponad 100 lat temu dostaliśmy do ręki dowody kwestionujące finalistyczną wizję nauki, co było oczywiste przy elementarnym namyśle i wcześniej, ale fetysz postępu marginalizował zdrowy rozsądek. Rozwój nauki odsłania coraz większe przestrzenie naszej niewiedzy i braku rozpoznania tego nawet, co odkryliśmy.

Tzw. sztuczna inteligencja to niezwykle skuteczne narzędzie, nad którym jak nad całą naszą cywilizacją coraz mniej panujemy. Czy jednak w całości kontrolujemy elementarne wymiary naszej kultury: język albo zjawiska społeczne? Czy ktoś z nas w całości panuje nad życiem wielkiego miasta?

Jak wszystkie ludzkie odkrycia AI ma swoją ciemną stronę. Jedyną skuteczną metodą nadzorowania jej jest odwołanie się do sprawdzonych zasad, które leżą u fundamentów cywilizacji: religii, porządku aksjologicznego, tradycji. Systemy te zmieniają swoją postać, ale w zasadniczym wymiarze pozostają tożsame z tym, co znali nasi przodkowie. Ich mądrość wykracza ponad to, co jest w stanie ogarnąć indywidualny rozum i pozwala odnajdywać właściwe miary wobec nieznanych wcześniej fenomenów. Nie znaczy to, że uwalnia nas od dramatyzmu związanych z tym wyborów.

Nie rozumieją tego wyznawcy postępu, których groteskowych, acz wcale nieodbiegających od normy przedstawicieli pokazałem na początku. We własnym mniemaniu reprezentują wyższy poziom ludzkiej ewolucji, chociaż nie rozumieją głębszego znaczenia swojej postawy, sensu podstawowych instytucji cywilizacji ani pojęć, którymi się posługują.

Święto zmartwychwstania odsłania nieprzeniknioną nigdy do końca tajemnicę wcielenia Boga-człowieka i jego ofiary, wskazuje głębię ludzkiej egzystencji otwartej na transcendencję, która nie wyczerpuje się sama w sobie. Skonfrontowane z tym doświadczeniem opowiastki o sztucznej inteligencji ujawniają swoją żałosną trywialność.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e4f04804a5



Sygnalista nadaje

„Pedofilia Obywatelska”. Takie ohydne hasło pojawiło się w internetach i jest to kolejny dowód, że ktoś powinien je kontrolować, skoro nie można ich zamknąć. Niech wreszcie pilnuje ich Krzysiek Gawkowski albo ktoś mądrzejszy od niego z Brukseli. Bo dzieją się tam rzeczy niesłychane – ataki na premiera, jego rząd, nawet Unię Europejską. Teraz trwa haniebny atak na całą KO jako „Pedofilię Obywatelską”. Zdecydowanie ostrzegamy: nie powtarzajcie tego, nie podawajcie dalej. Czyli postępujcie identycznie jak w przypadku hasła „Giertych debil”.

W ramach tej ohydnej kampanii pomówień zaatakowano wielu wartościowych działaczy demokratycznych. Zwłaszcza panią Kamilę z Kłodzka. Jak można atakować tak wartościową osobę, którą rekomendował człowiek krystalicznie uczciwy, czyli Tomek Siemoniak? Zresztą rekomendował on kilkaset osób – jak sam opowiadał – więc wszelkie oskarżenia to bezpodstawne ataki frustratów politycznych. Pani Kamila była też bliską współpracownicą osoby wicemarszałkowskiej Wielichowskiej Moniki. Zresztą co kogo obchodzi prywatne życie pani Kamili? To jej sprawa, kogo i jak kocha. Znowu to wścibskie zaglądanie do łóżek, a nawet psich kojców.

Dziwną postawą wykazała się w tej sytuacji artystka wokalna ***Doda***. Skrzyknęła manifestację przed Sejmem pod hasłem: „Mamy dość! Stop cierpieniu zwierząt w Polsce”. Ale kto powiedział, że zwierzęta – np. te z Kłodzka – cierpią? To bezpodstawne oskarżenia, wpisujące się w ohydną kampanię pomówień. Skoro są pełnoletnie, to nikomu do tego, jak i z kim żyją. Doda stwierdziła również, że „Politycy mają w d...pie zwierzęta”. To również nieprawda, bo jest dokładnie odwrotnie. Zwłaszcza gdy chodzi o Platformę.

Jeśli chodzi o inne małe miasta, to trzeba zadać sobie pytanie, po co istnieje taka dziura jak Lesko na Podkarpaciu. Chyba tylko po to, żeby sprawiać kłopot premierowi Donaldowi Franciszkowi. Pojawiły się jakieś absurdalne pretensje, że została tam zamknięta porodówka. A po co miała tam istnieć, skoro są porodówki w Berlinie, a nawet dużo bliżej, czyli w Warszawie. Poza tym skoro premier powiedział, że porodówka działa (chociaż jest zamknięta), to po co robić z tego zagadnienie? Nasza odpowiedź jest krótka: Lesko-sresko!

Jedno trzeba dodać. Wprawdzie Lesko ze swoją porodówką nadaje się tylko do zaorania, ale burmistrza ma właściwego. Demokratycznego i europejskiego, który zawsze wiedział, o co należy walczyć. I przeciwko komu. Jego czyny i sukcesy zawsze chętnie opisywała lokalna „Wyborcza” (dobrze, że Agora jeszcze jej nie zamknęła), a my z zachwytem czytaliśmy. Niby zakichana podkarpacka dziura, ale jaki to człowiek, ten Adaś Snarski! Wsparł strajk kobiet, poparł Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich, potępił pisowski reżim za prześladowanie na granicy z Białorusią biednych ludzi szukających swojego miejsca na ziemi. Jest też fanem filmu „Zielona granica”. Przypomnijmy piękne słowa

eprasa.pl e4f04804a5

Adasia z czasu strajku kobiet: „Polki nie powinny być inaczej traktowane niż kobiety w pozostałych państwach UE". Dokładnie tak! Tam też na pewno nie ma porodówek.

Zresztą to wszystko jest wina PiS. Ładnie powiedział to minister Maciek Berek, naczelny mózg rządu Polski Uśmiechniętej. Prawo i Sprawiedliwość rozpuściło szpitale do tego stopnia, iż żądają one pieniędzy za każde nadwykonanie. Leczą pacjentów bez opamiętania, także tych nieumówionych z NFZ. Czy to jest tak trudne w XXI w., by zaplanować wcześniej własną chorobę? I poczekać z nią do momentu, w którym szpital będzie miał miejsce i pieniądze na leczenie? Niestety premierowi Donaldowi Franciszkowi przyszło rządzić w kraju z tak nierozsądną ludnością.



A teraz coś pozytywnego. „Wszystko jest możliwe" – powiedział człowiek o najpiękniejszych zębach w polskiej polityce, czyli ***Grzegorz Schetyna***. Został zapytany o koalicję z Konfederacją. Po tych słowach zrobiło się trochę szumu, że niby Lewica tego nie chce, a i Konfederacja nie jest zbyt chętna. Proszę jednak nie zwracać na to uwagi. To tylko taka polityczna kokieteria, a tak naprawdę nie zmarnowało się słynne toruńskie piwo u gościnnego Sławka Mentzena. W walce o demokrację i praworządność wszystko jest dozwolone, a nawet konieczne. Pisaliśmy o wspólnej liście obozu demokratycznego. Znajdzie się na niej miejsce i dla Włodka Czarzastego, i dla Sławka Mentzena. Trzeba będzie jeszcze wziąć Grześka Brauna. To dobry chłopak jest. Zaświadczą o tym stryj Juliusz i kuzyn Michał, który teraz pełni odpowiedzialną funkcję dyrektora Narodowego Instytutu Wolności, czyli jest strażnikiem konfitur rozdawanych przez rząd pozarządowym organizacjom.



Cudowna wiadomość. ***Stan Tymiński*** wrócił i będzie kandydatem na liście wyborczej u Grześka Brauna. Ukazał się nam w nowym wcieleniu: w świetnej formie, tylko teraz mocno grubszy. Widać, że Ten Kraj rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej. Pamiętamy, że Stan napisał kiedyś książkę pt. „Święte psy". Czyli jest coś, co łączy go z Platformą Obywatelską. Tam przecież wszyscy kochają pieski, więc nikt nie będzie przeciwny umieszczeniu Stana na wspólnej liście obozu demokratycznego.



Ten ***Nawrocki z Gdańska*** nakrzyczał na pana Półchłopka, dziennikarza telewizji TVN (jeszcze nie w likwidacji, ale już w przejęciu przez jakichś amerykańskich faszystów). Nigdy wcześniej nie słyszeliśmy o panu Półchłopku, ale skoro został skrzyczany przez tego Nawrockiego z Gdańska, to znaczy, że jest postacią wybitną i zasłużoną. Cała postępowa ludzkość pozostaje oburzona tą haniebną agresją. Podpisujcie się pod listem otwartym intelektualistów krakowskich w obronie pana Półchłopka, nowego męczennika za demokrację i praworządność.



Zdrajco! Po trzykroć zdrajco! Tak wszyscy demokraci powinni krzyczeć do Siwca Marka. Niby to prawa ręka Włodka Czarzastego, a znowu broni tego Nawrockiego z Gdańska. Skandal jest tym większy, że nie potępił go za spotkanie z Viktorem Orbánem. „Któryś z doradców prezydenta powiedział, zresztą słusznie, że należy rozmawiać. Ja też jestem wielkim zwolennikiem rozmawiania, również z ludźmi, z którymi się nie zgadzamy" – skomentował wizytę tego Nawrockiego z Gdańska w Budapeszcie. Trzeba w końcu rozwiązać problem nieodpowiedzialnych wypowiedzi Marka Siwca i mamy na to pomysł: oddajmy go PiS w zamian za senatora Włosowicza, który jest niespodziewanym odkryciem strony demokratycznej. Machniom?

Jeszcze jedna zdrada. Tym razem TSUE. Orzekło, że neosędziowie może i są neosędziami, ale nie wolno im tego wypominać. A ich wyroki niestety są ważne. Przykra sprawa, tak jak wcześniejsza zdrada komisji weneckiej. Nie lekceważymy jej. Odniesiemy się od razu, i to w mocny sposób: TSUE-srue!

PS Dobrze, że paleosąd zdążył wywalić neosędzię z procesu zasłużonego działacza obozu demokratycznego, pana Pawła ze Złotowa. Przy okazji wielkiego przyjaciela dzieci i młodzieży. Gdyby nie to, to pan Paweł poszedłby do więzienia aż na 11 lat. I za co? Źli ludzie piszą, że za pedofilię, ale przecież za to ściga się tylko księży.

Niech rząd wreszcie rozpędzi ten CBOS. Bo nie można wytrzymać dochodzącego stamtąd krakania. Nie dość, że kolejny sondaż wskazuje na to, iż ludzie w Polsce spodziewają się coraz gorszej przyszłości, to na dodatek coraz bardziej negatywnie oceniają rząd (że też nie skończy im się skala). A teraz pojawiła się gorsza rzecz – ludzie coraz rzadziej krytykują weta Nawrockiego, choć wszystkie ważne postacie mówią im, aby byli oburzeni. I jeszcze gorsza sprawa – najmniej popularnym tematem rozmów wśród Polaków jest rozliczenie rządów PiS. Ale jak to? Jak z tym żyć, panie premierze?

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl e4f04804a5

Wielkanoc (nie) taka wesoła

W 2022 r., gdy wojna na Ukrainie wywindowała ceny ropy, rząd Mateusza Morawieckiego nie czekał na łaskę rynku. VAT na paliwa spadł z 23 do 8 proc., akcyza została obniżona, a ORLEN świadomie ścinał marże. Efekt? Benzyna 95 po 5,19 zł, diesel po 5,24 zł – najtaniej w Unii Europejskiej. Rolnicy tankowali do ciągników bez paniki, siewy szły pełną parą, a ceny żywności nie wystrzeliły ponad miarę. Narodowy koncern działał jak prawdziwa tarcza



Dzisiaj, pod koniec marca 2026 r., sytuacja wygląda inaczej. Od końca lutego hurtowe ceny diesla w ORLENIE skoczyły o ponad 2,4 tys. zł za 1 m^3 – z ok. 4,8 tys. do ponad 7,2 tys. zł. Na stacjach cena benzyny 95 dochodzi do 7 zł, a diesla wynosi 8–8,8 zł z prognozami sięgającymi nawet 10 zł. Rząd Donalda Tuska przez miesiąc trzymał „narzędzia na najczarniejszą godzinę" w szufladzie. Nowy zarząd ORLENU podnosi ceny hurtowe niemal codziennie, a promocje na stacjach to głównie PR. Koncern ma ponad 70 proc. rynku hurtowego diesla – mógłby stabilizować ceny, jak robiono wcześniej. Zamiast opanować sytuację na rynku, rząd chwali się, że wartość ORLENU jest większa niż Gazpromu, choć to ani nie zmniejszy drożyzny, ani nie jest sukcesem ekipy premiera – ten fundament zbudowano w poprzednich latach.

Dla rolników to nie abstrakcja, lecz realny cios w środku wiosennych prac. Diesel do ciągników i kombajnów to podstawowy koszt siewów i nawożenia. Przy wzroście o kilka złotych na litrze większe gospodarstwo traci dziesiątki tysięcy złotych rocznie. Do tego drożeją nawozy, ceny skupu zbóż stoją w miejscu, a zwrot akcyzy na olej napędowy staje się symboliczną jałmużną. Produkcja przestaje być opłacalna, eksport słabnie, a w efekcie drożeje chleb dla wszystkich. W 2022 r. wieś była chroniona. Dziś rolnik płaci rachunek za bezradność.

Ironia jest gorzkawa. ORLEN świętuje rekordy na giełdzie, a Polacy czują się jak w pułapce. Zamiast ochrony interesu narodowego, mamy codzienne hurtowe podwyżki i obietnice, że „coś się zrobi później".

Do tego dochodzi Bruksela – wieczny dyrygent tej fatalnej orkiestry. Fit for 55, Zielony Ład i system ETS od lat windują koszty energii i paliw. Zamiast walczyć o wyjątki dla rolnictwa i sensowne rewizje głupich dyrektyw, obecna władza klęka przed unijną doktryną. Komisja dyktuje tempo, Warszawa wykonuje. Solidarność europejska? Dla nas oznacza droższy diesel na polu i wyższe ceny w sklepie.

W te wielkanocne dni życzę wszystkim Polakom – kierowcom, rolnikom i ich rodzinom – sił, by przetrwać tę drożyznę i nadziei na opamiętanie rządzących. Niech zdrowy rozsądek wróci szybciej niż kolejna podwyżka. Wesołych Świąt i oby w przyszłym miesiącu litr paliwa był choć trochę lżejszy dla portfela.

Daniel Obajtek

Reklama | 27/0326/F
Fot. Archiwum autora

eprasa.pl e4f04804a5

Ucieczki Polaków z „komunistycznego raju”

Uciekinierzy z Polski wybierali drogę przez granicę czechosłowacko-austriacką i czechosłowacko-niemiecką, uznając, że będzie to łatwiejsza droga dotarcia na zachód Europy w porównaniu z pilnie strzeżoną granicą między NRD i RFN. Było to jednak błędne przekonanie.

Ustalono bowiem, że wzdłuż tej granicy Straż Graniczna Czechosłowacji pobudowała trzy równoległe rzędy drutów kolczastych rozpiętych na drewnianych słupach, z których środkowy został podłączony do prądu elektrycznego o napięciu do 6000 woltów. Na ogrodzeniu nie umieszczono znaków zawierających ostrzeżenia o zagrożeniu porażenia prądem w przypadku dotknięcia drutów; co więcej, prąd elektryczny płynął środkowym ogrodzeniem, a zatem śmiertelna pułapka czyhała na osobę, która bez problemu sforsowała pierwszą zaporę, utwierdzając się w przekonaniu, iż pokonanie dalszej przeszkody nie będzie stanowiło problemu. Granica miała także wiele innych zabezpieczeń w postaci zaoranego pasa ziemi, na którym widoczne były ślady stóp człowieka, pól minowych, specjalnie szkolonych psów i uzbrojonych funkcjonariuszy.

Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie prowadzi śledztwo w sprawie zabójstw polskich obywateli, którzy w latach 1949–1989, uciekając z Polski do państw Europy Zachodniej, usiłowali przekroczyć granicę czechosłowacko-austriacką i czechosłowacko-niemiecką.

W śledztwie ujawniono wstrząsające okoliczności śmierci osób usiłujących przekroczyć ową granicę, w tym przypadki dobijania przez funkcjonariuszy Czechosłowackiej Straży Granicznej, poprzez ponowne rażenie prądem elektrycznym, żyjących jeszcze uciekinierów, którzy straciwszy przytomność, zawiśli na ogrodzeniu z drutu kolczastego.

Jednym z celów śledztwa było ustalenie pełnej listy obywateli polskich, którzy zostali pozbawieni życia podczas ucieczki do Europy Zachodniej. Jest to trudne zadanie, bowiem w dokumentach wytworzonych przez czechosłowacką Służbę Bezpieczeństwa nazwiska polskich ofiar nierzadko były podane w niewłaściwym brzmieniu, ponadto ciała uciekinierów kremowano i chowano w bezimiennych mogiłach. Ofiarami byli zazwyczaj ludzie młodzi, bez najbliższej rodziny, co dodatkowo utrudniało poczynienie ustaleń w tym zakresie. Pomimo tego zdołano ustalić dane 31 Polaków, którzy stracili życie w czasie próby ucieczki do wymarzonego życia na Zachodzie. Pozostały po nich miejsca na cmentarzach w Brnie, Czeskich Budziejowicach i Bratysławie, gdzie pochowano prochy zamordowanych.

O szczegółach śledztwa opowiada prok. Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Bogusław Czerwiński.

Więcej podcastów historycznych znajdziesz na portalu **przystanekhistoria.pl**

Posłuchaj

Partner podcastu

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PRZYSTANEK HISTORIA

eprasa.pl e4f04804a5

Porażka Meloni

Nie będzie reformy wymiaru sprawiedliwości planowanej przez premier Włoch Giorgię Meloni. To spektakularna porażka, tym bardziej że sondaże wskazywały, iż głosy za i przeciw się równoważą. Tymczasem przeciwko reformie w referendum opowiedziało się aż 54 proc. obywateli.

Meloni zaakceptowała porażkę. „Obywatele zdecydowali. A my, jak zawsze, szanujemy ich decyzję" – zaznaczyła.

Najważniejszym postanowieniem ustawy przyjętej w ubiegłym roku przez parlament było rozdzielenie karier sędziów i prokuratorów. Obecnie należą oni do tego samego korpusu sądownictwa i mogą przechodzić z jednego stanowiska na drugie. Celem reformy było oddzielenie tych funkcji bez możliwości zamiany ról. Kolejna zmiana dotyczyła Najwyższej Rady Sądownictwa, do której należą i sędziowie, i prokuratorzy. W ustawie zapisano powołanie dwóch osobnych rad dla obu profesji. Reforma wprowadziła też do procedury wyboru części członków rady element losowania. Zmiana ta miała ograniczyć wpływy grup sędziowskich. Ponadto utworzono by Wysoki Sąd Dyscyplinarny – autonomiczny organ, który miał orzekać w sprawach sędziów i prokuratorów. Mieli go tworzyć wylosowani sędziowie oraz autorytety prawnicze.

Jak pisze „Corriere della Sera", przeciwko reformie głosowali głównie młodzi ludzie w wieku do 34 lat o poglądach lewicowych. Opozycja widziała w referendum szansę na osłabienie pani premier. Zachęcała więc Włochów, by głosowali na nie. Choć reforma miała charakter techniczny, Meloni nie ukrywała, że chodzi jej o to, by osłabić kastę sędziowską. Włoskie sądownictwo od dawna jest uważane za upolitycznione z wyraźnym przechyłem w lewo.

Po referendum opozycja we Włoszech wyraźnie poczuła krew. Były premier Matteo Renzi wezwał Meloni do dymisji, a lider Ruchu Pięciu Gwiazd Giuseppe Conte zadeklarował, że „teraz rozpoczyna się wiosna" przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. Europejskie media spekulują już o porażce włoskiej premier w tych wyborach, choć Bracia Włosi, partia Meloni, wyprzedza Partię Demokratyczną o 8 pp. (30 do 22), a poparcie dla Ruchu Pięciu Gwiazd oscyluje w okolicach 12 proc.

Jednocześnie porażka w referendum utrudni rządzącej koalicji zmianę ordynacji wyborczej i może pokrzyżować inne plany Meloni, choćby wprowadzenie bezpośredniego głosowania na premiera, co podobnie jak reforma sądownictwa wymagałoby zmiany konstytucji. „Jej pozycja ucierpi. Od teraz będzie słabszym premierem" – przekonywał w telewizji Rai Uno politolog Roberto D'Alimonte.

Aleksandra Rybińska



Czyżby zmiana kursu?

19 kwietnia Bułgarzy po raz ósmy w ciągu ostatnich pięciu lat pójdą do wyborów parlamentarnych. Tym razem sondaże wskazują jednak na zdecydowanego zwycięzcę. Jeśli nic się nie zmieni, będzie nim ruch Postępowa Bułgaria, który powstał ze zjednoczenia trzech lewicowych formacji – Ruchu Politycznego Socjaldemokraci, Partii Socjaldemokratycznej i Ruchu Nasz Lud. Na czele tego bloku stanął były prezydent Bułgarii Rumen Radew.



Formacja Radewa ogłosiła manifest programowy, w którym starannie unika kwestii związanych z polityką zagraniczną, koncentrując się na przyspieszeniu wzrostu gospodarczego i walce z korupcją. Bułgaria uchodzi za najbardziej skorumpowany kraj Unii Europejskiej, w którym lokalni oligarchowie, często powiązani z zorganizowaną przestępczością, mają dominujący wpływ na życie ekonomiczne i polityczne kraju. Radew zapowiada rozbicie tego układu, co przysparza jego formacji popularności i daje jej w sondażach ponad 30 proc. głosów. Druga w kolejności jest partia GERB premiera Bojka Borysowa (należy do Europejskiej Partii Ludowej), a na trzecim blok Kontynuujmy zmiany – Demokratyczna Bułgaria.

Były prezydent starannie unika tematów związanych z polityką zagraniczną, co ma związek z formułowanymi wobec niego w przeszłości zarzutami o prorosyjskość. W 2023 r. starł się on publicznie z Wołodymyrem Zełenskim, twierdząc, że pomoc wojskowa dla Ukrainy powinna być ograniczona, bo jej kontynuowanie przedłuża konflikt. Radew ostro krytykuje też decyzję o przystąpieniu kraju do strefy euro i zapowiada walkę o bułgarskie interesy w Brukseli.

To, w którym kierunku podąży kraj po 19 kwietnia, będzie zależeć od ewentualnego partnera koalicyjnego, bo formacja Radewa raczej nie zdobędzie samodzielnej większości. Porozumienie z formacją Borysowa, uznawanego w Bułgarii za „ojca chrzestnego" skorumpowanego układu, nie wchodzi w grę. Jeśli będą to balansujący na granicy progu wyborczego socjaliści, to nowy rząd utworzą siły sceptyczne wobec Unii, określane mianem prorosyjskich. Jeśli zaś jedyną opcją pozostanie alians z koalicją Kontynuujemy Zmianę-Demokratyczna Bułgaria, nowy rząd skupi się na walce z korupcją i reformach wewnętrznych.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl e4f04804a5



ZEA

Przewoźnicy liczą straty

Wojna z Iranem uderzyła w międzynarodowy sektor turystyczny i lotniczy. W trudnej sytuacji znalazły się czołowe linie lotnicze z rejonu Zatoki Perskiej, które najbardziej ucierpiały z powodu działań militarnych – pisze „The New York Times".

Emirates z Dubaju, Etihad Airways z Abu Zabi oraz Qatar Airways z Dohy należą do najważniejszych przewoźników lotniczych na świecie. Emirates, które jako pierwsze z tej trójki stały się potęgą, powstały w 1985 r., gdy w miejscu efektownych dubajskich wieżowców była jeszcze pustynia. Dziś Emirates, Etihad i Qatar notują najwyższe zyski w całej branży przewozów lotniczych. W zeszłym roku wspomniani przewoźnicy zarobili ok. 29 dol. na pasażera. Na drugim miejscu znalazły się linie lotnicze z Europy (niecałe 11 dol.), a dalej z Ameryki Północnej (ok. 10 dol.).

Sprzymierzeńcem linii z Zatoki Perskiej jest dogodne położenie geograficzne. Tamtejsze huby przesiadkowe w Dubaju, Abu Zabi i Dosze obsługiwały bowiem dużą część światowego ruchu dalekodystansowego. Przewożono tamtędy jedną trzecią pasażerów zmierzających z Europy do Azji i co drugą osobę lecącą z Europy do Australii. Z danych IATA (Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych) wynika, że trasę przez Katar albo Emiraty Arabskie wybrało w zeszłym roku 227 mln pasażerów. Wszystko to jednak zawaliło się w chwili wybuchu wojny z Iranem.

Według firmy Cirium, zajmującej się analizą rynku lotniczego, od początku wojny 28 lutego do 15 marca odwołano ponad 52 tys. lotów, a więc ponad połowę wszystkich połączeń w regionie. Oznacza to utratę 6 mln pasażerów.

Brak zarobku z powodu anulowanych lotów to tylko jedna strona medalu. Bliskowschodni przewoźnicy musieli uziemić część swojej floty, a to oznacza, że mimo przestoju nadal trzeba ponosić koszty obsługi samolotów oraz wypłacać pieniądze pracownikom. Znacząco wzrosły też ceny paliwa, co podbija ceny biletów i grozi dalszą utratą pasażerów.

Na stratach linii z Zatoki Perskiej ochoczo korzystają ich europejscy i tureccy konkurenci, którzy nie muszą korzystać z portów przesiadkowych w Zatoce Perskiej. W połowie marca Lufthansa poinformowała o planach zwiększenia liczby lotów do Azji i Afryki, przede wszystkim do Singapuru, Kapsztadu i Rijadu w Arabii Saudyjskiej. Nie oznacza to jednak, że Emirates i pozostałe linie z Zatoki Perskiej można już spisać na straty. Przewoźnicy ci dysponują bowiem dużymi rezerwami finansowymi i mogą liczyć na wsparcie ze strony swoich rządów. Wszystko to jednak pod warunkiem, że wojna szybko się skończy i ruch wróci do normy. A to wcale nie jest oczywiste.

Konrad Kołodziejski

Słowenia

Powyborczy pat

Wybory parlamentarne w Słowenii zakończyły się remisem ze wskazaniem na liberałów. Ruch Wolności minimalnie wyprzedził w nich Słoweńską Partię Demokratyczną (SDS). Uzyskał 28,62 proc. głosów, podczas gdy depczący im po piętach konserwatyści – 27,95 proc. Pierwsi otrzymają więc 29, a drudzy 28 mandatów w 90-osobowym Zgromadzeniu Państwowym. Żadne z tych ugrupowań wraz z potencjalnymi sojusznikami nie ma jednak szans na uzyskanie większości w parlamencie. Lewicowo-liberalna koalicja może liczyć na 40 posłów, a centroprawicowa – na 43.

W tej sytuacji językiem u wagi może stać się populistyczna i antysystemowa partia Resni.ca, która flirtuje z Rosją, krytykuje Ukrainę i wzoruje się na MAGA. Podczas kampanii jej działacze zdecydowanie wykluczali utworzenie rządu z SDS, ponieważ obwiniali jej lidera Janeza Janšę o prowadzenie restrykcyjnej polityki sanitarnej, gdy był premierem w trakcie pandemii COVID-19. Kiedy o powołaniu przyszłej koalicji decydować może nawet jeden głos, kluczowe może się okazać stanowisko dwóch posłów mniejszości narodowych (węgierskiej i włoskiej), którym miejsca w słoweńskim parlamencie przypadają obligatoryjnie. Komentatorzy podkreślają, że możliwe są wszystkie scenariusze: zarówno rządy liberałów, jak i konserwatystów, większościowe, jak i mniejszościowe. Niewykluczone jest też rozpisanie przedterminowych wyborów.

Z powyborczych analiz wynika, że Ruch Wolności zawdzięcza sukces głównie poparciu wyborców w wieku 65+. Gdyby o rezultacie elekcji mieli decydować obywatele do 45. roku życia, wówczas zdecydowane zwycięstwo odnieśliby konserwatyści. Prawica odniosła jednak największą przewagę nad lewicą w grupie wiekowej 18–24 lat. Dla liberałów jest to duże zaskoczenie, ponieważ przedstawiciele tego środowiska zwykli głosić, że to oni są elitą przyszłości, natomiast konserwatyści wymrą wraz ze zmianą pokoleń. Okazuje się jednak, że młodzież w Słowenii masowo odrzuca socjalistyczno-liberalne recepty na przyszłość.

Grzegorz Górny



eprasa.pl e4f04804a5

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nie ma złego czasu na rodzenie dzieci!



Jan Pietrzak

Wielki sukces Warszawy ze szczególnym uwzględnieniem prezydenta miasta – zachwycają się tęczowe media. Ukończono monumentalną budowę najdroższej warszawskiej toalety publicznej. „Nareszcie będzie gdzie srywać w eleganckim stylu" – cieszy się elita z ratusza. Do imponującego kloca przy Pałacu Stalina doszlusował mniejszy klocek w Parku Skaryszewskim. Oba do dupy, excusez-moi, choć z różnych powodów. Łącznie ze Stalinem w stylu sowieckiego rokoko!

Wokoło przybytku podobno (nie wiem, co plotki, co fakty, bo Warszawa huczy!) posadzono drzewka z ekologicznych zasobów niemieckich. To miły akcent, ponieważ od Niemców na ogół kupujemy stary szmelc ze szrotów, np. autobusy, wiatraki, lokomotywy, pomniki zasłużonych hitlerowców... Przepraszam, z rozpędu użyłem liczby mnogiej: kupujemy, ale to nie my, to sprzedajne cwaniaki z polskimi paszportami.

Nad Odrą powstał specjalny most handlowy, gdzie za każdy zakup zardzewiałego wagonu polski partner otrzymuje pokaźny wziątek materialny. Handel graniczny pozostaje bardzo popularny wśród samorządowców, bo nie jest objęty zainteresowaniem Centralnego Biura Antykorupcyjnego, którego nie uda się ocalić. Rząd już zarządził likwidację tej placówki. O likwidacji korupcji nie ma co marzyć!

Dziura budżetowa jak Rów Mariański, a tu jakieś bezsensowne biuro zatrudnia niepotrzebnych inspektorów. Dosyć tego woluntaryzmu! Jeżeli udało się skasować izby porodowe, można skasować izby celne i pokrewne, zbyt wnikliwie liczące deficytowe pieniądze. Produkcja budżetowego deficytu nie jest łatwym zajęciem. Społeczny opór przed akceptacją projektu SAFE (wymawiać: syf) uświadomił eurozarządcom, że Polaków nie będzie łatwo zmusić do wymarzonego przez Berlin bankructwa. Nawet likwidacja wszystkich porodówek nie sprawi, że zabraknie nas w Europie. Jestem przekonany, że z ducha oporu na złość antypolskim władzom młodzież zabierze się do prokreacji, zwłaszcza że wiosna nadciąga nieubłaganie, przywołując najmilsze instynkty człowieczeństwa, owocujące potomstwem.

Jako świadek kilku epok, ojciec kilkorga dzieci i wnuków wiem, że nie ma złego czasu na rodzenie dzieci. Bo nie ma złego czasu na miłość. Widziałem porody w schronach pod ostrzałem, bobasy rodzone w gruzach, gdy mleko dla dziecka kupowało się od kozy, a pieluchy dla noworodka cięto z namiotowego brezentu. I Polacy się rodzili, bo instynkt życia i wola Boża były silniejsze niż mordercze bestie Wschodu i Zachodu. Nosimy w sercach chrześcijańskie archetypy. Jezusek wyciągający do nas rączki ze żłóbka. W kolejnej odsłonie tej świętej opowieści – ręce Chrystusa przybite do krzyża... To są te same dłonie prowadzące nas przez cierpienia i radości do zbawienia, do Wielkiej Nocy, która właśnie nadciąga, niosąc nadzieję! Alleluja, drodzy państwo!

Kolejna próba „domknięcia systemu"



Samuel Pereira

Zaczyna się kluczowy bój o „domknięcie systemu". To już nie publicystyczna figura, lecz projekt polityczny z jasno określonymi etapami. Przed wyborami prezydenckimi mówił o tym Grzegorz Schetyna, wskazując, że przejęcie pałacu prezydenckiego pozwoli „domknąć system". Dziś proces przyspiesza, a jednym z jego punktów centralnych staje się Trybunał Konstytucyjny.

Stawką nie jest zwykła zmiana personalna, lecz mechanizm zalegalizowania działań budzących dotąd wątpliwości prawne. Innymi słowy zapewnienie sobie bezkarności poprzez zmianę reguł gry w trakcie jej trwania. Jeśli coś było nielegalne, wystarczy zmienić interpretację lub obsadę instytucji, by stało się zgodne z konstytucją. Już na początku „eksperymentu nad Wisłą" Adam Bodnar, wówczas minister sprawiedliwości, powiedział wprost: „Mamy sytuację, w której przywracamy tę konstytucyjność i szukamy jakiejś podstawy prawnej, żeby to zrobić".

Symbolicznym obrazem procesu jest dziś wypowiedź poseł Anity Kucharskiej-Dziedzic. Dyskusja o znaczeniu słowa „wobec" – czy oznacza fizyczną obecność prezydenta przy ślubowaniu nowych sędziów TK, czy tylko „duchową" lub formalną – pokazała, jak daleko można się posunąć w reinterpretowaniu rzeczywistości, gdy cel polityczny jest jasno określony. Ostateczna konkluzja: decyzja należy do polityków, a prawo i eksperci to tylko narzędzia w tej układance.

Koalicja rządząca z jednej strony nie uznaje obecnego kształtu TK, z drugiej – obsadza go swoimi kandydatami i domaga się natychmiastowego ślubowania. Gdy prezydent nie spełnia oczekiwań, pojawia się koncepcja obejścia jego kompetencji na rzecz marszałka Sejmu. To nie jest spór o interpretację prawa, lecz jego redefinicja.

Historia pokazuje, że takie procesy rzadko zatrzymują się same. Jeśli raz się uzna, że prawo można naginać, kolejne kroki przychodzą łatwiej. Reakcja – albo jej brak – na próbę przejęcia Trybunału będzie odpowiedzią na pytanie, czy „domknięcie systemu" pozostanie hasłem, czy stanie się faktem. W tej historii nie chodzi o jedną instytucję, lecz o granice, których przekroczenie zmienia wszystko.

eprasa.pl e4f04804a5

Cichy pragmatyzm



Marta Kaczyńska-Zielińska

Współczesny Iran jest państwem wieloetnicznym, ale z wyraźną dominacją Persów, którzy stanowią 50–65 proc. ludności tego kraju. Pozostali to Azerowie, Kurdowie, Lurowie, Arabowie, Beludżowie i Turkmeni. Persowie są największą grupą etniczną i posiadają ponadproporcjonalny udział w elitach politycznych, administracyjnych i religijnych. Elity rewolucji islamskiej 1979 r. wywodziły się głównie z perskiego kręgu kulturowego. Teheran czy Isfahan są historycznie i kulturowo perskie. Język perski (farsi) jest językiem państwowym i narzędziem awansu społecznego.
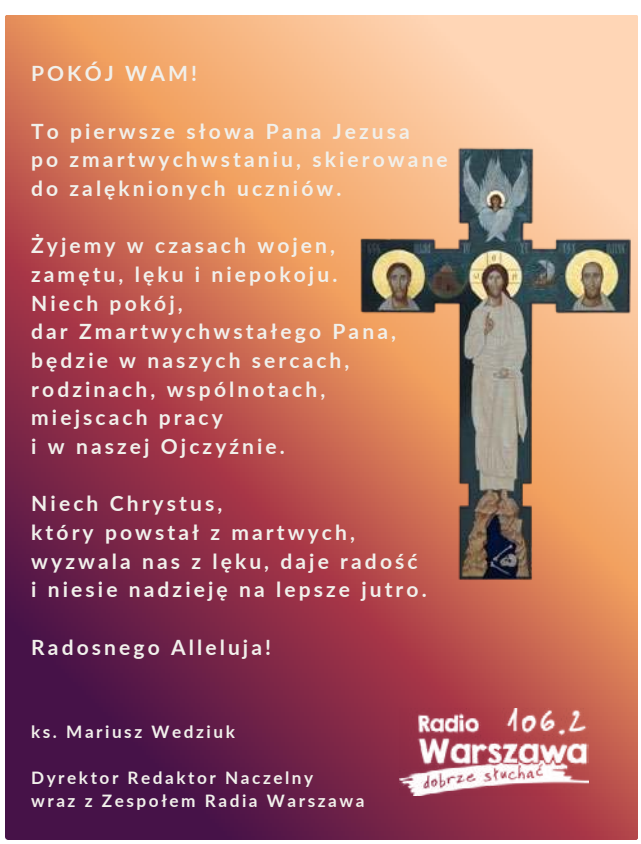
Persowie dominują w aparacie państwowym i instytucjach władzy. Reprezentacja mniejszości (zwłaszcza sunnickich: Kurdów, Beludżów, Arabów) w najwyższych strukturach władzy pozostaje ograniczona. System irański nie jest formalnie „etniczny" (bazuje na ideologii islamskiej, a nie narodowej), ale w praktyce funkcjonuje jako państwo, w którym perskość (język, kultura, centrum geograficzne) jest głównym nośnikiem władzy. Trwałe wzorce kulturowe, polityczne i cywilizacyjne, które powtarzają się od starożytnej Persji po współczesny Iran, pozwalają dostrzec pewne cechy typowe dla Persów.

Analiza 2,5 tys. lat ciągłości cywilizacyjnej tego obszaru — od imperium Achemenidów przez Sasanidów, okres islamski aż po państwo nowożytne — wskazuje na istnienie ugruntowanej zdolności do budowania i utrzymywania złożonych struktur państwowych. Imperium Achemenidów stworzyło model zarządzania wieloetnicznym rozległym terytorium poprzez system satrapii, pozostawiając lokalnym społecznościom znaczną autonomię przy jednoczesnym zachowaniu lojalności wobec centrum. Ten model „imperialnej elastyczności" powracał wielokrotnie — Persowie rzadziej narzucali jednolitą kulturę, częściej integrowali różnorodność, co odróżniało ich np. od bardziej asymilacyjnych modeli imperiów.

Persję cechowała wyjątkowa ciągłość kulturowa, trwająca pomimo licznych podbojów Aleksandra Macedońskiego, Arabów, Turków czy Mongołów. Język perski, literatura, wzorce estetyczne i tożsamość cywilizacyjna przetrwały, a najeźdźcy często ulegali „persjanizacji" (np. elity mongolskie czy tureckie przyjmowały perski język i kulturę jako nośnik pewnego awansu społecznego). Kolejnym elementem jest silne poczucie godności i ciągłości cywilizacyjnej. Persowie postrzegają swoją historię jako jedną z najstarszych ciągłych tradycji państwowych na świecie. To buduje zarówno dumę, jak i pewną nieufność wobec zewnętrznej dominacji. W historii wielokrotnie pojawiał się opór wobec ingerencji obcych mocarstw – od walk z Rzymem, poprzez napięcia w stosunkach z Imperium Brytyjskim i rosyjskim aż po współczesne relacje z USA. Persów cechuje także zdolność łączenia pragmatyzmu z ideowością. Perska polityka potrafi być jednocześnie bardzo realistyczna i silnie zakorzeniona w ideach – religijnych czy rewolucyjnych. Ostatnie tygodnie pokazują, że zdekapitowany Iran wciąż skutecznie się broni i atakuje, co pozwala wyciągnąć wniosek, iż współcześnie islamistyczny reżim, czerpiąc wzorce organizacyjne ze stworzonego wiele wieków temu modelu zarządzania oraz mimo dotkliwych strat ludzkich i infrastrukturalnych, działa. Pozostaje uzbrojony nie tylko w tysiące skutecznych dronów, lecz przede wszystkim w armię ludzi, którzy w imię obrony wyznawanych przez siebie idei walczą do końca – co dla wielu przedstawicieli Zachodu może być trudne do pojęcia.

Ponadto Iran pozostaje uwikłany w uwarunkowania geopolityczne, a jego nieugięta postawa w wojnie może mieć źródła nie tylko w niedocenionej przez planujących atak mentalności Persów i wyjątkowej organizacji tego rozległego, 90-mln państwa, lecz także wynikać z postawy partnerów, z którymi łączą go istotne relacje gospodarcze. Widoczna w mediach narracja wskazuje, że niestabilność na Bliskim Wschodzie służy Chinom i Rosji, wyczerpując Zachód.

REKLAMA



eprasa.pl e4f04804a5



Walizka Julii Borkowskiej

reporterki wPolsce24

Moje życie od kilku lat toczy się w rytmie serwisów informacyjnych, nagrań i rozmów z ludźmi. Telewizja nauczyła mnie zwracania uwagi na szczegóły – czasem jedno zdanie albo jeden gest potrafi powiedzieć więcej niż długi komentarz, dlatego interesuję się także psychologią. Chętnie sięgam po książki, które pomagają lepiej rozumieć ludzkie emocje i mechanizmy rządzące relacjami. Dzięki temu mogę nie tylko relacjonować wydarzenia, lecz także uważniej słuchać rozmówców.

Obserwuję świat, zapisuję go po swojemu, w mojej codzienności jest miejsce zarówno na kamerę i mikrofon, jak i na ołówek oraz kartki pełne szkiców. W pracy najważniejsze są dla mnie autentyczność i spokój – nawet wtedy, gdy wokół dzieje się bardzo dużo.



MIKROFON



Mikrofon z logo telewizji wPolsce24 to symbol mojej pracy. Kiedy biorę go do ręki, wiem, że zaczyna się rozmowa – z politykiem, ekspertem albo zwykłym człowiekiem, który ma coś ważnego do powiedzenia. Mikrofon jest dla mnie trochę jak przepustka do historii, które warto opowiedzieć widzom.

KOSMETYCZKA



Praca przed kamerą wymaga kilku prostych rytuałów. Kosmetyczka z podstawowym makijażem zawsze jest pod ręką – nie po to, aby coś ukrywać, ale by przed wejściem na wizję wyglądać świeżo i profesjonalnie.

ZESZYT I OŁÓWEK



Najchętniej zapisuję pomysły ręcznie. W zeszycie szkicuję, notuję myśli, a czasem zdania, które kiedyś mogą się stać początkiem materiału albo rozmowy. To mój sposób na porządkowanie głowy. W młodości lubiłam również pisać wiersze i opowiadania... do szuflady.

eprasa.pl e4f04804a5





ŚRUBOKRĘT

Odkąd zaczęłam budować nasz dom, śrubokręt stał się jednym z praktycznych przedmiotów, które zawsze mam pod ręką. Z czasem okazało się, że naprawdę dużo potrafię zrobić sama i niepostrzeżenie stałam się „złotą rączką". Zdarza się nawet, że między jednym a drugim wywiadem rozwiązuję jakiś domowy problem techniczny.



ZESTAW MARYNAREK

W mojej szafie jest ich kilka – na różne okazje, kolory i sytuacje przed kamerą. Wystarczy założyć marynarkę i od razu wchodzę w tryb zawodowy. W tej pracy nigdy nie wiadomo, co przyniesie dzień – może pojawić się ważna konferencja prasowa albo wizyta u prezydenta.



MŁOTEK BEZPIECZEŃSTWA

Służy do rozbijania szyby w samochodzie w sytuacji zagrożenia, w rękojeści ma także ostrze do przecięcia pasów bezpieczeństwa. Dostałam go od kolegi, gdy miałam 16 lat i od tamtej pory zawsze kojarzy mi się z odpowiedzialnością na drodze i świadomością, że czasem o bezpieczeństwie decydują sekundy.

CIĘŻAREK I STRÓJ DO ĆWICZEŃ

Siłownia to mój sposób na zachowanie równowagi. Praca w mediach bywa szybka i intensywna, dlatego regularny trening pomaga mi oczyścić głowę i odzyskać koncentrację.



KSIĄŻKI Z AKSiM



Książki ze studiów zawsze są gdzieś obok mnie. Studiuję dziennikarstwo na Akademii Kultury Społecznej i Medialnej, dlatego regularnie wracam do materiałów, które pomagają lepiej rozumieć media, komunikację i odpowiedzialność za słowo. To dla mnie ważne uzupełnienie codziennej pracy w telewizji – tu teoria spotyka się z praktyką.



BIŻUTERIA

Jestem bardzo sentymentalna. Drobne pamiątki przypominają mi o jakiejś historii i emocjach z tamtego czasu. Jest jednak jeden pierścionek, podarowany przez najważniejszego mężczyznę w moim życiu, który zawsze noszę na palcu.



LEGITYMACJA PRASOWA

Dzięki legitymacji możemy wejść do miejsc, w których dzieją się najważniejsze rzeczy: do ministerstw, Sejmu, na konferencje prasowe czy oficjalne uroczystości państwowe. Ułatwia też pracę w terenie, kiedy trzeba szybko dotrzeć tam, gdzie dzieje się coś ważnego. Bonusem jest darmowe zwiedzanie muzeów lub miejsc, które normalnie są niedostępne dla odwiedzających.

PERFUMY



Mam sporą kolekcję perfum i traktuję je trochę jak sposób wyrażania nastroju. W zależności od dnia, humoru czy okazji wybieram inny zapach. Jedne są lekkie i świeże na co dzień, inne bardziej eleganckie, na ważne spotkania czy wieczorne wyjścia. Dzięki temu zapach staje się dla mnie małym rytuałem – czasem potrafi dodać energii, innym razem podkreślić wyjątkowy moment.

KUBEK STANLEY Z WODĄ

Zawsze mam przy sobie kubek Stanley z wodą. W codziennym biegu łatwo zapomnieć o najprostszych rzeczach, a odpowiednie nawodnienie to podstawa – zarówno dla zdrowia, jak i dobrej energii do pracy. Woda pomaga zachować świeżość, koncentrację oraz – jak mówią kosmetolodzy – jest jednym z sekretów zdrowej, promiennej cery.



***Wysłuchał** Michał Korsun*

Fot. Michał Korsun, Julia Borkowska, materiały prasowe wPolsce24, materiały marketingowe ZALANDO, Shutterstock

eprasa.pl e4f04804a5

SAFE jako „reparacje”?

Pojawił się pomysł, że skoro Polska ma wobec Niemiec roszczenia reparacyjne za II wojnę światową, to Berlin mógłby „zapłacić” za naszą część programu SAFE. Na pierwszy rzut oka brzmi to sprytnie. W praktyce jest to konstrukcja jednocześnie myląca i niebezpieczna.

Spójrzmy na liczby. Polski komponent unijnego – a w praktyce dobrze wiemy, że niemieckiego – SAFE dla Polski to ok. 44 mld zł, i to w formie pożyczek, a nie bezzwrotnego finansowania. Tymczasem polskie roszczenia wobec Niemiec są szacowane na 1,3 bln euro. Nawet przy skrajnie życzliwej interpretacji SAFE pokrywałby zaledwie ok. 3,4 proc. tej kwoty. To jedna trzydziesta należności. Trudno mówić o „zadośćuczynieniu”.

Skala strat wojennych Polski jest ogromna i dobrze udokumentowana. Straty majątku Wojska Polskiego to ok. 81 mld zł: lotnictwo, marynarka, broń pancerna, inne uzbrojenie i pozostałe. Do tego dochodzą zniszczenia infrastruktury wojskowej – ok. 10 mld zł. Najważniejszego wymiaru nie da się jednak sprowadzić do infrastruktury: to śmierć ok. 150 tys. żołnierzy. W metodologii liczącej wartość życia przez utracony potencjał PKB oznacza to kolejne 120 mld zł. W sumie daje to ponad 210 mld zł (50 mld euro)!

Problem jest głębszy: SAFE to nie tylko mechanizm zadłużania państw na zakup uzbrojenia, lecz także potencjalne oddanie części decyzyjności o bezpieczeństwie podmiotom zewnętrznym. W praktyce może to oznaczać, że rozwój naszych zdolności obronnych będzie uzależniony od politycznych warunków i zgód naszych sąsiadów, a nie wyłącznie od naszych własnych potrzeb. Wypisz, wymaluj zasada warunkowości, którą już niestety dobrze znamy.

Zestawianie tego niekorzystnego programu z reparacjami jest więc nie tylko błędem, lecz wręcz odwróceniem sensu całej sprawy. Reparacje dotyczą odpowiedzialności za zbrodnie i zniszczenia – realnych, historycznych strat, liczonych w setkach miliardów i bilionach. SAFE to współczesny instrument finansowy, który generuje zobowiązania, a nie je zamyka.

Co więcej, taka narracja może działać przeciwko Polsce. Jeśli zaczniemy przedstawiać elementy bieżącej polityki unijnej jako „spłatę” historycznych roszczeń, sami obniżamy rangę własnych postulatów. To jak próba rozliczenia wielomiliardowego długu kredytem, który trzeba jeszcze spłacić z odsetkami.

Polityczne skróty bywają kuszące, ale tu prowadzą donikąd. SAFE nie jest żadną formą reparacji, lecz mechanizmem finansowania zakupów – korzystnym głównie dla tych, którzy mają co sprzedawać. Łączenie go z reparacjami to nie spryt, lecz uproszczenie osłabiające powagę sprawy.

Arkadiusz Mularczyk

Nadal szukam nowych wyzwań

Z wokalistką Majką Jeżowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czym był dla pani udział w „Tańcu z gwiazdami”, a czym zasiadanie w jury „The Voice Senior”?

Majka Jeżowska: Powiem coś banalnego: dzięki nim poznałam siebie. Lepiej. Bardziej się też doceniam i jeszcze bardziej kocham. Naprawdę myślałam, że w „Tańcu z gwiazdami” fizycznie nie dam rady. To, że są ambicje i muzykalność... Ale fizycznie ciągle miałam problem. Mimo to się nie poddałam i nabrałam szacunku do siebie. I dowiedziałam się czegoś jeszcze.

Czego?

Że ludzie mnie kochają. Nie czułam tego wcześniej. To znaczy wiem, że ogólnie ludzie mnie lubią, ale bardzo dużo osób może mnie też nie lubić. Ich prawo. Natomiast nigdy nie czułam się tak kochana przez fanów, jak w „Tańcu z gwiazdami”. Głosowali na mnie i pisali tak piękne, wzruszające listy, że zamiast spać w nocy, czytałam i płakałam do poduszki. W „The Voice Senior” już nie było płaczu, ale bardzo się denerwowałam i trzymałam kciuki za swoich uczestników. Bardzo przeżywałam każdy ich występ. I było jeszcze coś.

Co takiego?

Dla większości ludzi, którzy zapamiętali mnie z dzieciństwa, przez lata byłam panią od piosenek dla dzieci. Natomiast jeśli ktoś jest bardziej otwarty na informacje, to wie – a inni przy okazji tych programów mogli się dowiedzieć – że robiłam wiele innych rzeczy. Grałam w filmie, śpiewałam inne piosenki. Np. do „Kingsajz” Juliusza Machulskiego. Nagrałam płytę z orkiestrą symfoniczną i tak dalej, i tak dalej. Byłam też pierwszą Polką w MTV. Cały czas robię nowe rzeczy. I nadal szukam nowych wyzwań.



eprasa.pl e4f04804a5

TRENDY I OWĘDY

Opowieść wielkanocna



Ryszard Makowski

Wielkanoc przynosi głęboką zadumę nad losem człowieka, nad złożonością i sensem naszej doczesnej mitręgi. Rozpoczynając dawno temu studia na Politechnice Warszawskiej, wierzyłem, że dzięki zdobytej wiedzy zgłębię prawa rządzące światem. Tym bardziej że studiowałem chemię, więc materia nie powinna mieć żadnych tajemnic. Ale potem pojawiła się zasada nieoznaczoności Heisenberga, która wyznacza granice pomiaru. Potem zjawił się kot Schrödingera, który zamknięty w pudełku mógł być jednocześnie żywy i martwy. Oczywiście był to kot wyłącznie teoretyczny, ale mimo wszystko... Do tego doszła niemożność wyobrażenia sobie próżni doskonałej, czyli miejsca, w którym nie ma nic. Ani jednego elektronu. Miałem rozterki w stylu Kubusia Puchatka, że jeżeli myślę o tej próżni, to jest tam moja myśl i im więcej myślę, tym ta próżnia jest mniej doskonała. Potem był epizod w Polskiej Akademii Nauk – tam to już była kompletna katastrofa. Podważałem teorię Big Bangu. I to trywialnie. Wybuchło, ale skąd się wzięło? Teraz noblista Penrose lansuje teorię eonów, czyli że nasz świat pulsacyjnie pojawia się i znika. No dobrze, ale kto tym dyryguje? Obecnie moja wiedza składa się z samych wątpliwości.

Na szczęście przychodzi Wielkanoc, choć też poznawczo niedopowiedziana, bo wiara w zmartwychwstanie również jest wyzwaniem. Jednak misterium Wielkiej Nocy, Droga Krzyżowa, pójście ze święconką, podzielenie się jajkiem porządkuje system wartości człowieka. Szczególnie w trudnych czasach, kiedy sprawy publiczne buzują od entropii, ten mistyczny czas jest jak balsam dla ducha. Wesołych Świąt.

Fot. Natasza Mludzik/TVP

ZDJĘCIE TYGODNIA Wielka Sobota

czas święcenia pokarmów



Fot. Andrzej Skwarczyński

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

FOT.: JOZEF SEDMAK/ALAMY STOCK PHOTO, JANEK SKARŻYŃSKI/AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/ OLEKSANDRA KLESTOVA, KALKI ARTS, ONE PIXEL STUDIO

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl e4f04804a5



Na tropach archeologii biblijnej

Co odkrycia naukowe mówią o wydarzeniach paschalnych? Czy potwierdzają, czy zaprzeczają opisom pozostawionym nam przez ewangelistów?



GRZEGORZ GÓRNY

Czy ewangeliści, opisując życie Jezusa, przedstawiali autentyczne wydarzenia, czy uprawiali literacką fikcję? Czy pozostawione przez nich opisy były odzwierciedleniem rzeczywistości, czy wyrazem wyobrażeń i pragnień pierwszych wspólnot chrześcijańskich?

Od czasów oświecenia część badaczy, wierna tzw. hermeneutyce podejrzeń, kwestionowała prawdziwość faktów historycznych zawartych w ewangeliach. W tym kontekście niezwykłego znaczenia nabrała archeologia biblijna, ponieważ jej odkrycia mogą zanegować lub potwierdzić to, co znajdujemy na kartach Starego i Nowego Testamentu.

Do tej pory specjaliści w owej dziedzinie nie odkryli niczego, co przeczyłoby treściom zawartym w ewangeliach. Jak powiedział jeden z nich, prof. John McRay z Wheaton College w USA, który kierował wieloma wykopaliskami w Izraelu: „Archeolodzy nie znaleźli dotąd niczego, co byłoby sprzeczne ze sprawozdaniem biblijnym. Przeciwnie, archeologia wykazała błędność wielu poglądów wyznawanych przez sceptycznych uczonych, poglądów, które przez całe lata uważano za fakty".

Podobnego zdania był największy XX-wieczny archeolog izraelski, prof. Nelson Glueck, założyciel Szkoły Studiów Biblijnych i Archeologicznych w Jerozolimie, który napisał wprost: „Nie ma takiego archeologicznego odkrycia, które zaprzeczyłoby choćby jednemu zdaniu z Biblii".

Lustracja św. Łukasza

Jednym z uczonych, którzy postanowili udowodnić, że Nowy Testament zawiera liczne pomyłki i nieścisłości faktograficzne, był XX-wieczny szkocki archeolog, historyk i geograf, prof. William M. Ramsay z uniwersytetu w Aberdeen. Badacz postanowił wziąć na celownik św. Łukasza, który w swej Ewangelii i Dziejach Apostolskich wymienił 32 kraje, 54 miasta, 9 wysp oraz imiona wielu władców. Naukowiec skonfrontował je z innymi źródłami historycznymi oraz wykopali-

eprasa.pl e4f04804a5

skami archeologicznymi i nie doszukał się ani jednej pomyłki. Zorganizował nawet wyprawę na Bliski Wschód, by wykazać błędy Nowego Testamentu. Po 15 latach poszukiwań napisał jednak książkę, w której był zmuszony uznać św. Łukasza za rzetelnego, wiarygodnego i prawdomównego historyka.

Jeszcze całkiem niedawno wielu krytyków zarzucało też św. Łukaszowi, iż wymyślił zarządzenie cesarza, jakoby podczas spisu ludności należało się zarejestrować w miejscu swego pochodzenia, a nie aktualnego zamieszkania. Zdaniem owych ekspertów takiego wymogu nigdy nie było, a ewangelista dokonał tej konfabulacji po to, by pokazać, że Mesjasz urodził się nie w Nazarecie, lecz w Betlejem, jak zapowiadały proroctwa Starego Testamentu. Stosunkowo niedawne odkrycia naukowe zadały jednak kłam tym twierdzeniom. Otóż w 1989 r. izraelscy archeolodzy opublikowali archiwum rodzinne żydowskiej kobiety o imieniu Babata, żyjącej w czasach rzymskiej okupacji. Papirusy odnaleziono nieopodal twierdzy Masada nad Morzem Martwym. Zawierały one opis spisu powszechnego, który w najdrobniejszych szczegółach pokrywał się z tym, co relacjonował na ten temat św. Łukasz. Ewangelista nie kłamał więc, lecz pisał prawdę.

Do jednego z ostatnich odkryć związanych z tym autorem doszło dwie dekady temu. W Dziejach Apostolskich św. Łukasz pisał, że św. Pawła aresztowano i odesłano na dwór cesarski „okrętem aleksandryjskim płynącym do Italii". Wiadomo, że egipscy armatorzy, którzy mieli kontrakty ze stolicą imperium, musieli udostępniać swoje jednostki także do transportu żołnierzy i skazańców. Statek został jednak złapany na morzu przez potężny jesienny sztorm, który miotał nim przez dwa tygodnie. Po 14 dniach walki z żywiołem załoga znalazła się w zatoce nieopodal jakiegoś lądu. Marynarze zmierzyli głębokość – liczyła 20 sążni, czyli 37 m. Zrzucili więc do wody cztery kotwice, które następnego dnia odcięli i pozostawili w morzu. Okręt osiadł na mieliźnie. Wszystkim 276 osobom, które były na pokładzie, udało się uratować. Gdy dopłynęli do brzegu, dowiedzieli się, że są na Malcie.

24 kwietnia 2005 r. (dokładnie w dniu, w którym Benedykt XVI odprawił mszę inaugurującą swój pontyfikat) maltański nurek Mark Gatt odnalazł w wodach przybrzeżnych na wschód od zatoki Salina na głębokości 36 m ołowianą kotwicę o długości 2,25 m i wadze ponad 700 kg. Archeolodzy, którzy zbadali obiekt, stwierdzili, że musiała ona pochodzić z rzymskiego statku transportowego, który między I a III stuleciem przewoził zboże z Aleksandrii do Rzymu. Wszystkie szczegóły pasowały do okoliczności katastrofy morskiej, która wydarzyła się w listopadzie 59 r. u wybrzeży Malty, a którą szczegółowo opisał św. Łukasz.

> Prof. Nelson Glueck, założyciel Szkoły Studiów Biblijnych i Archeologicznych w Jerozolimie: „Nie ma takiego archeologicznego odkrycia, które zaprzeczyłoby choćby jednemu zdaniu z Biblii"

Papirusy z Qumran

W historii chrześcijaństwa centralne miejsce zajmują wydarzenia paschalne związane z ostatnim etapem ziemskiej misji Chrystusa, takie jak Ostatnia Wieczerza, pojmanie i proces Jezusa, droga krzyżowa, śmierć na Golgocie, złożenie do grobu i zmartwychwstanie. W tym kontekście warto zapytać, czy odkrycia archeologiczne potwierdzają prawdziwość opisów pozostawionych przez ewangelistów.

Przez długi czas część krytyków wytykała niezgodność w relacjach spisanych przez czterech autorów ksiąg natchnionych. Według synoptyków,


Św. Łukasz

czyli św. Mateusza, św. Marka i św. Łukasza, Ostatnia Wieczerza, którą spożył Jezus z uczniami, była ucztą paschalną, natomiast św. Jan w swej Ewangelii pisze, iż żydowska Pascha zaczęła się dopiero po śmierci Chrystusa, który został ukrzyżowany w tym samym czasie, gdy w świątyni jerozolimskiej zabijano baranki paschalne. Jak pogodzić te dwie wersje? Czy Izraelici obchodzili wówczas swoje największe święto w czwartek, czy w piątek? Kto pisał prawdę, a kto konfabulował?

Odpowiedź na wspomniane pytania przyniosły odkrycia, do których doszło przypadkowo w 1947 r. w Qumran na Pustyni Judzkiej, nieopodal Morza Martwego, na terenie dzisiejszego Izraela. Wówczas to młody beduiński pasterz Muhammad ed-Dib, który szukał zagubionej kozy, wrzucił kamień do jednej z jaskiń. Zamiast odgłosu uderzenia o skałę usłyszał dźwięk tłuczonego naczynia. Zaintrygowany wszedł do środka i ku swemu zdumieniu odkrył szereg glinianych dzbanów, w których znajdowały się starożytne zwoje owinięte w tkaniny. Były to pisma zawierające teksty w języku hebrajskim i aramejskim, w tym najstarsze znane kopie ksiąg biblijnych.

Beduini sprzedali odnalezione zwoje handlarzom antyków, dzięki którym trafiły one do uczonych. Gdy naukowcy zorientowali się, jak cenne znalezisko mają w rękach, rozpoczęli systematyczne wykopaliska archeologiczne. Między 1949 a 1956 r. odkryto w Qumran 11 grot, w których znajdowało się

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl e4f04804a5



Święty Gwóźdź z rzymskiej Bazyliki Św. Krzyża w Jerozolimie, przywieziony do Wiecznego Miasta z Ziemi Świętej przez cesarzową św. Helenę. Zachował się do naszych czasów niemal w całości

ok. 900 rękopisów datowanych na okres od III w. p.n.e. do I w. n.e. Dzięki szczególnemu mikroklimatowi panującemu w suchych, pozbawionych wilgoci jaskiniach manuskrypty – mimo upływu ponad 2 tys. lat – zachowały się w bardzo dobrym stanie. Było to jedno z największych odkryć w historii archeologii biblijnej.

Badacze dowiedli, że w Qumran znajdowała się niegdyś osada, która przez pewien czas była siedzibą judaistycznej wspólnoty esseńczyków, oczekujących na rychłe przyjście Mesjasza. Wśród odnalezionych tam manuskryptów znajdował się m.in. kalendarz liturgiczny esseńczyków, oparty na systemie słonecznym. Różnił się on od kalendarza świątynnego, używanego przez żydowskich kapłanów i bazującego na obserwacji nowiu Księżyca. Zgodnie z pierwszą z owych rachub czasu Pascha zaczynała się we wtorek wieczorem, natomiast według drugiej – dopiero w piątek po zachodzie słońca. To odkrycie dowodzi, że w czasach Jezusa w obrębie religii judaistycznej istniały różne kalendarze i możliwe było obchodzenie tych samych świąt w różne dni. Nie musiało być więc niezgodności między relacjami ewangelistów.

Ślady po Piłacie

W 1961 r. w ruinach starożytnego teatru w Cezarei Nadmorskiej, która w czasach rzymskich była stolicą administracyjną prowincji Judea, odnaleziono fragment wapiennej płyty z inskrypcją wyrytą w języku łacińskim. Napis wymieniał imię Piłata (Pontius Pilatus) oraz jego urzędowy tytuł: prefekt Judei. Do tamtego czasu istnienie tej postaci było znane jedynie z przekazów literackich – czterech ewangelii oraz późniejszych pism historyków, takich jak Józef Flawiusz czy Tacyt. Wspomniane odkrycie było pierwszym starożytnym znaleziskiem archeologicznym, które bezpośrednio potwierdzało historyczność postaci Piłata z Pontu.

Kilka lat później podczas wykopalisk w Herodium, czyli twierdzy Heroda Wielkiego, położonej na południe od Jerozolimy, ekipa prof. Gideona Foerstera odnalazła pierścień z brązu, który był używany do odciskania pieczęci w wosku lub glinie. Znaczenie odkrycia przez długi czas nie zostało należycie docenione. Dopiero w 2018 r. naukowcy z Uniwersytetu Hebrajskiego przeprowadzili dokładną analizę fotograficzną i epigraficzną, podczas której zidentyfikowali na sygnecie napis „Pilato".

Ponieważ pierścień był wykonany z brązu, a nie ze złota lub srebra, badacze doszli do wniosku, że mógł on należeć nie do samego Piłata, lecz do któregoś z jego urzędników, który był upoważniony do pieczętowania aktów prawnych w imieniu swego zwierzchnika. To drugi materialny dowód na istnienie najsłynniejszego prefekta w historii Judei.

Ossuarium Kajfasza

Do innego znamiennego odkrycia doszło w listopadzie 1990 r., gdy traktor pracujący przy budowie parku na terenie Doliny Cedronu w Jerozolimie wpadł nagle do głębokiej jamy. Okazało się, że pod ciężarem pojazdu załamało się sklepienie starego, bogato zdobionego grobowca. W środku odnaleziono 12 wapiennych ossuariów, czyli skrzyń służących do przechowywania ludzkich kości. Żydowska praktyka funeralna w czasach starożytnych przewidywała bowiem chowanie ciał w niszach lub wnękach wykutych w skale, a następnie – po całkowitym wyschnięciu szczątków – zbieranie i umieszczanie kości w kamiennych ossuariach.

Gdy izraelscy archeolodzy przebadali wspomniane skrzynie, na ścianie jednej z nich odkryli inskrypcję wyrytą w języku hebrajskim: Jehosef bar Kajafa (Józef, syn Kajfasza). Zdaniem paleografów antycznych napis pochodził z I w. po Chrystusie. Ossuarium wyróżniało się też starannym wykonaniem i ozdobnym wzorem, które wskazywały na wysoką pozycję społeczną zmarłego. Na tej podstawie uczeni doszli do wniosku, że była to urna z kośćmi najwyższego kapłana, który przewodniczył sądowi nad Jezusem. Co prawda ewangeliści nazywali go Kajfaszem, lecz żydowski historyk Józef Flawiusz, żyjący w latach 37–100, pisał o nim jako „Józefie, który także nazywał siebie Kajfaszem".

Wspomniane ossuarium było pierwszym znaleziskiem funeralnym z czasów życia Jezusa, które potwierdzało istnienie konkretnej postaci historycznej występującej na kartach Ewangelii.

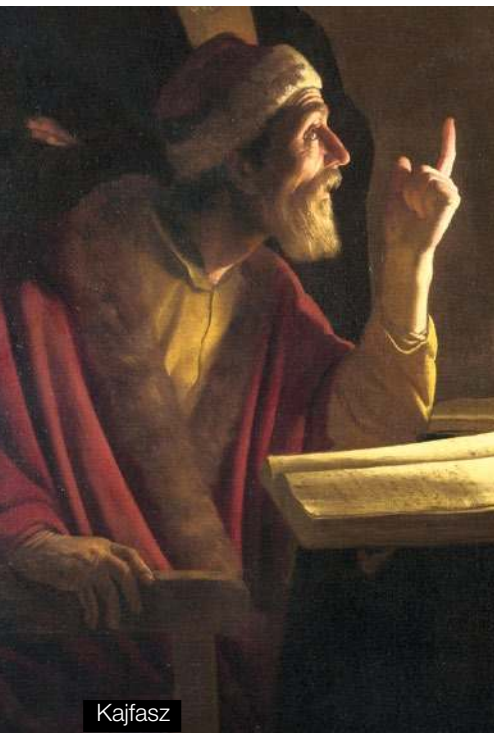
Gwóźdź z Jerozolimy

W czerwcu 1968 r. w dawnej osadzie Giv'at ha-Mivtar (dziś osiedlu w północnej części Jerozolimy) izraelscy archeolodzy odkopali cztery grobowce z późnego okresu Drugiej Świątyni. W jednym z nich złożone było ciało młodego mężczyzny, którego ukrzyżowano. Nazywał się Jehochanan ben Hagkol. Zdaniem naukowców został on stracony przez rzymskich okupantów między 6 a 65 r. po Chrystusie. Jego stopy były ułożone jedna na drugiej i przebite gwoździem.

Znalezisko dało naukowcom wzór metalowego elementu, którego Rzymianie używali podczas krzyżowania. Porównano je z relikwią, którą przywiozła z podróży do Jerozolimy w 326 r. św. Helena. Matka cesarza Konstantyna Wielkiego przetransportowała

Fot. Roskion Press x2, National Gallery

eprasa.pl e4f04804a5


Kajfasz

wówczas do Rzymu m.in. gwoździe, którymi Jezus miał być przybity do krzyża. Do naszych czasów dotrwał niemal w całości jeden z nich. Cesarzowa umieściła go w prywatnej kaplicy w swoim pałacu Sessorium pod Lateranem, który nakazała w testamencie zamienić po jej śmierci w świątynię. W ten sposób powstała bazylika Świętego Krzyża w Jerozolimie (Santa Croce in Gerusalemme). Od tamtej pory przywieziony przez Helenę gwóźdź znajduje się nieprzerwanie w tym samym miejscu.

Gdy naukowcy porównali go ze znaleziskiem z Giv'at ha-Mivtar, okazało się, że mamy do czynienia z tym samym rodzajem czworokątnego stolarskiego gwoździa o grubości 0,9 cm. Był on wykorzystywany przede wszystkim do łączenia większych konstrukcji drewnianych, a niekiedy także podczas egzekucji. Jedyna różnica polegała na tym, że gwóźdź odkopany podczas wykopalisk w Izraelu miał długość 16 cm, podczas gdy ten przechowywany w rzymskiej bazylice mierzył 11,5 cm. Dokładniejsza analiza wykazała jednak, że ten ostatni jest pozbawiony oryginalnej główki, która mogła zostać odłamana, gdy obcęgami wyciągano go z belki. Nie miał też szpica, a widoczne ślady piłowania pozwalały przypuszczać, że odcinano od niego małe kawałki na relikwie.


Ossuarium arcykapłana Kajfasza w Muzeum Izraela w Jerozolimie

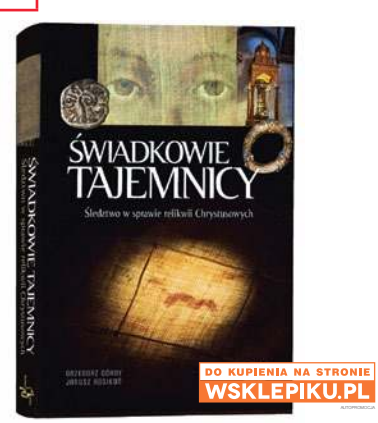
Między 1949 a 1956 r. w Qumran odkryto 11 grot, w których znajdowało się ok. 900 rękopisów, datowanych na okres od III w. p.n.e. do I w. n.e. Dzięki szczególnemu mikroklimatowi panującemu w suchych, pozbawionych wilgoci jaskiniach manuskrypty – mimo upływu ponad 2 tys. lat – zachowały się w bardzo dobrym stanie. Było to jedno z największych odkryć w historii archeologii biblijnej

Doświadczyć zmysłami

Kościół doceniał znaczenie tego rodzaju odkryć naukowych. Dlatego w 1925 r. Pius XI stworzył w Rzymie Papieski Instytut Archeologii Chrześcijańskiej.

W zeszłym roku z okazji 100-lecia tej instytucji Leon XIV ogłosił list, w którym napisał m.in.: „Chrześcijaństwo nie zrodziło się z idei, ale z ciała. Nie z abstrakcyjnej koncepcji, ale z łona, z ciała, z grobu. Wiara chrześcijańska, w swoim najgłębszym sensie, jest historyczna: opiera się na konkretnych wydarzeniach, twarzach, gestach, słowach wypowiedzianych w danym języku, w pewnej epoce, w określonym środowisku. Właśnie to archeologia uwidacznia, czyni namacalnym. Przypomina nam, że Bóg zdecydował się mówić ludzkim językiem, chodzić po ziemi, zamieszkiwać różne miejsca, domy, synagogi, ulice.

Nie można w pełni zrozumieć chrześcijańskiej teologii bez świadomości miejsc i materialnych śladów, świadczących o wierze pierwszych wieków. Nie jest przypadkiem, że Ewangelista Jan rozpoczyna swój Pierwszy List od pewnego oświadczenia dotyczącego zmysłów: »[To wam oznajmiamy], cośmy usłyszeli o Słowie życia, co ujrzeliśmy własnymi oczami, na co patrzyliśmy i czego dotykały nasze ręce« (1J 1,1). Archeologia chrześcijańska jest w pewnym sensie wierną odpowiedzią na te słowa. Chce dotknąć, zobaczyć, usłyszeć Słowo, które stało się Ciałem. Nie po to, aby zatrzymać się na tym, co widzialne, ale aby dać się poprowadzić do Tajemnicy, która się za tym kryje”.



„Świadkowie Tajemnicy” to fascynująca opowieść będąca zapisem dziennikarskiego dochodzenia do prawdy o materialnych śladach pozostawionych przez Jezusa z Nazaretu autorstwa Grzegorza Górnego ze zdjęciami Janusza Rosikonia

eprasa.pl e4f04804a5

Reseciarze obnażeni

Donald Tusk jest jednym z najbardziej prorosyjskich polityków europejskich na przestrzeni ostatnich 20 lat. To fakty, na które dostaliśmy właśnie kolejne dowody. Im więcej ich mamy, tym wyższe szczyty hipokryzji zdobywa premier, który dziś swoimi najcięższymi grzechami próbuje obciążać innych. Czy szef polskiego rządu otrzymał właśnie ostrzeżenie zza Bugu?



W rozmowie z Piskorskim Bratkiewicz apelował, by Polacy „wzięli całkowity rozbrat z rusofobią", skończyli z „rachunkami krzywd" i „martyrologią"

Tę operację Donald Tusk prowadzi konsekwentnie od długiego czasu. Najbardziej antyrosyjskie środowiska na scenie politycznej są przez niego i jego towarzyszy oskarżane o sprzyjanie Moskwie. Każda idąca wbrew szefowi rządu decyzja, działanie czy nawet wypowiedź prezydenta, prezesa PiS czy innych polityków konserwatywnych jest przedstawiana jako prorosyjska.

Sam Tusk kreuje się zaś na największego wroga Kremla, z którego inni powinni brać przykład. Nie trzeba długiego wywodu z historii najnowszej, przypominania jego wszystkich umizgów do Putina w latach 2007–2014, by przekłuć ten balon. Wystarczy jedna wypowiedź jego ważnego urzędnika z okresu pierwszych rządów. Dostarczył on właśnie świadectwo wręcz bezcenne, bo dotychczas jeszcze nikt tak otwarcie tego nie przyznał.



MAREK PYZA

DYREKTOR SIĘ BUDZI

Jarosław Bratkiewicz był jednym z najważniejszych urzędników w Ministerstwie Spraw Zagranicznych pod rządami Radosława Sikorskiego po

Fot. Screen @WbrewCenzurze/youtube

eprasa.pl e4f04804a5

2007 r. Najpierw kierował Departamentem Wschodnim, później był dyrektorem politycznym resortu. Przed dwoma tygodniami udzielił szokującego – z kilku powodów – wywiadu.

Po pierwsze, zasiadł w internetowym okienku Mateusza Piskorskiego, dawnego posła Samoobrony, dziś kojarzonego głównie jako oskarżonego o szpiegostwo m.in. na rzecz Rosji (jego proces jeszcze się toczy). Po drugie, z lekkością wypowiadał zdania skrajnie niekorzystne dla Tuska.

Usłyszeliśmy więc od Bratkiewicza, że reset w relacjach polsko-rosyjskich „był przedsięwzięciem jak najbardziej potrzebnym i do pewnego momentu udanym". A prowadzono go w pełnej zgodności najważniejszych osób w państwie: „Uznałem – i oczywiście uznałem tak, jak uznawali to moi zwierzchnicy – że istnieje dobry run, dobra passa na stosunki polsko-rosyjskie". Wiemy – a przypomnimy w szczegółach za chwilę – że Tusk z Sikorskim mieli wręcz obsesję na punkcie „ucywilizowania relacji z Moskwą". Ale można było nie zdawać sobie sprawy, do jakiego stopnia.

Na pytanie Piskorskiego, czy po aneksji przez Rosję Krymu (wydarzyło się to w lutym 2014 r.) zapomniano o resecie, Bratkiewicz wypowiada kluczową kwestię: „Nie zapomnieliśmy. Chcę od razu przypomnieć, że jeszcze w czerwcu 2014 r. ministrowie spraw zagranicznych Polski, Niemiec i Rosji spotkali się w Petersburgu. Ten format, który zainicjowała strona polska, nosił taką roboczą nazwę trójkąta królewieckiego. I podczas tego spotkania w Petersburgu rozmawialiśmy, jak sytuacja będzie się dalej rozwijać. Staraliśmy się zgodnie z podręcznikowym rozumieniem dyplomacji kontynuować dialog, ale on uwiądł w 2015 r. ostatecznie, kiedy zmienił się rząd".

Podkreślmy: reset z Rosją zakończył się dopiero wraz ze zmianą władzy w 2015 r.! Wcześniej nie przeszkadzały w nim ani inwazja Rosji na Gruzję, ani budowa Nord Stream, ani katastrofa smoleńska, ani zajęcie Krymu i wschodniej Ukrainy. To były tylko niewiele znaczące okoliczności, które nie przerwały idiotycznej i skrajnie antypolskiej polityki tej ekipy.

Dodajmy jeszcze początkowy punkt resetu. Nie jest bowiem prawdą, że pierwsi byli Amerykanie, gdy Hillary Clinton podarowała w Genewie Siergiejowi Ławrowowi symboliczny przycisk z napisem „Reset". To się działo dopiero w marcu 2009 r., czyli aż 13 miesięcy po tym, jak Donald Tusk odwiedził Moskwę i mówił tam, że „chce dialogu z Rosją taką, jaka ona jest", a Putin jest politykiem o „podobnych standardach" do niego.

Dlaczego Bratkiewicz to zrobił? Dlaczego zdecydował się tak mocno podkopać główną narrację polityczną Tuska? Dlaczego wykorzystał do tego człowieka oskarżonego o szpiegowanie dla Rosji?

Od jednego z polityków Lewicy usłyszeliśmy: „Nie mógł wybrać gorszego miejsca, by to zrobić. Premier będzie miał z tym poważny kłopot". To prawda. Sam Tusk pewnie nie wie, co kierowało byłym dyplomatą. Ale wie, że musi się bać. Nie sposób nie zapytać, czyim zasobem jest Bratkiewicz. Częścią jakiego planu był jego występ u Piskorskiego? Czy była to jego własna inicjatywa (wszak niezdrowo uwielbia Rosję, w tezach dla premiera Tuska do rozmów z Putinem nazywał cara Aleksandra I królem Polski, który „zaskarbił sobie sympatię Polaków"), czy może raczej realizacja jakiegoś zadania? Niezależnie od tej ostatniej kwestii, czy miał to być sygnał ostrzegawczy wysłany szefowi polskiego rządu: nie przesadzaj z tą antyrosyjskością, bo możemy wyciągnąć jeszcze wiele spraw?

> Bratkiewicz był ważnym urzędnikiem w MSZ pod rządami Sikorskiego po 2007 r. Przed dwoma tygodniami udzielił szokującego wywiadu oskarżonemu o szpiegostwo m.in. na rzecz Rosji Piskorskiemu, w którym wypowiadał zdania skrajnie niekorzystne dla Tuska

Jest co wyciągać. Nie ma wątpliwości, że kulisy rozmów Tuska z Putinem, a także ich najbliższych współpracowników zawierały elementy kompromitujące dzisiejszego antymoskiewskiego jastrzębia. Czy trzeba wielkiej wyobraźni, by zakładać, że zostało nagrane przez gospodarzy np. spotkanie szefa KPRM Tomasza Arabskiego z zastępcą szefa administracji Kremla Jurijem Uszakowem, na którym omawiano m.in. kwestię rozdzielenia wizyt katyńskich w kwietniu 2010 r.? Rzecz działa się w moskiewskiej restauracji, a Arabski nawet wyprosił w trakcie rozmowy tłumaczkę, by nie było świadków jego układania się z człowiekiem Putina. A był to ledwie jeden z bardzo wielu elementów polsko-rosyjskich puzzli układanych po przejęciu władzy przez Tuska.

ROCZNICA KATYNIA JAKO TEST

Sporo wiemy o tamtych czasach i możemy skonfrontować tę wiedzę z tym, co dziś opowiadają Tusk czy Sikorski, czyli dwa diabły przebrane w ornaty.

W licznych tekstach na łamach „Sieci" wspólnie z Marcinem Wikłą ujawniliśmy wiele dokumentów MSZ i KPRM sprzed kilkunastu lat. Odsłoniliśmy to, co politycy próbowali ukrywać i zakłamywać. Opisaliśmy wiele niejawnych dokumentów z rozmów przedstawicieli rządu Tuska z administracją Putina przed i po katastrofie smoleńskiej. Te najbardziej zdumiewające wyszły spod pióra Jarosława Bratkiewicza. I sięgnijmy tylko do nich, by pokazać, jak ważną rolę odgrywał ten człowiek w polskim rządzie.

30 września 2009 r. spotkał się on z Dmitrijem Poljańskim, zastępcą ambasadora Federacji Rosyjskiej w Warszawie. Byliśmy po uroczystościach na Westerplatte, gdzie Lech Kaczyński wygłosił słynne przemówienie o nierozliczonych zbrodniach wojennych ZSRR i neoimperialnej polityce współczesnej Rosji. Putin mógł tylko nerwowo kręcić się na swoim krześle.

eprasa.pl e4f04804a5

Rząd postanowił to wykorzystać. Kończył się już drugi rok „ocieplania" relacji z Moskwą, wzajemnych wizyt, zacieśniania współpracy gospodarczej, rozmów o nowym kontrakcie gazowym itd. To wszystko miało zostać zwieńczone w kwietniu 2010 r. w czasie 70. rocznicy ludobójstwa w Katyniu. Prezydent miał w tym nie przeszkadzać. Plan polskich dyplomatów zakładał, że aby uniknąć „konfliktu", należy wysłać Lecha Kaczyńskiego na obchody Dnia Zwycięstwa do Moskwy 9 maja, a w Katyniu spotkaliby się tylko premierzy Tusk i Putin, bez prezydenta. „[...] ewentualne spotkanie premierów RP i FR w Katyniu w kwietniu/maju 2010 r. [...] wskazałoby również, że dwa główne nurty dialogu i współpracy polsko-rosyjskiej [przyszłość i trudna przeszłość – przyp. red.] [...] są w sposób sukcesywny i skuteczny rozwiązywane pod przewodnictwem obu premierów" – pisał Bratkiewicz w notatce ze spotkania. Już w jej wstępie zastrzegał, że przytoczone wątki rozmowy z Poljańskim „wymagają większej dyskrecji". I ta została zachowana. Pismo trafiło do kierownictwa MSZ, ale nie do Kancelarii Prezydenta RP – tak samo jak kolejne tu cytowane.

10 tygodni później, w połowie grudnia 2010 r., Rosjanie już wiedzieli, że polskie władze są podzielone na dwa obozy: entuzjastyczny wobec Moskwy, skupiony wokół rządu, oraz znacznie bardziej pragmatyczny, reprezentowany przez Lecha Kaczyńskiego i jego otoczenie. Bratkiewicz spotkał się wówczas z dwoma rosyjskimi „ekspertami" od mediów – Jewgienijem Kożokinem z rządowej Rosyjskiej Federalnej Agencji ds. Rodaków (Rossotrudniczestwo) i Modestem Kolerowem, byłym doradcą Putina.

Z notatki Bratkiewicza poznajemy refleksje jego rozmówców. Kolerow stwierdza: „Polacy powinni zrozumieć dylematy i problemy współczesnej Rosji", chwilę później nazywa Zachód „idiotami w badawczych okularach", a Ukraińców i Białorusinów „Papuasami z peryferii". Podkreśla, że 2010 r. ma być „testowy" dla relacji polsko-rosyjskich. „Dla Rosji szczególnie ważne będzie, czy obchody katyńskie odbywać się będą w duchu »ekumenicznego« złożenia hołdu ofiarom polskim i sowieckim spoczywającym w lesie katyńskim [...]". Lech Kaczyński nigdy nie godził się na relatywizowanie zbrodni katyńskiej.

UCYWILIZOWAĆ ROSJĘ

Mijały kolejne tygodnie. Trwały coraz bardziej zaawansowane rozmowy z Rosjanami. Dopinano plan rozdzielenia wizyt. W styczniu było już bowiem wiadomo, że do Katynia wybiera się prezydent. Ale nie chcieli go tam ani Putin, ani Tusk. I wspólnie grali na ten cel.

> Podkreślmy: reset z Rosją zakończył się dopiero wraz ze zmianą władzy w 2015 r.! Wcześniej nie przeszkadzały w nim ani inwazja Rosji na Gruzję, ani budowa Nord Stream, ani katastrofa smoleńska, ani zajęcie Krymu i wschodniej Ukrainy

1 kwietnia 2010 r. Bratkiewicz sporządził notatkę „nt. koncepcji wizyty D. Tuska w Rosji" (ostatecznie zaplanowano ją na 7 kwietnia, Kaczyński miał do Katynia polecieć trzy dni później).

„Spotkanie Premierów Polski i Rosji w Katyniu ma charakter wydarzenia w pierwszej kolejności międzynarodowego, choć o istotnej recepcji zarówno wewnątrzpolskiej, jak i wewnątrzrosyjskiej. Z kolei wyjazd Prezydenta L. Kaczyńskiego do Katynia należy uznać przede wszystkim za »zagraniczny komponent« wewnątrzkrajowych uroczystości upamiętniających 70. rocznicę zbrodni katyńskiej". Prezydent niewywodzący się z tego samego obozu co Tusk już wtedy – i zawsze później (w przypadku zarówno Andrzeja Dudy jak i Karola Nawrockiego) – był brutalnie wycinany z prowadzenia polityki międzynarodowej. Najpodlejszymi metodami.

Pismo zawierało m.in. analizę nastrojów na Kremlu. Dowiedzieliśmy się zeń, że Moskwie chodzi o to, by spotkaniem w Katyniu nie tylko ostatecznie zamknąć w stosunkach z Polską temat zbrodni NKWD, lecz także wykorzystać je jako dowód dla świata, że „Rosja definitywnie się zmienia i poszukuje trwałych rozwiązań problemów, z jakimi nie uporała się przez dwadzieścia lat po upadku ZSRR".

Bratkiewicz podkreślał, że Rosjanie liczą, iż po 7 kwietnia Katyń przestanie obciążać nasze stosunki. „Dla znacznej części Rosjan, zwłaszcza elit, spotkanie Premierów w Katyniu ma oznaczać sfinalizowanie sprawy katyńskiej [...]". Było jasne, że Tusk w to wejdzie, a Kaczyński nie, dlatego wizytę prezydenta marginalizowano.

Udana wizyta w Rosji miała przynieść polskiemu premierowi określone profity na arenie międzynarodowej. „Dobry klimat spotkania Tusk–Putin w Katyniu może skutkować nadaniem nowej jakości relacjom UE–Rosja w kontekście polskiej Prezydencji w Radzie. Jeśli w Katyniu osiągnięty zostanie pożądany efekt, działania Polski staną się wzorem dla rozwiązywania spornych kwestii historycznych w relacjach innych państw UE z Rosją" – czytamy w notatce Bratkiewicza. Tusk chciał być postrzegany jako ten, który pierwszy w świecie potrafił ucywilizować stosunki ze wschodnim mocarstwem. Cena nie grała roli.

„ZAGOSPODAROWAĆ" KATASTROFĘ

A była nią – jak się okazało tydzień później – śmierć polskiego prezydenta, wszystkich dowódców rodzajów wojsk, szefów wielu urzędów centralnych, parlamentarzystów i bohaterów naszej wolności w smoleńskim błocie.

To nie jest przesadzony wniosek, o czym świadczy kolejna notatka Bratkiewicza, napisana ledwie dwa dni po naszej największej narodowej tragedii od II wojny światowej. Jej nagłówek wręcz mrozi: „ws. możliwości intensyfikacji stosunków polsko-rosyjskich".

eprasa.pl e4f04804a5

12 kwietnia 2010 r. Polacy na ulicach Warszawy oddawali hołd Marii Kaczyńskiej. Karawan z ciałem prezydentowej, obsypywany jej ulubionymi tulipanami, zmierzał do pałacu prezydenckiego. Ciągnęły się tam kolejki tysięcy ludzi, którzy godzinami czekali, by przez chwilę pokłonić się parze prezydenckiej. W tym samym czasie na miejscu katastrofy rosyjskie służby niszczyły dowody – wybijały szyby we wraku, wycinały drzewa, przenosiły elementy samolotu. Kremlowska propaganda bez jakichkolwiek badań kolportowała kłamstwa o winie pilotów. Polski rząd ani myślał prosić o pomoc NATO czy instytucje unijne. W Moskwie trwało bezczeszczenie zwłok ofiar. Roztrzęsione rodziny przechodziły gehennę podczas identyfikacji. Polskie służby nie panowały nad niczym – nikt nie pilnował sekcji zwłok ani nawet należytego składania ciał do trumien.

Dokładnie w tym momencie Bratkiewicz rozpoczynał swój dokument słowami: „Spotkanie Premierów Polski i Rosji 7 kwietnia w Katyniu oraz tragiczna śmierć polskiej delegacji w katastrofie lotniczej w Smoleńsku 10 kwietnia br. stworzyły szczególny klimat w relacjach dwustronnych, wydatnie poszerzający przestrzeń dialogu, współpracy i pojednania". Radosław Sikorski postawił na nim swoją parafkę, nie kwestionując oburzającej treści.

O „przełomie" w relacjach między obydwoma państwami Bratkiewicz pisał: „Można uznać, że głębia współczucia oraz zakres pomocy ze strony rosyjskiej przekroczył standardowe zachowania. [...] Znamienną wymowę ma też spotkanie D. Tuska i W. Putina na lotnisku w Smoleńsku, gdzie obaj premierzy złożyli hołd ofiarom katastrofy lotniczej oraz spontanicznie objęli się, przywołując tym samym symbolikę gestu pojednania, poczynionego w 1990 r. w Krzyżowej przez T. Mazowieckiego oraz H. Kohla". Skoro według MSZ (i wtedy, i dziś miało tego samego szefa) ten gest miał tak ważną wymowę, dlaczego obecnie Donald Tusk się go tak wstydzi i wpada w furię, gdy jest mu on przypominany?

I jeszcze wnioski Bratkiewicza: „Wyraźnie poszerzona przestrzeń życzliwości i pojednania polsko-rosyjskiego wymaga odpowiedniego jej zagospodarowania w postaci działań jednostkowych i instytucjonalnych". Powtórzmy: był 12 kwietnia. Dwa dni po katastrofie. Już zaczynało się „zagospodarowywanie klimatu" stworzonego przez śmierć prezydenta.

Kilka miesięcy później dopięli niekorzystną dla Polski umowę gazową, doprowadzili do nawiązania współpracy FSB z SKW, wprowadzili tzw. mały ruch graniczny, odblokowali negocjacje nowej umowy UE–Rosja itd. Jak obecnie przyznaje Bratkiewicz, nie zatrzymała ich nawet agresja Rosji na Ukrainę w 2014 r., będąca spełnieniem proroctwa Lecha Kaczyńskiego wypowiedzianego w 2008 r. w Tbilisi.

> Dlaczego Bratkiewicz zdecydował się tak mocno podkopać główną narrację polityczną Tuska? Czy była to jego własna inicjatywa, czy może miał to być sygnał ostrzegawczy wysłany szefowi polskiego rządu: nie przesadzaj z tą antyrosyjskością, bo możemy wyciągnąć jeszcze wiele spraw?

Dziś Bratkiewicz mówi dokładnie takim samym językiem, jak przed kilkunastu laty mówił on i jego przełożeni. Liczy na dogadanie się z Rosją (choć za pośrednictwem partnerów, np. „naszego niemieckiego sojusznika") i stworzenie międzynarodowego „obozu dobrej wiary", który „pokazałby, że gotów jest się włączyć w sprawy rozwikłania problemu wschodniego".





Zdaniem Bratkiewicza w tym celu należy w Polsce „wziąć całkowity rozbrat z rusofobią", podjąć „dialog i współpracę na szczeblu samorządności terytorialnej", a przede wszystkim skończyć z tymi wszystkimi „rachunkami krzywd" i „martyrologią". „To niech się pojawia w ostatniej instancji, a najlepiej, gdyby w ogóle było zamknięte głęboko w pudle i z tego pudła już się nie wydostawało" – rozmarzył się Bratkiewicz, a Piskorski tylko kiwał głową.

To nie jest niemożliwe. Wystarczy jakiś przełom na Ukrainie, jedna decyzja w Berlinie i Donald Tusk znów może dostrzec „podobne standardy" u władcy z Kremla, które widział w lutym 2008 r. W sprawach wschodnich nie ma bowiem polityka mniej wiarygodnego i bardziej zakłamanego.

Fot. archiwum Fratria

eprasa.pl e4f04804a5

Efekt Czarnka

Nie minął jeszcze miesiąc od prezentacji pisowskiego kandydata na premiera, a już można powiedzieć, że działa „efekt Czarnka". Były minister edukacji dobrze sobie radzi w roli frontmana głównej partii opozycyjnej. Nie spełniły się prognozy, że będzie klapa, bo jest politykiem zgranym, jednowymiarowym i zbyt starym, aby móc uchodzić za twarz nowego otwarcia prawicy





PIOTR GURSZTYN

Czarnek, Czarnka, Czarnkowi. Przemysław Czarnek to temat numer jeden w mediach tradycyjnych oraz internecie. Opisywany i komentowany na poważnie, bez żadnych drwin, że PiS wystawiło „premiera z tabletu", jak kiedyś naigrywano się z kandydata na premiera technicznego Piotra Glińskiego. Tym razem konkurencja próbuje dyskredytować Przemysława Czarnka jako kogoś groźnego, a nie groteskowego.

Od 7 marca, czyli od ogłoszenia 49-letniego polityka kandydatem na premiera, minęło niewiele czasu, ale widać pierwsze skutki. PiS mówi już jednym głosem. Przemysław Czarnek skleił tę partię. Odgrywa rolę tego, który decyduje o obowiązującej w Prawie i Sprawiedliwości narracji. Chwilę wcześniej przecież tego nie było. Partia była pokłócona, a jej politycy przekazywali sprzeczne komunikaty. Teraz temat podziałów w PiS i ewentualnego rozłamu zszedł z agendy. W programach publicystycznych – tych, w których boksują się politycy – już się o tym nie mówi. Od początku marca tematem jest Przemysław Czarnek. Jako ktoś bardzo groźny, czyli poważny.

Na tym etapie plan kierownictwa PiS zadziałał bardzo dobrze. Co będzie dalej? Czy Czarnek pozostanie silną lokomotywą ciągnącą partię ku zwycięstwu – tego jeszcze nie wiemy. Ale sukcesem jest już to, co się wydarzyło do tej pory – ku zauważalnej irytacji strony liberalnej. „Przemysław Czarnek zebrał wiele pochwał ze strony niepisowskich mediów, jaki to trafny wybór Kaczyńskiego, ależ ma siłę w głosie" – jak napisał jeden z dziennikarzy liberalnego tygodnika. I jeszcze ta „prostota przekazu". „To uwodzenie przez prawicę, mimo tylu nauczek, wciąż jest skuteczne" – narzekał główny komentator tygodnika „Polityka" Mariusz Janicki.

Fenomen Czarnka ciekawie ujął dziennikarz „Gazety Wyborczej" Arkadiusz Gruszczyński: „Politycy KO powoli zaczynają dostrzegać, że Czarnek ma wiele cech, które w warunkach kampanijnych mogą okazać się zabójcze dla strony demokratycznej. Wiecowe talenty, dosadny język, taki, jakim mówią zwykli ludzie, umiejętność prostego i obrazowego streszczania problemu, podobna do tej, którą kiedyś miał chłopski trybun Andrzej Lepper oraz urok osobisty – to, co dla wielu komentatorów jest „Edkiem z »Tanga« Mrożka i »buractwem«, wiele osób odbiera jako swojskość – to tylko część obrazu. Czarnek ma coś, co wyborcy i publicyści widzieli u Nawrockiego: chce się bić i na końcu wygrać". I przy okazji zauważył kluczową rzecz – KO nie ma nikogo takiego, kto teraz byłby skutecznym sparingpartnerem dla Czarnka.

Fot. Przemysław Czarnek/X.com

eprasa.pl e4f04804a5

Uznanie ze strony przeciwnika to nadzwyczajna forma pochwały. W sumie warta dwa razy więcej niż pozytywne oceny formułowane przez zwolenników. Szczególnie że nie jest tak, iż Przemysław Czarnek to samograj, któremu wszystko miało wyjść. Eksperyment mógł się zakończyć porażką już na samym początku.

NA FALI

Zacznijmy od wad i obciążeń, które mogły zniweczyć nowe otwarcie. Czarnek nie jest politykiem świeżym. Był ministrem w rządzie Mateusza Morawieckiego, więc pod jego adresem można kierować wiele pretensji. Nie jest też tak młody, jak kierownictwo PiS reklamowało przed wyjawieniem nazwiska. Oczekiwania, wyrażane także przez wielu prawicowych komentatorów, były takie, że partia wystawi kogoś zauważalnie młodszego i zaskakującego. Drugiego Karola Nawrockiego.

Także te cechy, które dzisiaj są odbierane jako jego zalety, mogły się stać obciążeniem. Jako atuty Czarnka wymienia się to, że jest profesorem, prawnikiem, wykładowcą uniwersyteckim, co łączy się z ludową żywiołowością, brakiem elitaryzmu, łatwością rzucania chwytliwych zdań i określeń, niekiedy wręcz populistycznych. Ale polityczna konkurencja stara się odwracać znaczenia, tak by pogrążyć przeciwnika: jeśli profesor, to znaczy, że oderwany od ludzkich spraw. Członek elit, a nie ktoś, kto walczy z establishmentem. Jeśli sprawny mówca wiecowy, to dałoby się go przedstawić jako demagoga, który gada głupoty. W ogóle nie zadziałały nadzieje KO, że pogrąży go jakaś domniemana afera z serii Willa plus.

Przemysław Czarnek jest na fali i wszystko, co robi, odbiera się jako atut, a nie wadę. Oprócz osobistych zalet sprzyjają mu okoliczności zewnętrzne. Od kilku dni Koalicja Obywatelska ma złą passę – zamykane porodówki, afera pedofilska na Dolnym Śląsku, doniesienia o dziurze budżetowej i rosnącym bezrobociu.

Ostatnie badanie CBOS pokazało, że gdy Polacy rozmawiają o polityce, w ogóle nie są zainteresowani tematem rozliczeń rządów PiS. Więc dlaczego jakaś Willa plus miałaby pogrążyć Czarnka? Upływ czasu to nadzwyczaj ważny czynnik w polityce, a Koalicja Obywatelska o tym zapomina, żyjąc nadziejami, że uda się pogrążyć PiS jakimiś aferami sprzed lat.

Przemysław Czarnek jest na fali i wszystko, co robi, odbiera się jako atut. Oprócz osobistych zalet sprzyjają mu okoliczności zewnętrzne. Od kilku dni KO ma złą passę – zamykane porodówki, afera pedofilska na Dolnym Śląsku, doniesienia o dziurze budżetowej i rosnącym bezrobociu

UPŁYW CZASU I SCHŁADZANIE EMOCJI

Pozwólmy sobie na dygresję na temat czynnika czasu. Zwłaszcza że wiąże się z partią Donalda Tuska. To opowieść o tym, jak do polityki wrócił człowiek uważany za całkowicie skompromitowanego w roli premiera, czyli Jerzy Buzek. Po katastrofie wyborczej 2001 r., gdy jego partia nawet nie przekroczyła progu wyborczego, uważano go za człowieka skończonego, skrajnie niepopularnego. Nikt go nie chciał. Pukał do drzwi PiS, ale tam uznano go za obciążenie i odmówiono przyjęcia. Przygarnęła go PO i w 2004 r. wystawiła w wyborach do Parlamentu Europejskiego. To były pierwsze polskie eurowybory, wtedy powszechnie lekceważone i traktowane jako podrzędne w polskiej polityce. Niejako z łaski dano zatem Buzkowi miejsce na liście wyborczej, a on uzyskał rewelacyjny wynik – 173 tys. głosów. Pierwsze miejsce w kraju. To historia, która pokazuje, że upływ czasu wychładza doraźne emocje i tworzy nowe kryteria oceny.

ENERGETYCZNE SPOTKANIA Z WYBORCAMI

Podkradnijmy „Wyborczej" trafną ocenę: Przemysław Czarnek chce się bić i wygrać. Widać to, gdy przemawia w imieniu partii z mównicy sejmowej. A jeszcze bardziej, kiedy jedzie na spotkania z wyborcami. Wybiera mniejsze ośrodki. Katowice były wyjątkiem, ale oprócz nich to Iława, Lubartów, Kolbuszowa, Staszów, Wysokie Mazowieckie. To w takich miastach PiS ma szczególnie wielu wyborców i tam też straciło część elektoratu na rzecz Grzegorza Brauna oraz Konfederacji. Politycy PiS uważają bezpośrednie spotkania za szczególnie skuteczne, jeśli chodzi o docieranie do elektoratu i jego mobilizowanie. Jest zresztą tak, że na tego rodzaju mityngi przyjeżdżają zorganizowane grupy zwolenników prawicy z szerszej okolicy, sąsiednich miast i powiatów. To sprzyja nie tylko aktywizowaniu lokalnych struktur i sympatyków, lecz także ich mocniejszej integracji.

Oceny uczestników spotkań z Czarnkiem są jednoznacznie pozytywne. Frekwencja – bardzo dobra, udana wiecowa atmosfera, lud pisowski poczuł przypływ nowej energii. Czarnek prezentuje się jako utalentowany mówca, jego antyestablishmentowa retoryka trafia do słuchaczy. A wbrew stereotypom twardy pisowski elektorat bywa dość wybredny. Nieraz było słychać negatywne opinie po wcześniejszych wystąpieniach znanych polityków tej partii. Słuchacze narzekali na ich nudne i sztampowe przemówienia, słabe odpowiedzi na pytania z sali, wyczuwalny brak wiedzy w ważnych dla ludzi tematach.

Dobrze chwyciły frazy typu „OZE-sroze". Ale był też bliski błędu, gdy frontalnie skrytykował fotowoltaikę. Było to ryzykowne, bo masa ludzi w Polsce skorzystała z dofinansowań i zamontowała na dachach panele. Programy

eprasa.pl e4f04804a5

były przecież prowadzone przez rząd PiS, a beneficjantami okazali się także wyborcy tej partii. Nawet ludzie krytyczni wobec polityki klimatycznej UE nie mają tu jednoznacznie negatywnego stosunku, bo uważają, że w tej kwestii można jednocześnie mieć ciastko i je zjeść. Do tej pory temat fotowoltaiki jest przypominany przez polityków strony rządowej krytykujących Czarnka. Widać jednak, że nie przynosi mu to szkód. To pokazuje, że istnieje duży kredyt zaufania i życzliwości wobec niego.

PRECZ Z ETS, DROGA BENZYNA, PRAWO DO LECZENIA

Sprzyja mu też to, że większość Polaków domaga się asertywnej polityki wobec Brukseli. Według podanych przez media wewnętrznych pisowskich badań takiego zdania jest 70 proc. ankietowanych. Dlatego tak dobrze rezonuje temat, którego Przemysław Czarnek stał się głównym głosicielem, czyli hasło skasowania podatku ETS. „Precz z ETS, które jest największą szkodą dla gospodarki europejskiej, dla gospodarki polskiej i może przynieść dramaty polskich rodzin już w najbliższej przyszłości" – rzucił hasło, do którego musieli się odnieść wszyscy. Tu poszło szczególnie skutecznie, bo ma wsparcie w postaci głosu prezydenta Karola Nawrockiego i jego zablokowanych w Sejmie inicjatyw ustawodawczych. Postawił w trudnej sytuacji Donalda Tuska, który wprawdzie pojechał do Brukseli na spotkanie w sprawie ETS, ale nie przywiózł niczego konkretnego. Zmiany – jeśli nastąpią – będą kosmetyczne. Na płaszczyźnie narracji i polemiki Tusk jest w złej sytuacji, bo musi się tłumaczyć i usprawiedliwiać, a nie ma możliwości ataku czy bardziej ofensywnej polemiki. ETS kojarzy się już tylko negatywnie. Błąd strony rządowej jest tym większy, że wchodzi w te polemiki, próbując przejąć język Czarnka. W ten sposób pisowski „kandydat na kandydata" staje się najważniejszym punktem odniesienia dla wszystkich uczestników życia politycznego.

Wspomnieliśmy o złej passie KO. Dla rasowego mówcy wiecowego, jakim jest Czarnek, to tematy, które są żyłą złota. Przypomnijmy jego ostatni trick wiecowy: Czarnek z kanistrem oklejonym zdjęciem Tuska i napisem „10 złotych", z jasną sugestią, że to spodziewana cena litra benzyny. I do tego chwytliwe hasło: „Tusk = bankructwo. Zadłużony hazardzista Donald Tusk wprowadza w Polsce scenariusz grecki". Problem deficytu budżetowego przestaje być dla przeciętnego Polaka tematem abstrakcyjnym, a Czarnek przedstawia to bardzo konkretnie: „Zadłużony hazardzista Tusk odbiera pacjentom prawo do leczenia! Właśnie dowiadujemy się, że NFZ ograniczy liczbę gastroskopii, kolonoskopii, badań tomografem i rezonansu magnetycznego. To rząd znieczulicy społecznej".

> Podkradnijmy „Wyborczej" trafną ocenę: Czarnek chce się bić i wygrać. Widać to, gdy przemawia w imieniu partii z mównicy sejmowej. A jeszcze bardziej, kiedy jedzie na spotkania z wyborcami

ZATRZYMANA KONFEDERACJA

Udana szarża Przemysława Czarnka na ETS (razem z prezydentem Nawrockim) sprawiła kłopot także Konfederacji. Jej dotychczasowy przekaz, że winne jest tak samo PiS (które nie rządzi od ponad dwóch lat), jak i KO, stał się mocno przeterminowany. A nowego jeszcze nie wymyśliła. Wiecowy zawadiaka Czarnek zaczął monopolizować pozycję najbardziej antysystemowego polityka w Polsce. A nakręcający w odpowiedzi polaryzację Donald Tusk wzmocnił mechanizm marginalizowania Konfederacji. Dodatkowo ataki Sławomira Mentzena na Czarnka zaczęły wyglądać jak przejawy współdziałania z KO. Mentzen traci urok polityka antysystemowego. Przy okazji zniknął też gdzieś Grzegorz Braun. Powygłupiał się z Indiami i Iranem, a teraz jest o nim cicho.

Wszystko wskazuje na to, że zatrzymał się trend wzrostowy Konfederacji Mentzena i Bosaka, a także Brauna. W marcowych sondażach PiS się odbiło.

KAMPANIJNY TRYB DZIAŁA

Na koniec wróćmy do recenzji ze strony jawnie nieprzyjaznej Czarnkowi i prawicy. Piotr Pacewicz z lewicowego portalu OKO.press napisał tekst o kandydacie PiS w formie nieżyczliwej, ale treści całkiem pozytywnej: „Czarnek miał pojechać po prawicowej bandzie. I jedzie. Jako głośny i duży mężczyzna, mocny w gębie i wyraźnie zachwycony sobą, podrasowany w agresji skierowanej na wszystko, co »lewackie«, unijne, »zielone« i oczywiście na Donalda Tuska, miał ująć za serce wyborców o konfederackich upodobaniach". W konkluzji Pacewicz przyznał się do własnej błędnej prognozy. Tuż po ogłoszeniu nowej funkcji Czarnka pisał, iż sondaże wskazują na klapę tego projektu. Teraz przeanalizował pięć badań różnych pracowni, które przeprowadzono po 7 marca. W czterech odnotował coś, co nazwał „efektem Czarnka", czyli lepsze sondaże PiS niż łączne notowania obu Konfederacji – mentzenowsko-bosakowskiej i braunowskiej: „Wygląda więc na to, że w połowie marca PiS odrabia część strat, jakie poniósł po wyborach 2023 r., a lot w górę obu Konfederacji co najmniej się zatrzymał".

Płynie z tego wniosek, że na obecnym etapie zrealizowany został jeszcze jeden cel PiS – zahamowanie odpływu wyborców do prawicowej konkurencji. To sukces Przemysława Czarnka. Jak będzie dalej? Nie ma co zgadywać, bo do ostatecznego finału, czyli wyborów parlamentarnych, jeszcze 18 miesięcy. Wszystko może się zdarzyć. Ale jedno można powiedzieć – PiS „umie w kampanie". W takim trybie partia Jarosława Kaczyńskiego funkcjonuje o niebo lepiej niż w pokampanijnym marazmie, który niedawno obserwowaliśmy. A na razie, jak widać, Przemysławowi Czarnkowi nie brakuje energii, aby podtrzymywać ten tryb.

eprasa.pl e4f04804a5

Pedofil Obywatelski

Szef powiatowych struktur PO w wielkopolskim Złotowie przez lata molestował dzieci. Partia udawała, że o niczym nie wie. Zboczeniec skrzywdził 14 dziewczynek. Tej sprawie z bliska przyjrzeli się reporterzy telewizji wPolsce24 i tygodnika „Sieci”





STANISŁAW PYRZANOWSKI ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Donald Tusk rzuca się do walki z pedofilami wtedy, kiedy pilnie potrzebuje sondażowych punktów albo przykrycia klęsk swojego rządu. Tak było w 2008 r., kiedy premier ogłosił, że sprawcy przestępstw seksualnych wobec dzieci będą kastrowani chemicznie. „W żadnym państwie europejskim nie ma tego typu przepisów? Ktoś musi być pierwszy” – grzmiał Tusk, podkreślając, że chce skonstruować w Polsce „wzorowy, to znaczy najbardziej represyjny i rygorystyczny zapis wobec zbrodniarzy, którzy gwałcą dzieci”. O „kastracji” mówiło się przez kilka tygodni, dziennikarze prorządowych mediów podziwiali zdecydowanie premiera. Oczywiście z projektu nic nie wyszło. W 2011 r. ogłoszono oficjalnie, że Tusk już nie chce kastrować zboczeńców.

Pedofile ponownie stali się ważni dla premiera, kiedy w Stanach Zjednoczonych odtajniono dokumenty dotyczące seksualnego drapieżcy Jeffreya Epsteina. Kalkulacja była prosta – skoro pojawia się w nich nazwisko znienawidzonego Donalda Trumpa (podobnie zresztą jak ukochanego Billa Clintona i wielu innych prominentnych amerykańskich polityków), to trzeba zrobić zamieszanie, przy okazji obrzucając błotem „kolegów” Trumpa, czyli prezydenta Karola Nawrockiego i PiS. Tusk powołał więc specjalną komisję mającą zbadać „polskie wątki afery Epsteina”.

„Każdy przyzwoity człowiek powinien wykluczać jakiekolwiek relatywizowanie kwestii pedofilii. To jest zbrodnia przeciwko dzieciom. Można się spierać na różne tematy. Każdy ma w domu córkę, wnuczkę. Każdy wie, o czym mówimy. Tu nie ma miejsca na żadne usprawiedliwiania, relatywizowanie, że »to nic strasznego«” – mówił łamiącym się głosem premier.

GRANAT W RĘKACH

Tym razem jednak granat eksplodował w jego rękach. Światło dzienne ujrzała bowiem potworna zbrodnia z Kłodzka. 45-letni zwyrodnialec został skazany na 25 lat więzienia za 26 przestępstw, w tym wielokrotne gwałty i inne czyny pedofilskie na szkodę małoletnich dziewczynek (w tym własnej pasierbicy), a także za zoofilię i znęcanie się nad zwierzętami ze szczególnym okrucieństwem.

Jego była żona, 41-letnia Kamila L., usłyszała wyrok 6 lat i 6 miesięcy więzienia za nieudzielenie pomocy swojej małoletniej córce, która przez lata była ofiarą gwałtów ze strony męża (mimo że kobieta była świadoma przestępstw) oraz za 8 czynów zoofilskich polegających na znęcaniu się nad psami.



eprasa.pl e4f04804a5

Kamila L. to wieloletnia działaczka Platformy Obywatelskiej. Znała się ze wszystkimi w lokalnych strukturach partii. Ma zdjęcia ze wszystkimi. Jeszcze w trakcie śledztwa, kiedy stała pod prokuratorskimi zarzutami, nie tylko walczyła o lepszą Polskę bez Prawa i Sprawiedliwości, lecz także zabiegała o miejsce na wyborczej liście PO.

Dziś nikt jej nie zna, nikt się do niej nie przyznaje. Ale zostały tony zdjęć, słodkich selfiaczków z paniami posłankami i pamięć świadków. Kamila L. robiła straszne rzeczy. Nikt tego nie widział. Nikt z tym nic nie zrobił.

Podobna tragedia – choć znacznie bardziej jednoznaczna, jeśli chodzi o uwikłanie partii Tuska w proces tuszowania sprawy – wydarzyła się w północnej Wielkopolsce. Przyjrzeli się jej z bliska reporterzy telewizji wPolsce24 i tygodnika „Sieci".

Piotr P. to biznesmen z Jastrowia koło Złotowa, szef lokalnego stowarzyszenia i przez niemal 20 lat działacz Platformy. Od 2014 r., po rezygnacji dotychczasowego szefa, kierował powiatowymi strukturami partii. Najpierw jako najstarszy wiceprzewodniczący, potem, od wewnętrznych wyborów w 2016 r. – jako pełnoprawny szef powiatu.

Poza polityką P. pasjonował się sportem i pracą z młodzieżą. Jego konikiem był badminton. Trenował lokalny zespół, którego trzon stanowiły dziewczynki. P. – we własnym mieszkaniu – korygował też wady postawy dzieci. Dokumentował swoją pracę i wysyłał rodzicom zdjęcia wraz z opisami. Jeden z takich pakietów fotografii, być może wysłany przypadkowo, zaniepokoił mamę uczestniczki zajęć. Zdjęcia przedstawiały wyłącznie dolne partie dziecka, w sporych zbliżeniach. Dziewczynka była w samej bieliźnie.

STRASZNA PRAWDA

Zaczęło się kojarzenie faktów i trudne rozmowy z dziećmi. Straszna prawda wyszła na jaw. Najpierw w 2021 r. czworo, a potem kolejni rodzice zawiadamiali organy ścigania, że ich dzieci były molestowane przez Piotra P. Na początku grudnia 2023 r. lider powiatowej Platformy został zatrzymany i tymczasowo aresztowany. Zarzuty były bardzo poważne. Chodziło o „doprowadzenie do innej czynności seksualnej" powierzonych jego opiece dzieci, a także utrwalanie nagiego wizerunku pokrzywdzonych. Ze względu na dobro dzieci prokuratura nie ujawnia szczegółów. Nieoficjalnie wiadomo jednak, że dziewczynki miały w chwili popełnienia przestępstw 11–12 lat...

> Jak to możliwe, że człowiek z zarzutami prokuratorskimi dotyczącymi wykorzystywania nieletnich pełni funkcję szefa struktur Platformy Obywatelskiej? Dlaczego facet, o którym wszyscy mówią per „majtkowy", układa listy wyborcze i organizuje PO kampanie?



Sąd Rejonowy w Złotowie nie miał żadnych wątpliwości. Piotr P. jest winny ohydnych zbrodni. Wiosną 2025 r. zapadł wyrok 11 lat więzienia, a więc bardzo surowy jak na polskie warunki. Możemy się domyślać, że przedstawione za zamkniętymi drzwiami sali rozpraw dowody były dla Piotra P. miażdżące.

Wydawało się, że sprawa została zamknięta, a zboczeniec sprawiedliwie osądzony. Wtedy polityczną bombę odpalił powiatowy radny, a do niedawna członek zarządu powiatu złotowskiego – Aleksander Antoniewicz. Publicznie w miejscowej telewizji oskarżył lokalne środowisko polityczne, a szczególnie Platformę Obywatelską, o wieloletnie tuszowanie niebezpiecznych skłonności Piotra P. Opowiedział o sytuacji sprzed kilku lat, kiedy praktykantki P. miały zgłaszać na policji, że są molestowane czy nawet „gwałcone" przez zwyrodnialca.

Wszyscy mieli wiedzieć, ale milczeli. Platforma miała doskonale zdawać sobie sprawę z tego, kim jest jej szef, ale nic z tym nie zrobiła. Przeciwnie, Piotr P. brylował na politycznych salonach, robił sobie zdjęcia z parlamentarzystami (najwięcej z posłem Henrykiem Szopińskim i lokalnym bossem Platformy senatorem Adamem Szejnfeldem), zapraszał partyjne gwiazdy na spotkania do Złotowa i Jastrowia.

Zdania wypowiadane przez Antoniewicza miały tym większą wagę, że nie padały z ust jakiegoś „pisowca", zapiekłego wroga partii Donalda Tuska. Przeciwnie, w wyborach w 2024 r. związany przez lata z Lewicą samorządowiec startował (z powodzeniem) do rady powiatu z listy Platformy Obywatelskiej.

PAN PIOTR GWAŁCI

W rozmowie z telewizją wPolsce24 Aleksander Antoniewicz wrócił do sprawy, o której opowiedział po wyroku na P. z 2025 r.

„Pojawiły się u mnie praktykantki pana Piotra i powiedziały mi: »Pan Piotr gwałci nas na zapleczu«. Powiedziałem im, żeby to zgłosiły na policję" – wspomina w rozmowie z telewizją wPolsce24 Antoniewicz. „Wiem, że te dziewczyny to zrobiły" – dodaje.

Według Antoniewicza w sprawie nic się nie działo przez dziewięć miesięcy.

„Potem zostały przesłuchane i po dwóch tygodniach postępowanie zostało umorzone" – opowiada.

Samorządowiec nie ma wątpliwości, że gdyby Piotr P. nie był szefem lokal-

eprasa.pl e4f04804a5



nej Platformy Obywatelskiej, śledztwo mogłoby się potoczyć inaczej. Ze smutkiem podkreśla, że gdyby wówczas na poważnie zajęto się zboczeńcem, nie byłoby kolejnych ofiar. 14 skrzywdzonych przez Piotra P. dziewczynek mogłoby się cieszyć spokojnym, szczęśliwym dzieciństwem.

Zweryfikowaliśmy podawane przez samorządowca informacje. Rzeczywiście, od marca 2016 r. prokuratura w Złotowie prowadziła śledztwo dotyczące Piotra P. Jak mówi rzecznik Prokuratury Okręgowej w Poznaniu Łukasz Wawrzyniak, działaczowi Platformy przedstawiono zarzuty. Dotyczyły one „wykorzystania stosunku zależności wobec małoletnich pracownic odbywających praktyki zawodowe i doprowadzeniu ich do poddania innej czynności seksualnej" na przełomie lat 2011 i 2012, a także od września 2015 r. do marca 2016 r.

27 lutego 2017 r. śledztwo zostało umorzone „z braku danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia czynu zabronionego".

Jak to możliwe, że człowiek z zarzutami prokuratorskimi dotyczącymi wykorzystywania nieletnich pełni funkcję szefa struktur partii politycznej. Dlaczego facet, o którym wszyscy mówią per „majtkowy", układa listy wyborcze i organizuje Platformie Obywatelskiej kampanie? Czy w ogóle można zakładać, że w małym miasteczku udało mu się ukryć przed partyjnymi kolegami to, że jest prowadzone przeciwko niemu śledztwo? Dlaczego już wtedy nie wykluczono Piotra P. z Platformy? Albo chociaż nie zawieszono? Przecież był ważnym członkiem partii, szefem jej lokalnych struktur!

> Pojawiły się u mnie praktykantki pana Piotra i powiedziały mi: „Pan Piotr gwałci nas na zapleczu". Powiedziałem im, żeby to zgłosiły na policję – opowiada w rozmowie z telewizją wPolsce24 Aleksander Antoniewicz, złotowski radny

„MAJTKOWY"? NIE KOJARZĘ

Nawet dzisiaj, kiedy mleko się rozlało, politycy – teraz już Koalicji Obywatelskiej – nie mają sobie nic do zarzucenia. Przeciwnie, atakują media i osoby ujawniające fakty w sprawie ich do niedawna lidera. Starosta złotowski Patryk Wruk jest oczywiście oburzony, że kolega z partii krzywdził dzieci. Ale o wszystkim dowiedział się dopiero w 2023 r. A przecież Piotr P. został po aresztowaniu usunięty z partii. Co z jego wcześniejszymi sprawami? Nic nie wiedział, jest za młody.

O niczym nie miał też pojęcia najbardziej dziś znany złotowski polityk KO, poseł Henryk Szopiński. „Majtkowy"? Nie kojarzy, żeby o Piotrze P. ktoś tak mówił. Śledztwo w sprawie praktykantek? Nic o nim nie wiedział. O tym, że P. molestuje dzieci, usłyszał dopiero w grudniu 2023 r.

„Byłem w szoku. Do mnie takie sygnały nigdy nie docierały" – zarzeka się w rozmowie z telewizją wPolsce24 Szopiński.

Proces Piotra P. najprawdopodobniej ruszy niebawem ponownie. Sąd okręgowy, gdzie trafiła apelacja, doszukał się bowiem „bezwzględnej przesłanki odwoławczej" polegającej na tym, że podczas jednej z rozpraw przez kilka minut na sali nie było obrońcy zwyrodnialca. Skrzywdzone dziewczynki wciąż czekają na sprawiedliwość. A my także na odpowiedź ze strony liderów Koalicji Obywatelskiej: co zrobiliście, żeby zapobiec tej tragedii?

wPolsce24

W poniedziałek 30 marca 2026 r. na antenie telewizji wPolsce24 zostanie wyemitowany reportaż Stanisława Pyrzanowskiego zatytułowany „Piotr P. z Platformy"

eprasa.pl e4f04804a5



Marcin policmajster

Minister spraw wewnętrznych Kierwiński usilnie pracuje na oskarżenie z art. 128 Kodeksu karnego, co grozi karą nawet 20 lat więzienia



STANISŁAW JANECKI

20 marca 2026 r. nieproszony wyrwał się, żeby zadeklarować, iż przy pomocy policjantów dostarczy sześć nowo wybranych osób na wakujące etaty sędziowskie w Trybunale Konstytucyjnym. Marcin Kierwiński, minister spraw wewnętrznych, nadzorujący m.in. policję, wyrwał się niczym Antek Król, bohater filmu „Antek policmajster" z 1935 r. (grany przez Adolfa Dymszę) w reżyserii Michała Waszyńskiego. Na skutek zabawnego zbiegu okoliczności Antek został uznany za policmajstra. Kierwiński został uznany za człowieka nadającego się na szefa resortu spraw wewnętrznych na podstawie smutnego zbiegu okoliczności.

Kierowanie przez Marcina policmajstra 100 tys. policjantów to wyjątkowo grube nieporozumienie. Minister spraw wewnętrznych nie dysponuje żadnymi podstawami prawnymi, żeby wchodzić z policją do Trybunału Konstytucyjnego. Ale sam przyznaje sobie to prawo. 20 marca w TVP Info stwierdził: „Jeżeli pan Święczkowski będzie utrudniał nowo wybranym sędziom rozpoczęcie pracy, nie pozwoli im wejść, to oczywiście państwo w tej sprawie będzie reagować. […] Prokuratura, policja mają swoje obowiązki". Mają obowiązki, ale nie mogą działać jak jakaś bojówka, tym bardziej wobec organu konstytucyjnego. Gdy 9 stycznia 2024 r. policja – wtedy także nadzorowana przez Kierwińskiego – weszła do pałacu prezydenckiego, by zatrzymać posłów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, szef MSWiA miał przynajmniej jakieś dokumenty z sądu. Teraz nie ma nic.

Ale samo zatrzymanie w 2024 r. było wielkim skandalem i to jemu bardzo zależało na spektakularnej akcji. 10 stycznia 2024 r. Marcin Kierwiński mówił: „Niezależnie od tego, że miejscem tej realizacji [zatrzymania Kamińskiego i Wąsika] był pałac prezydencki, zrobiono to profesjonalnie, z pełnym poszanowaniem – chcę to bardzo mocno podkreślić – żeby nie narazić pana prezydenta na jakiekolwiek niedogodności wynikające z tego, co policja musi robić". I dodał, że „policja wystąpiła o stosowną pomoc do SOP [Służby Ochrony Państwa]. Z tej perspektywy SOP w tej operacji uczestniczył. […] SOP pomógł w doprowadzeniu obu panów do miejsca odosobnienia". Tyle tylko, że policyjna akcja wyglądała tak, jakby chodziło o groźnych gangsterów, a nie skazanych za przestępstwo urzędnicze. I policjanci wtargnęli do pomieszczeń, w których mogą przebywać tylko osoby uprawnione ze względu na ważne tajemnice państwowe. To poka-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e4f04804a5

zuje *modus operandi* ministra Kierwińskiego – bezmyślnie, ostro i nie oglądając się na żadne prawne ograniczenia.

LAWINA PATOLOGII

12 stycznia 2024 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie poinformowała, że wszczęła śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień przez funkcjonariuszy policji i SOP w związku z czynnościami podejmowanymi przy zatrzymaniu w pałacu prezydenckim. Przede wszystkim policja nie miała prawa wchodzić do miejsc objętych szczególną ochroną pod nieobecność gospodarza i bez jego wiedzy. A funkcjonariuszy miał do tego nakłaniać – poprzez ich przełożonych – sam minister Kierwiński. Po tej akcji było już tylko gorzej.

W styczniu 2026 r. w jednostce w Piasecznie doszło do gwałtu na młodej policjantce. Kierwiński zapowiedział wówczas dymisje i podkreślił, że „w policji nie ma miejsca dla osób dopuszczających się takich czynów". Tyle że był to wierzchołek góry lodowej, jeśli chodzi o patologię w policji i chyba najmniejszym problemem było picie alkoholu. Gdy politycy opozycji zaczęli informować o tych sprawach, Kierwiński nazwał to, co robią, „hienizmem". Zapowiedzi Marcina policmajstra „wypalania patologii gorącym żelazem" po incydencie w Piasecznie spotkały się z krytyką opozycji, która uznała je za próbę przykrycia własnych błędów nadzorczych. Kierwińskiemu zarzucono brak kompetencji i przerzucanie odpowiedzialności na niższe szczeble dowodzenia. Poseł Tobiasz Bocheński wprost nazwał go „niekompetentnym" i było to najłagodniejsze określenie. Powszechnie pamiętano wtedy o tym, co Kierwiński zrobił 4 maja 2024 r. podczas obchodów Dnia Strażaka. Podczas wystąpienia transmitowanego przez liczne telewizje minister bełkotał w obecności setek osób, w tym prezydenta Andrzeja Dudy i pierwszej damy, marszałka Sejmu oraz najwyższych dowódców formacji. Nic dziwnego, że pojawiły się oskarżenia, że był pod wpływem alkoholu. Kierwiński zaprzeczył, tłumacząc problem kwestiami technicznymi (pogłosem). Incydent z maja 2024 r. bardzo nadwerężył jednak powagę i wiarygodność ministra w oczach podległych mu funkcjonariuszy.

Ministrowi Kierwińskiemu nie pomogła obrona w sierpniu 2025 r. czterech policjantów zatrzymanych przez prokuraturę 16 lipca 2025 r. Publicznie zakwestionował on zasadność zatrzymania funkcjonariuszy po interwencji. Zarzucano mu wtedy nieuzasadnione podważanie działań innych organów państwa w obronie własnej formacji. Nawet jeśli Kierwińskiemu przyznawano rację w tym, że bronił policjantów, to dodawano, iż jest on kompletnie niewiarygodny, bo wcześniej dawał liczne dowody instrumentalnego i nieprzyjaznego traktowania funkcjonariuszy, gdy pojawiały się kłopoty w związku z różnymi wątpliwymi interwencjami. Choć Kierwiński zapowiadał „odpolitycznienie" policji, zaczął robić coś wręcz przeciwnego. Do tego stopnia, iż nawet policyjni związkowcy uznali, że ich formacja nigdy wcześniej nie była tak upolityczniona, jak pod nadzorem sekretarza generalnego Platformy Obywatelskiej.

Za kadencji Kierwińskiego policja zmaga się z rekordowymi wakatami (ok. 13 tys. wolnych etatów) oraz protestami związkowymi (np. akcja strajkowa w grudniu 2024 r.) dotyczącymi niskich płac i braku konkurencyjności płacowej w przypadku tej ważnej i niosącej realne ryzyko służby. Mimo wprowadzania nowych świadczeń (jak dodatek mieszkaniowy wypłacany od lipca 2025 r.) związkowcy podnosili zarzuty o „spłaszczeniu uposażeń" i braku adekwatnych środków na nagrody.

CELA CZEKA

Wyrywanie się Marcina policmajstra do pacyfikowania przez policję Trybunału Konstytucyjnego świadczy o tym, iż szef MSWiA jest chłopcem na posyłki premiera Donalda Tuska i ministra Waldemara Żurka, a policję i inne podległe sobie służby traktuje tak jak w czasach PRL władza traktowała milicję, szczególnie ZOMO.

Gdyby Kierwiński przeprowadził jakąś akcję w TK, nie uniknie odpowiedzialności karnej. Atak „Gazety Wyborczej" na Marcina policmajstra (w wydaniu z 23 marca 2026 r.) to znak, że może szef MSWiA nie spełnia już nadziei Tuska, iż będzie „ministrem gazrurką" (to analogia do gen. Kazimierz Witaszewskiego, szefa Głównego Zarządu Politycznego Ludowego Wojska Polskiego, który zyskał ksywkę „generał gazrurka", bo deklarował, że „socjalizmu trzeba bronić nawet gazrurką"). A może ten atak wynika ze wzmacniania się Kierwińskiego bez uzgodnienia z Tuskiem? Bo nie dość, że minister wygrał właśnie wybory na przewodniczącego warszawskich struktur Koalicji Obywatelskiej, to jeszcze buduje zaplecze wiernych żołnierzy, wdzięcznych za intratne posady. Dlatego gazeta Michnika pytała: „Kogo karmi Marcin Kierwiński?". I opisała „desant polityków KO do miejskich i państwowych spółek". Za wszystkim ma stać właśnie Kierwiński, który buduje własny dwór, własne zaplecze. Chyba że „Gazecie Wyborczej" poskarżył się uwielbiany przez nią prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. On zawsze miał na pieńku z Kierwińskim, bo odbierał mu wpływy i decydował za niego. Od lat krążą przecież opowieści, że Warszawą rządzi *de facto* Kierwiński, a Trzaskowski jest jedynie figurantem. Zresztą nie tylko Trzaskowski, lecz także Tusk nie lubi, gdy pod bokiem rośnie mu któryś z jego ludzi, i to samowolnie.

Marcin Kierwiński dowiedział się zapewne, że nie jest już najlepiej ocenianym „pałkarzem" w rządzie, może więc postanowił poprawić swoje notowania, przygotowując atak na Trybunał Konstytucyjny. Tyle że bardzo wiele ryzykuje. Organizując napaść na TK, popełni przestępstwo ścigane z art. 128 Kodeksu karnego (zamach na konstytucyjny organ RP). Par. 1 tego artykułu stanowi: „Kto w celu usunięcia przemocą konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej podejmuje działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności od lat 3 do 20". A napaść policji spełniałaby wszelkie kryteria takiego zamachu. Już przygotowania do niej są ścigane i podlegają karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat. Także zapowiedzi ataku na TK są karalne, gdyż „kto przemocą lub groźbą bezprawną wywiera wpływ na czynności urzędowe konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10". Dlatego Marcin policmajster już teraz powinien sprawdzić warunki panujące w celi, do której może trafić.

eprasa.pl e4f04804a5

Kto wygrywa wojnę w Iranie?



Fot. Asad/Xinhua News/East News

Po miesiącu wojny amerykańsko-izraelskiego tandemu z Iranem gołym okiem widać, że dominacja wojskowa nie wystarczy, aby móc mówić o zwycięstwie



MAREK BUDZISZ

Odpowiedź na tytułowe pytanie zależy w gruncie rzeczy od tego, z jakiej perspektywy oceniamy sytuację. Wojskowo koalicja amerykańsko-izraelska ma wielokrotną przewagę i metodycznie niszczy zdolności Iranu. Eksperci nie mają wątpliwości – z militarnego punktu widzenia Iran przegrywa.

Thomas C. Theiner, znany włoski komentator, oficer w stanie spoczynku, zwraca uwagę, iż z tego, że Iran jest w stanie atakować cele w regionie za pomocą rakiet i systemów bezzałogowych, nie wynika, iż wygrywa wojnę. „Wehrmacht ostrzeliwał Anglię – przypomina w swym wpisie na platformie X – pociskami V-2 do 27 marca 1945 r. Czy Niemcy wygrali tę wojnę? Militarnie Iran został zmiażdżony, niezależnie od tego, co mówią tu oszuści, wariaci itp., ale politycznie wojna nadal pozostaje nierozstrzygnięta".

Jednak wbrew potocznemu mniemaniu wojna nie jest zjawiskiem, w którym najwięcej do powiedzenia mają ludzie w mundurach. Ich skuteczność nie oznacza jeszcze zwycięstwa, bo jak słusznie zauważyła Jessica Genauer, australijska ekspert pracująca na Uniwersytecie w Sydney, historia nas uczy, że Amerykanie przegrywali do tej pory wojny z przeciwnikiem odwołującym się do „taktyki insurekcyjnej", walczącym rozproszonymi siłami dowodzonymi sieciowo, czyli bez jednego polityczno-wojskowego ośrodka przywódczego. Oczywiście nie można wykluczyć jakiegoś nagłego i niespodziewanego przełomu, gwałtownego załamania się woli walki Iranu, bo przecież uderzenia są kontynuowane, a blokada informacyjna utrudnia ocenę sytuacji, ale kiedy piszę te słowa, brakuje oznak zapowiadających kapitulację Teheranu i zgodę na warunki pokojowe.

ODPOWIEDŹ NA „PLAN POKOJOWY"

Donald Trump zaczął mówić o 15-punktowym amerykańskim „planie pokojowym", co zresztą jest interpretowane przez obserwatorów w kategoriach pośredniego przyznania, że pierwotny plan wojny zakładający złamanie irańskiego reżimu nie powiódł się. Został on przekazany za pośrednictwem dyplomacji pakistańskiej, a zaangażowanie się państw regionu – bo media donoszą o spotkaniu ministrów spraw zagranicznych Turcji, Egiptu i Arabii Saudyjskiej, nie licząc gospodarza, czyli właśnie Pakistanu – jest

26/0326/F

eprasa.pl e4f04804a5

interpretowane w kategoriach poszukiwanie wyjścia politycznego, kiedy opcja militarna nie działa.

Amerykańskie propozycje pokojowe zawierają żądania likwidacji trzech głównych irańskich obiektów nuklearnych i zaprzestania wzbogacania uranu, zawieszenia prac nad pociskami balistycznymi, ograniczenia wsparcia organizacji w rodzaju Hezbollah oraz całkowitego ponownego otwarcia cieśniny Ormuz.

Odpowiedź Iranu nie nastraja optymistycznie i może raczej świadczyć o gotowości kontynuowania walki, choć nie brak też głosów – o czym rozpisuje się prasa w Izraelu – świadczących o pierwszych pęknięciach w dotychczas spoistym obozie władzy w Iranie. W odpowiedzi na propozycje Trumpa, reprezentanci Teheranu przedstawili swoje warunki, które przewidują m.in. wprowadzenie – na wzór Kanału Sueskiego – opłat za żeglugę w cieśninie Ormuz, które miałyby płynąc do irańskiego budżetu, zniesienie wszystkich sankcji, natychmiastowe zaprzestanie ataków i wyrażenie zgody na kontynuowanie programu rakietowego.

Wypowiadający się na ten temat dla dziennika „The Wall Street Journal" przedstawiciel amerykańskiej administracji określił te zadania mianem „absurdalnych" i stwierdził, że raczej zapowiadają one przedłużenie i eskalację, a nie wygaszenie wojny.

PORAŻKI DYPLOMATYCZNE TEHERANU

O ile kontynuowanie walki wzmacnia pozycję negocjacyjną Iranu, o tyle to, co się dzieje w świecie dyplomacji, trudno uznać za sukces Teheranu. Abbas Aragczi, irański minister spraw zagranicznych – jak donoszą tamtejsze media – miał zaapelować do władz Chin i Rosji, aby powstrzymały amerykańsko-izraelską koalicję przed dalszymi atakami. „Iran stanowczo oczekuje – miał powiedzieć – od państw członkowskich Rady Bezpieczeństwa, zwłaszcza Chin i Rosji, że powstrzymają Stany Zjednoczone przed dalszym nadużywaniem praw Rady, zajmując stanowcze stanowisko w potępieniu agresji ze strony Stanów Zjednoczonych i reżimu syjonistycznego [Izraela]". W odpowiedzi Wang Yi, szef chińskiej dyplomacji, wezwał Iran do natychmiastowego rozpoczęcia rozmów pokojowych z Waszyngtonem, dodając przy okazji, że „negocjacje są zawsze lepsze niż walka". Nie jest to formuła poparcia, której oczekiwałby Teheran.

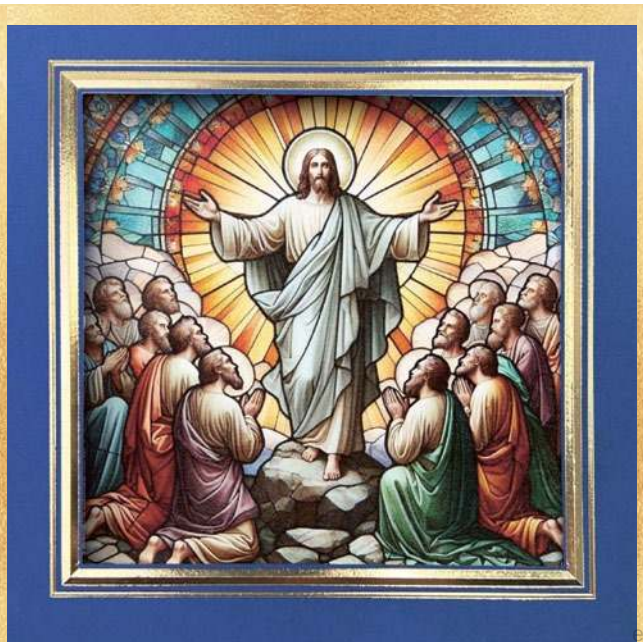
Jeszcze gorsze informacje dla Iranu napływają ze stolic państw Zatoki Perskiej, atakowanych każdego dnia systemami bezzałogowymi i rakietami. Uważa się, że uderzenia te miały doprowadzić do presji Arabii Saudyjskiej, Kuwejtu, Kataru czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich na Stany Zjednoczone, aby te zakończyły wojnę. Intencją Teheranu było wzmocnienie tradycyjnej polityki państw Zatoki, które nie chciały jednoznacznie opowiedzieć się po stronie amerykańsko-izraelskiej i szukały *modus vivendi* z Iranem. Było to bardzo dobrze widać choćby na przykładzie polityki Arabii Saudyjskiej, która nie zezwoliła Amerykanom na wykorzystanie swojej przestrzeni powietrznej (nie mówiąc już o bazach) do atakowania Iranu. Teraz i to zaczyna się zmieniać.

Z regionu napływa coraz więcej informacji mających świadczyć o tym, że państwa arabskie Zatoki Perskiej zaczynają myśleć o włączeniu się do wojny po amerykańskiej stronie. Arabia Saudyjska zgodziła się ostatnio na używanie przez Amerykanów jej bazy lotniczej Król Fahd, a jak donosi dziennik „The Wall Street Journal", rozważane są też scenariusze bezpośredniego zaangażowania saudyjskich sił zbrojnych w konflikt.

Państwa Zatoki, które od początku wojny zostały zaatakowane ponad 5 tys. rakiet i dronów bojowych, powoli zaczynają zmieniać politykę. „Cierpliwość Arabii Saudyjskiej wobec irańskich ataków nie jest nieograniczona" – powiedział dziennikarzom w zeszłym tygodniu minister spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej Faisal bin Farhan. Dodał, że „każde przekonanie, iż kraje Zatoki Perskiej nie są w stanie zareagować, jest błędem".

Zjednoczone Emiraty Arabskie zagroziły zaś Teheranowi zamrożeniem

REKLAMA



Życzymy,
Aby te Święta Wielkanocne były dla Państwa czasem rodzinnym.
Aby gwar rozmów niósł się nad wspólnym stołem.
Aby Zmartwychwstanie Pańskie przyniosło odrodzenie tego,
co w życiu najważniejsze – miłości, zgody i wzajemnego szacunku,
A w Państwa domach nie zabrakło serdeczności i spokoju.

KASA KRAJOWA

Kwiecień 2026

eprasa.pl e4f04804a5

irańskich aktywów. Gdyby do tego doszło, byłby to środek presji nawet groźniejszy niż amerykańskie bomby i rakiety, bo do tej pory Iran wykorzystywał banki w państwach arabskich Zatoki jako głównego pośrednika umożliwiającego rozliczanie transakcji związanych z eksportem węglowodorów.

Doniesienia o gotowości zaangażowania się państw Zatoki po stronie amerykańskiej niektórzy eksperci traktują w kategoriach werdyktu, kto wygrywa. Ostrożni do tej pory gracze regionalni raczej nie weszliby do wojny, ryzykując eskalację uderzeń, po stronie której widoki na odniesienie zwycięstwa maleją.

JAK ODBLOKOWAĆ CIEŚNINĘ?

Jednak ekonomiczne konsekwencje przedłużającego się konfliktu uderzają w Stany Zjednoczone i amerykański system sojuszniczy. Wael Sawan, dyrektor generalny Shell, ostrzegł w wypowiedzi dla mediów, że w związku wojną z Iranem Europie już w przyszłym miesiącu grożą niedobory paliw. Słowenia już teraz została zmuszona do ograniczenia dostępności benzyny dla ludności, na podobne kroki zdecydowały się niektóre państwa w Azji, ale to dopiero początek i w jego opinii grozi nam efekt domina.

W związku z blokadą cieśniny Ormuz eksport jednej piątej światowej produkcji ropy naftowej i gazu ziemnego został wstrzymany, a to oznacza narastające koszty po stronie Zachodu i rosnącą presję na rzecz odblokowania tego akwenu. Nie jest to jednak łatwa operacja, bo jej przeprowadzenie wymagałoby zarówno zajęcia ufortyfikowanych wysp leżących w cieśninie, jak i zniszczenia irańskich umocnień brzegowych. Konwojowanie statków handlowych wymagałoby najpierw rozminowania Ormuzu, na co Amerykanie nie mają odpowiednich zasobów, bo ich potencjał trałowców jest ograniczony i w tym przypadku byłaby niezbędna pomoc sojuszników z Europy. Budowa koalicji państw chroniących żeglugę w cieśninie jest możliwa, ale czasochłonna. Zakłada też zawarcie najpierw co najmniej zawieszenia broni, bo rozminowywanie cieśniny Ormuz pod ogniem raczej nie wchodzi w grę. Takie stanowisko w oficjalnym oświadczeniu sformułowały np. Niemcy, Wielka Brytania, Holandia czy Włochy, a także Japonia i Kanada, które nie wykluczają zaangażowania w tego rodzaju misję. Polski nie ma w tym gronie, co nie dziwi, zważywszy na pasywność polityki zagranicznej ekipy Tuska, choć nasze interesy – kupujemy ropę od Arabii Saudyjskiej – nakazywałyby okazanie choćby minimum zainteresowania rozwiązaniem problemu.

Scenariusz konwojowania tankowców w realiach wojny jest jeszcze trudniejszy, bo jak policzyli amerykańscy specjaliści, musiałby on oznaczać – aby była to opcja bezpieczna – zaangażowanie dwóch okrętów do ochrony jednego tankowca.

Odblokowanie cieśniny jest zatem procesem trudnym, ale przede wszystkim czasochłonnym. Dziś wojna to przede wszystkim gra na czas i testowanie przez obie strony odporności przeciwnika. Potencjały wojskowe mają w tym przypadku znaczenie, ale jeszcze bardziej liczy się zdolność stron do przyjęcia i wytrzymania uderzeń przeciwnika. Strategia Iranu sprowadza się w gruncie rzeczy do narzucenia Ameryce i jej sojusznikom rosnących kosztów w nadziei, że ich ponoszenie zmusi ich do ustępstw.

Azjatyckie, a przede wszystkim chińskie niezależne rafinerie, które odpowiadają za jedną trzecią produkcji w tym kraju, polują na ropę bogatą w siarkę, aby zastąpić gatunki z Bliskiego Wschodu, które stają się niezwykle drogie z powodu blokady. W rezultacie rosną ceny ropy z Norwegii, Rosji, Kolumbii, a nawet niektórych gatunków tego surowca ze Stanów Zjednoczonych. Ładunki są kierowane z Europy do Azji, gdzie szok spowodowany skutkami kryzysu w Zatoce Perskiej jest najsilniejszy, a ceny szybko rosną.

Zdaniem ekspertów, takich jak wypowiadający się dla „The Wall Street Journal" Helge Andre Martinsen, analityk ds. energii w norweskim banku inwestycyjnym DNB Carnegie, nawet gdyby jutro udało się odblokować cieśninę Ormuz, to i tak stabilizacja światowego rynku wymagałaby zarówno zniesienia przez państwa Zatoki ograniczeń w wydobyciu, jak i długoterminowych sankcji nałożonych w przeszłości na Iran i Rosję. A to by oznaczało – gdyby równolegle Amerykanom nie udało się doprowadzić do przełomu politycznego – że państwa uważane za rewizjonistyczne i zagrażające amerykańskim wpływom odniosłyby z wojny długofalowe korzyści.

IRYTACJA SOJUSZNIKÓW USA

Nie można tego powiedzieć w przypadku sojuszników Stanów Zjednoczonych w Europie i w Azji – już dostrzegalne są oznaki rozdrażnienia ich liderów w związku z przedłużają się wojną.

Niemiecki prezydent Frank-Walter Steinmeier powiedział, że uważa konflikt w Zatoce Perskiej za „katastrofalny, możliwy do uniknięcia i niepotrzebny". Radykalizm jego ocen można by było złożyć na karb rozgoryczenia po ostatnich katastrofalnych wynikach wyborczych SPD – formacji, z której wywodzi się Steinmeier – ale podobne tony zaostrzającej się krytyki można usłyszeć też w wystąpieniach kanclerza Friedricha Merza. Steinmeier powiedział również, że Donald Trump „zniszczył relacje Europy i Stanów Zjednoczonych", które jego zdaniem już nigdy nie powrócą do poprzedniego (sprzed epoki Trumpa) kształtu.

Jeśli patrzeć z tej perspektywy, to ceną, jaką Ameryka może zapłacić za przedłużający się konflikt z Iranem, jest z jednej strony rozpad jej systemu sojuszniczego, co zmniejsza zdolności globalnej projekcji siły, a z drugiej – wzmocnienie głównych rywali strategicznych, takich jak Chiny, ale przede wszystkim Rosja.

Nikt nie zna dziś odpowiedzi na pytanie, czy w gruncie rzeczy Donald Trump, postrzegający Europę w kategoriach ciężaru i nazywający sojuszników z naszego kontynentu „tchórzami", nie byłby wręcz zainteresowany takim wynikiem wojny. Rosja, wzmocniona i zapewne zwycięska na Ukrainie, byłaby z perspektywy Ameryki przeciwnikiem, z którym można się porozumieć, a Europejczycy, stale niezadowoleni z polityki Waszyngtonu, narzekający i pouczający Amerykanów, choć niemający zamiaru zwiększyć swoich wysiłków na tyle, aby osiągnąć samodzielność, zostaliby „zepchnięci z sań". Na Bliskim Wschodzie modelowym sojusznikiem Waszyngtonu byłby wojskowo Izrael, a politycznie koalicja Egipt–Arabia Saudyjska–Pakistan. A w Europie? No właśnie, kto? Może Ukraina?

eprasa.pl e4f04804a5

SIECI

Na Wielkanoc

Niejasne gry Tokarczuk 44

Prezydentura nie dla kobiety 52

Życzmy sobie zdrowia. Raport o kondycji Polaków 62

Sprawa honoru, czyli pojedynki w XX-leciu międzywojennym 69

Słodka Wielkanoc. Drożdżowa baba, zielona pascha, pomarańczowy mazurek 79

eprasa.pl e4f04804



Jak matka z matką nie tylko o świętach

Emilia Wierzbicki: W dzieciństwie mieliśmy z bratem taki zwyczaj, że zderzaliśmy się święconymi jajkami – komu pierwszemu pękło, ten przegrywał. Też to robicie?

Dorota Łosiewicz: My chowaliśmy czekoladowe jajka w ogrodzie i był konkurs, kto więcej znajdzie. Ale dzieciaki chyba z tego wyrosły

Z dziennikarką Emilią Wierzbicki rozmawia Dorota Łosiewicz. I na odwrót

Fot. Andrzej Wiktor

Dorota Łosiewicz: Wielkanoc za pasem. Cieszysz się na odpoczynek czy stresujesz przygotowaniami do świąt?

Emilia Wierzbicki: Raczej cieszę się na odpoczynek. Mam to szczęście, że wychowywałam się w domu wielopokoleniowym. Jest mama, dziadkowie. Dorastałam w jednym domu z dziadkami. Mamy wspólny dom, rodzice i my na dole, dziadkowie na górze. To buduje mocne więzi. Dla mnie dziadkowie są jak drudzy rodzice. Babcia, mimo że ma już ponad 80 lat, pozostaje w świetnej formie. W tak dobrej, że często zajmuje się moimi dziećmi. Jest sercem domu. To ona zawsze przygotowuje wszystko i na Wigilię, i na Wielkanoc. Mimo że z moimi córkami jest nas pięć kobiet, to jednak babcia bierze przygotowanie na siebie. Oczywiście staramy się pomagać, ale to ona ma w głowie wszystkie przepisy i naprawdę rewelacyjnie gotuje. Tych smaków nie da się odtworzyć. Nigdy nie narzeka. Ja już taka nie jestem, choć może bym chciała. Dla mnie święta to ucieczka do rodzinnego domu, więc odpoczywam od tego biegu, który jest w Warszawie. A przed tobą dużo przygotowań?

DŁ: W tym roku świąteczny obiad jest u mnie. W mniejszym gronie, bo będzie nas 9 – przeważnie jest 16. Moja rodzina jest liczna. Ale wszystko mam zaplanowane. Na pewno zrobię bitki, bo one zawsze wychodzą. Będzie też pieczona kaczka. Mąż obierze dwa worki ziemniaków. Parę rzeczy zamówię. Święta spędzamy na wsi pod Grodziskiem, tam wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Wiem np., gdzie kupić pyszne domowe kopytka.

EW: Czyli trochę ułatwiasz sobie życie?

DŁ: Tam, gdzie to możliwe. Żurek przygotuje babcia, która do nas przyjedzie. Do przygotowań podchodzę ze spokojem. A jakie potrawy na pewno pojawią się na twoim stole?

EW: Dla mnie nie ma Wielkanocy bez białej kiełbasy. Uwielbiam pieczoną białą kiełbasę. Oczywiście nieodzowne są święconka i jajka. W dzieciństwie mieliśmy z bratem taki zwyczaj, że zderzaliśmy się święconymi jajkami – komu pierwszemu pękło, ten przegrywał. Też to robicie?

DŁ: My chowaliśmy czekoladowe jajka w ogrodzie i był konkurs, kto więcej znajdzie. Ale dzieciaki chyba z tego wyrosły.

EW: Masz szczęście, że masz już duże dzieci. Moje są jeszcze malutkie. Młodsza córka ma niecałe dwa lata, starsza pięć, ale już możemy razem farbować jajka. Nie używamy kolorowych farbek, tylko łupin cebuli. Dają piękny kolor, trochę bordowy. Święconkę też przygotowuje niezstąpiona babcia z mamą. Tradycyjnie musi być w niej trochę chleba, sól, pieprz. Zamiast kiełbasy – kabanosy, które potem są szybko zjadane.

DŁ: U mnie święconkę przygotowują córki, razem farbują też jajka. Gotowymi kolorowymi farbkami, korzystają też z gotowych naklejek. Kupujemy je dużo wcześniej, bo to też jest frajda. I zawsze mamy problem z solniczką i pieprzniczką. Tradycyjnie przepadają i co roku trzeba kupować nowe.

EW: U mnie mama wszystko ma schowane, cały zestaw. Dobrze mam z tą mamą i babcią. Dużą wagę przywiązuję do przygotowania domu przed każdymi świętami. Uwielbiam to. Chyba jestem trochę sroką. U mnie każdą porę roku widać w dekoracjach. Uwielbiam też świeże kwiaty, czyli tulipany, bukszpan, stół musi być przystrojony, pojawiają się małe zajączki.

DŁ: Też bardzo lubię świąteczne dekoracje. Przed Bożym Narodzeniem dom rozświetla iluminacja, na Wielkanoc pojawiają się stroiki. To są drobne rzeczy, które dzieci zapamiętają. Pewnie zapamiętają też świąteczny rozgardiasz, sprawdzanie, czy nie brakuje krzeseł, talerzy, sztućców. Przy tak dużej rodzinie takie przyziemne rzeczy bywają wyzwaniem.

EW: Myślę, że moim dzieciom wszystkie święta będą się kojarzyły ze spotkaniem rodzinnym. Ale kluczowy jest aspekt duchowy świąt. Kiedy byłam młodsza, właśnie z moją babcią, o której tak dużo mówię, uczestniczyłam w Drodze Krzyżowej. Jestem z Wejherowa – tam jest Kalwaria Wejherowska, bardzo piękna. Mocno zapadło mi to w pamięć. Staram się, żeby obok jajeczek, święconki, króliczków, fajnego czasu z rodziną aspekt duchowy był wyraźny. I chciałabym to zaszczepić dzieciom. Bo jak dorosną, nie będę już miała wpływu na to, czy będą chodziły do kościoła, czy nie. A w końcu to najważniejsze święta w roku.

DŁ: Bez zmartwychwstania nie byłoby naszej wiary, nie byłoby zbawienia. My staramy się uczestniczyć w liturgii Wigilii Paschalnej, choć ona jest wymagająca, niesamowita. Szczególnie liturgia światła. Ciemny kościół z wolna rozświetlają świece odpalane od ogniska na zewnątrz i serce się cieszy. Ale zostawmy święta i porozmawiajmy o codziennym życiu. Co twoim zdaniem jest najtrudniejsze w łączeniu pracy i rodziny?

EW: Wszystko. Posiadanie małych dzieci jest wyzwaniem. Wspaniałym, ale to wysiłek od rana do wieczora. Dla mnie praca to odpoczynek. Mogę porozmawiać z ludźmi, napić się kawy, zrobić coś, co sprawia mi przyjemność. Wracam w dobrym humorze i kładę dzieci spać. Trudno mi sobie wyobrazić życie bez pracy. To taki wentyl, oddech, pasja, relaks i przyjemność. Mam też to szczęście, że program mój i Wojtka „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest" zaczyna się o godz. 18.30. Przyjeżdżam do pracy ok. 17.00, wcześniej wymieniamy się pomysłami. Rano odwożę córkę do przedszkola, druga jeszcze jest w domu. Nie jestem fanką żłobka. Ogarniam więc codzienną logistykę. Mam więc czas i dla rodziny, i na pracę. To jest naprawdę super – dla mnie to połączenie idealne. Ale zachodzę w głowę, jak ty poradziłaś sobie z czwórką dzieci?

DŁ: Ktoś mi kiedyś powiedział, że to jest jak w grze komputerowej. Gdy pojawiają się kolejne dzieci, wchodzisz

na wyższy level i musisz wszystko robić szybciej, wydajniej. Ale pomagała opiekunka, babcie. Poza tym nie jestem sama, mam męża.

EW: Pomaga?

DŁ: Nie cierpię tego określenia. Mamy wspólny dom. Każdy wie, co jest do zrobienia. I to robimy.

EW: Też nie cierpię tego określenia, a sama go użyłam! To jest krzywdzące. Kiedyś pojechałam do USA, to było moje marzenie. Mąż nie mógł, bo był zajęty pracą. Pojechałam więc z rodzicami i bratem na 10 dni. A mąż został z córką, bo wtedy była tylko jedna. I mnóstwo osób mnie wówczas pytało: „Nie tęsknisz za córką?", „Zostawiłaś ją z mężem?". Czy ktoś zadawałby takie pytania mężczyźnie?

DŁ: W takich sytuacjach zawsze mówię, że połowa każdego dziecka jest męża i ona wie, co robić. Choć odkąd współprowadzę „Minęła 20.05", mam dużo mniej czasu dla rodziny. To mąż odrabia lekcje z najmłodszą i czasem mi to doskwiera.

EW: Ale chyba jesteś już na takim etapie, że starsze pomagają?

DŁ: Zdecydowanie. Najstarsza, która już poszła na swoje, czasem wpada pouczyć się z najmłodszą, podrzuca ją na gimnastykę. Dziewczyny trzymają sztamę. Syn potrafi dać najmłodszej siostrze obiad.

EW: Często mnie irytuje, że o kobietach wychowujących dzieci mówi się, że siedzą w domu. Niech ktoś tak sobie posiedzi!

DŁ: Ci, którzy tak mówią, nie wiedzą, co to znaczy mieć dzieci. Ja po nastawieniu pralki, zmywarki, ugotowaniu obiadu cieszę się na myśl o spędzeniu chwili przy komputerze z kawą.

EW: Dokładnie o tym mówiłam. Ale przecież praca – poza pasją – jest koniecznością. Warto mieć własne pieniądze i poczucie niezależności. Ale nikogo nie oceniam. Każdy musi znaleźć swoją ścieżkę. Jeśli ktoś się spełnia wyłącznie przy rodzinie, to OK. Ja potrzebuję pracy. Moja babcia pracowała, była dyrektorem szkoły. Moja mama jest nauczycielką. Pracuje w szkole. U mnie w domu kobiety po prostu pracują.

DŁ: A jak przy tak małych dzieciach znajdujesz czas, by o siebie zadbać?

EW: Na to musi się znaleźć czas. Wyznaję zasadę, że jeżeli dobrze wyglądam, dobrze się czuję. Nie uważam, że skoro mam dzieci, to mogę sobie odpuścić włosy czy paznokcie i się zaniedbać. Chodzę też na siłownię. Jest mąż, czasem ciocia opiekunka. Poza tym telewizja ma swoje wymagania, nie wpadnę do studia potargana. Praca jest też moim życiem, moim sposobem wyrażenia siebie. To chyba także pozytywnie wpływa na związek.

DŁ: Kiedy wróciłam do pracy po pierwszym dziecku, przez chwilę miałam wyrzuty sumienia. Coś mnie dręczyło, że chciałabym bardziej być w domu niż w pracy, ale wszystko sobie jakoś poukładałam. Zresztą wszystkie decyzje zawodowe podejmowałam, myśląc o rodzinie. A propos decyzji: zawsze chciałam zapytać cię o to, jak radziłaś sobie w kampanii wyborczej, będąc rzecznikiem Karola Nawrockiego. Nieraz o tym myślałam, patrząc na konferencje. Czy to był ranek, czy wieczór, zawsze wyglądałaś świetnie, zawsze na posterunku.

EW: Na pewno nie zawsze. Decyzję podjęliśmy wspólnie z mężem. Moja młodsza córka miała wtedy pół roku. Ale uznałam, że to pociąg, który przyjeżdża raz w życiu. Chciałam to przeżyć. Miałam poczucie, że robię to też dla dobra Polski, żeby system się nie domknął. Na ten czas przyjechała do nas teściowa, która jest już na emeryturze i była na miejscu. Inaczej nie dałoby się tego zrobić. Ja oczywiście wracałam do Warszawy. Dwa dni byłam na miejscu, trzy dni na wyjeździe, ale każdy, kto ma dwójkę małych dzieci czy więcej, wie, że w pojedynkę to by się nie udało.

DŁ: I tu przychodzi mi do głowy klasyczne pytanie matki: to wtedy przestałaś naturalnie karmić?

EW: Przestałam. Karmiłam pół roku. Coś za coś. To, co miała ode mnie dostać w mleku, dostała. Ale skoro o to pytasz, pewnie było to dla ciebie ważne?

DŁ: Wstyd się przyznać, ale najmłodszą karmiłam ponad trzy lata.

EW: Ale przecież takie duże dziecko już tego nie potrzebuje!

DŁ: Wiesz, tu chodziło o coś innego. O emocje. Ona urodziła się z niedrożnością przewodu pokarmowego. Była operowana zaraz po urodzeniu, przez miesiąc karmiono ją pozajelitowo. I jak to wszystko się skończyło, jak zaczęłam ją karmić, to nie mogłam przestać. I ona też nie chciała się odstawić po tych szpitalnych przejściach, które gdzieś w niej zostały. A tak na koniec: co ci daje więcej energii – praca czy rodzina?

EW: To się uzupełnia. Kocham moje dzieci, ale nie chciałbym być tylko mamą. Muszę się realizować, coś robić, działać. Nie jestem karierowiczką. Nie stawiam wyłącznie na pracę. Ale znalazłam równowagę i tym się cieszę, to daje mi siłę. Nie chciałabym być samotna, nie chciałabym być singielką. Choć czasami z rozrzewnieniem wspominam, ile czasu miałam dla siebie na studiach. Mogłam beztrosko poleżeć z książką i trochę za tym tęsknię.

DŁ: Pocieszę cię – dzieci szybko rosną i potem znów można poleżeć z książką. Przychodzi taki moment. Ja uwielbiam relaks na tarasie w słońcu.

EW: Możesz sobie na to pozwolić?

DŁ: Teraz już tak.

EW: Tylko jak dzieci urosną, to już nie będę młoda.

DŁ: Ty się nie zmienisz, tylko one.



RELACJA Z WASZYNGTONU

Pierwsza dama dyplomacji

Pierwsza dama RP wzięła udział w wydarzeniu na wskroś historycznym. Marta Nawrocka zabrała głos na konferencji w Białym Domu – to bez wątpienia ogromne wyróżnienie i sukces dyplomacji państwa Nawrockich, którzy w Ameryce coraz lepiej poruszają się po salonach zupełnie niedostępnych dla innych przedstawicieli polskiej władzy



MARCIN WIKŁO

Melania Trump zapewne by chciała, aby zorganizowany przez nią szczyt z udziałem pierwszych dam z 45 krajów był tematem numer jeden w amerykańskich mediach. Przecież po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych w prezydenckiej rezydencji goszczono przedstawicieli aż tylu państw jednego dnia. Żona prezydenta Donalda Trumpa musiała się jednak zadowolić drugą pozycją w rankingu medialnych newsów. Jej inicjatywa Fostering The Future Together (Wspólnie kształtując przyszłość) została „przykryta" przez... prognozę pogody.

Szukanie haków

Po pierwszym dniu konferencji i czterech panelach dyskusyjnych w budynku Departamentu Stanu, którym Marta Nawrocka się przysłuchiwała, w składzie polskiej delegacji panowała atmosfera maksymalnego skupienia. Z pierwszą damą RP widziałem się tylko przez kilka minut, gdy wracała do hotelu po wizycie w Narodowym Sanktuarium św. Jana Pawła II w Waszyngtonie. Tego wieczoru nie zaplanowano już żadnych aktywności. Zamieniliśmy kilka zdań, bez kamer i mikrofonów. Była bardzo dobrej myśli, czuła się solidnie przygotowana do ważnego wystąpienia w Białym Domu. – Jutro ważny dzień – powiedziała na pożegnanie. Jej słów miał przecież wysłuchać cały świat, bo taka

Fot. Alicja Stefaniuk/KPRP

jest siła inicjatyw żony prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dobrze, że można z tego skorzystać.

To skupienie na zadaniu do wykonania zaowocowało. Nazajutrz Marta Nawrocka rozpoczęła swoje przemówienie po angielsku, dziękując za zaproszenie. Potem przeszła na język ojczysty, z czego krajowe media natychmiast próbowały zrobić aferę. Ale przemawiająca wcześniej Brigitte Macron, pierwsza dama Francji, zrobiła przecież tak samo, więc tu się nie udało. Zatem krok drugi – „szczegółowej analizie" poddano te trzy zdania wypowiedziane po angielsku. I posypały się oskarżycielskie tytuły na portalach, które zaprzęgły do pracy tabuny ekspertów, by odkryć, że polska pierwsza dama ma... polski akcent (!). Żartowaliśmy z tego także w gronie dziennikarzy obsługujących szczyt w Waszyngtonie, że polskojęzycznemu Onetowi nie udało się wybić do tytułu innej części opinii „ekspertki", która pytana o wystąpienie Marty Nawrockiej powiedziała im przecież wprost, że „wypowiedź jest w pełni zrozumiała i poprawna językowo". Może to nieciekawe?

I Marta Nawrocka, i cała jej delegacja odetchnęli z ulgą w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Usłyszeliśmy przecież w East Room (Sali Wschodniej – największym pomieszczeniu w Białym Domu) stanowczy polski głos diagnozujący problem hejtu w internecie i pogłębiających się rozwarstwień pomiędzy dziećmi z biedniejszych i bogatszych rodzin. „Dostrzegamy, że rozwój kompetencji cyfrowych staje się jednym z najważniejszych wyzwań edukacyjnych także w Polsce. Jeżeli o nie nie zadbamy, technologia może utrwalać nierówności zamiast je zmniejszać. Dlatego inwestując w infrastrukturę, musimy równolegle inwestować w ludzi – w nauczycieli, uczniów i rodziców" – mówiła Marta Nawrocka.

– Pierwsza dama Marta Nawrocka naprawdę prowadzi bardzo dobrą dyplomację. Jest niezwykle sprawna w rozmowach bilateralnych. Wiem to, bo je obserwowałem, widziałem, jak szybko nawiązuje relacje. Mówiąc wprost, mogą nam na świecie zazdrościć takiej pani prezydentowej, bo wielu o tym mówi, że ma klasę i szyk – mówił mi potem Adam Andruszkiewicz, wiceszef Kancelarii Prezydenta RP, który towarzyszy pierwszej damie w czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych.



Spotkanie pierwszych dam w Białym Domu rozpoczęło się od wystąpienia nauczyciela przyszłości – humanoidalnego robota

> Zamieniliśmy kilka zdań bez kamer i mikrofonów. Była bardzo dobrej myśli, czuła się solidnie przygotowana do ważnego wystąpienia w Białym Domu. – Jutro ważny dzień – powiedziała na pożegnanie Marta Nawrocka

Szansa od Melanii Trump

– Melania Trump jest wspaniała, bardzo mi imponuje, chciałabym być taka jak ona – młoda dziewczyna przed Białym Domem odrywa się na chwilę od swojej grupy wycieczkowej, gdy widzi, jak przygotowuję się do wejścia na żywo w telewizji wPolsce24. Podchodzą także jej koleżanki. Przyjechały do stolicy z niezbyt odległego stanu Indiana. Rozmawiamy przez chwilę o głośnym dokumencie „Melania" dostępnym na Netfliksie. Nie wszystkie widziały film, obiecały, że nadrobią po powrocie. – Mów Polakom dobrze o naszej pierwszej damie. I o prezydencie też, bo robi dobrą robotę! – słyszę na pożegnanie.

Stolica USA przygotowuje się do obchodów 250-lecia państwowości Stanów Zjednoczonych. Zostało już niespełna 100 dni, więc Waszyngton w wielu miejscach wygląda jak plac budowy. Skwer Lafayette, miejsce znane z masowych protestów Black Lives Matter sprzed kilku lat, jest otoczony siatką, a park – cały rozkopany. Nieco irytuje to turystów, bo właśnie stąd jest najlepszy widok na Biały Dom. Dzisiaj trudno o dobre zdjęcie. Chociaż jesteśmy tutaj na początku tygodnia, jest tłumnie i gwarnie.

Mówiąc wprost, nie można stwierdzić, by waszyngtońska ulica żyła szczytem zorganizowanym przez Melanię Trump. Powód? Prozaiczny. Prognoza pogody, która się nie sprawdziła. Co roku o tej porze synoptycy mają tylko jedno zadanie postawione przez amerykańskich obywateli: podać, kiedy zakwitną drzewa wiśniowe, których w Waszyngtonie są tysiące (to dar od burmistrza Tokio z 1912 r.). Ludzie przyjeżdżają w tych dniach z daleka, rezerwują loty i hotele, by zrobić

Fot. Alicja Stefaniuk/KPRP x2



Podczas pobytu w USA Marta Nawrocka odwiedziła także Narodowe Sanktuarium św. Jana Pawła II w Waszyngtonie

zdjęcia i nakręcić rolki na social media. A w tym roku taki klops. Przewidywano, że „cherry blossom time" (czas kwitnienia wiśni) przypadnie między 29 marca a 1 kwietnia. Niestety eksplozja jasnoróżowych kwiatów miała miejsce aż pięć dni wcześniej, co wywołało niemałą wściekłość na synoptyków.

„Ale zastanów się, czy to na pewno błąd, a może ktoś jednak wiedział, jak będzie naprawdę" – słyszę i taka opinię. „Nasza pierwsza dama zaprosiła gości z tak wielu krajów tuż przed czasem, kiedy teoretycznie w Waszyngtonie jest najpiękniejsza wiosna. A jednak trafiła, drzewa zakwitły wcześniej! Przypadek?".

W Stanach Zjednoczonych mówi się więc i pisze o kwiatach, ale oczywiście szczyt 45 pierwszych dam (był wśród nich jeden gentleman) też jest tematem. Trochę jak przy Oscarach – kto w jakiej kreacji wystąpił, kto mówił dłużej, a kto krócej, kto obok kogo został posadzony. I w tej kwestii nie możemy mieć kompleksów. Podczas najbardziej prestiżowego spotkania w Białym Domu tuż obok gospodyni siedziała pierwsza dama Francji, ale to nikogo nie zaskoczyło, obie znają się od dawna i bardzo się lubią. We wspomnianym dokumencie „Melania" wypowiada się przecież tylko jedna osoba z kręgu światowej polityki – jest nią właśnie Brigitte Macron. Miejsce tuż obok niej przy pierwszym stole przypadło Marcie Nawrockiej. Przypadek? Na pewno nie. I możliwość zabrania głosu w drugim dniu szczytu, gdy przemówień było tylko kilka, to też znaczący gest wobec polskiej pierwszej damy. Przy tym najważniejszym stole zasiadły też księżniczka Lalla Hasnaa z Maroka, Jej Wysokość Szejka Alyazia bint Saif Al Nahyan ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz dr Fatima Maada Bio reprezentująca Sierra Leone.

> Marta Nawrocka rozpoczęła swoje przemówienie po angielsku, dziękując za zaproszenie. Potem przeszła na język ojczysty, z czego krajowe media natychmiast próbowały wywołać aferę. No ale przemawiająca wcześniej Brigitte Macron, pierwsza dama Francji, zrobiła przecież tak samo

Plotki kuluarowe

Trudno mi jako mężczyźnie oceniać kreacje, w jakich pojawiły się podczas waszyngtońskich spotkań pierwsze damy. Przekażę więc państwu garść kuluarowych komentarzy i plotek. W zasadzie równolegle powinien się tutaj odbywać szczyt stylistów i fachowców od wizerunku politycznego. Mieliśmy przecież przegląd pełnej gamy kolorystycznej i elementów garderoby zapożyczonych z różnych kultur. Fotografowie i operatorzy kamer byli zachwyceni, bo to było naprawdę coś innego. A w sensie wizualnym o wiele ciekawszego, gdyby spotkali się mężowie obecnych tu kobiet, choć kaliber polityczny byłby ogromny. Widzielibyśmy zapewne kilkadziesiąt świetnie skrojonych garniturów, ale przyznajmy, że nie ma aż tyle fantazji w czerni i odcieniach granatu, bo takie są zazwyczaj formalne męskie stroje.

Marta Nawrocka była ubrana w swoim stylu. Dopasowane marynarki, nie tylko ciemne. Także gustowny błękit, który zaprezentowała w Białym Domu. O tym, że wypadło to bardzo dobrze, najlepiej świadczy fakt, że prasa plotkarska za bardzo nie rozdrapuje tego tematu. Gdyby cokolwiek było nie tak, na pewno by to wyciągnięto, bo Nawroccy ciągle nie są ulubieńcami tabloidów. I wcale się o to nie starają, co wywołuje prawdziwą wściekłość niektórych.

Skład delegacji pierwszej damy RP był wyjątkowo skromny. Zresztą decyzja, by odpowiedzieć na osobiste zaproszenie Melanii Trump, zapadła dosyć późno, zaś Amerykanie od razu zapowiedzieli, że będzie to wydarzenie zorganizowane z rozmachem i w szerokim gronie, co oznacza, że tam, gdzie zaplanowano spotkania, może być po prostu mało miejsca. Nawet jeśli gości zaprosi się – jak tym razem – do największych z dostępnych sal. Wszyscy z Polski polecieli więc samolotami rejsowymi. Zrodziło to oczywiście pewne pytania, czy przypadkiem ktoś nie chciał utrudnić pierwszej damie tej podróży. Gdy posłanka Koalicji Obywatelskiej Aleksandra Wiśniewska-Uznańska leciała do USA na przywitanie powracającego z kosmosu męża, udostępniono jej rządową maszynę. Tym razem tak się nie stało.

Niejasna gra noblistki

Firma, której udziałowcem jest Olga Tokarczuk, dostała od państwowej agencji prawie 17 mln zł dofinansowania na technologię do tworzenia gier. Projekt ma być w powijakach, z przedsiębiorstwa odchodzą ludzie, a urzędnicy zapowiadają kontrolę prawidłowości wydatkowania pieniędzy



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Olga Tokarczuk to wzorzec z Sèvres roszczeń i strachów polskiej lewicy. Dogmatyczny progresywizm, przekonanie o wielkiej wadze każdej wypowiadanej i prawie zawsze sztampowej opinii połączone z wiecznym lękiem przed rzekomo wszechobecną, agresywną „skrajną prawicą" są jej znakiem firmowym.

Zgodnie z obowiązującym kanonem Tokarczuk uważa, że Polacy robili straszne rzeczy „jako kolonizatorzy, właściciele niewolników czy mordercy Żydów", przestrzega przed podnoszącym łeb faszyzmem, a także twierdzi, że „zabijanie na mięso to grzech, z którym sobie nie radzimy". W czasach rządów PiS noblistka była stałą uczestniczką wszelakich protestów i marszów proaborcyjnych. Zagranicznym mediom opowiadała o Polsce jako drugiej Białorusi, gdzie autorytarna władza wszelkimi sposobami próbuje zdusić opozycję. Kiedy kilkudziesięciu czytelników jej opasłych, przegadanych dzieł odesłało je w geście protestu (część książek została zniszczona lub opatrzona hasłami typu „Targowica"), Fundacja Olgi Tokarczuk wydała kuriozalne oświadczenie, w którym porównano happening do palenia książek w III Rzeszy. Chciałoby się powiedzieć – klasyka tego obłędnego gatunku.



Fot. Markus Wissmann/Shutterstock.com

„Rząd będzie nas słuchał”

Tokarczuk niby unika wypowiedzi i działań politycznych, ale w 2023 r., gdy zmierzający po władzę obóz liberalno-lewicowy potrzebował każdej strzelby, noblistka nie mogła milczeć. Uczestniczyła m.in. w zorganizowanym w trakcie kampanii wyborczej Campusie Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego, a dwa tygodnie przed wyborami udzieliła głośnego wywiadu lewicowemu „Guardianowi”.

„My, jako obywatele, musimy mieć pewność, że nowy rząd będzie wierzył w demokrację, europejskość i wolność gwarantowaną przez prawo” – powiedziała Tokarczuk.

„Potrzebujemy zapewnień, że taki rząd będzie nas słuchał i odpowiadał na nasze potrzeby, a nie – jak obecny – podporządkowywał większość obywateli anachronicznym »tradycyjnym wartościom«, wyznawanym jedynie przez 30-procentową mniejszość” – dodała pisarka, podkreślając atmosferę prześladowań, jaka miała według niej panować w Polsce Jarosława Kaczyńskiego.

> To jakiś absurd – komentowało wielu ludzi z branży gamingowej, gdy w 2024 r. firma gamingowa Sundog, w której noblistka ma udziały i dla której miał wówczas pracować jej syn, zdobyła 16,9 mln zł dofinansowania z Polskiej Agencji Rozwoju Przemysłu

„Jeśli publicznie odnoszę się do czegokolwiek związanego z obecną polską polityką społeczną czy ekologiczną, dziennikarze zależni od obecnego rządu natychmiast reagują, piętnując moje słowa, a trolle rozpoczynają falę nienawiści” – powiedziała. „To pokazuje, że moje poglądy są niewygodne dla obecnej władzy, nie tylko w trakcie kampanii wyborczej.”

„Jeśli rząd w Polsce się zmieni, mam nadzieję – niezależnie od tego, jaka koalicja powstanie po wyborach – że przede wszystkim powstrzyma antypostępowe i antyobywatelskie działania, z którymi mieliśmy do czynienia w ostatnich latach i które z miesiąca na miesiąc się nasilają” – powiedziała.

„Musimy zatrzymać dalszą degradację prowadzącą Polskę w stronę autorytaryzmu; to teraz najważniejsze” – apelowała.

17 mln zł, Tokarczuk i syn

Wymarzona przez Tokarczuk zmiana władzy nastąpiła, co przy okazji miało praktyczne konsekwencje dla samej pisarki i jej bliskich. W 2024 r. firma Sundog, w której noblistka posiada udziały i dla której miał wówczas pracować jej syn, zdobyła 16,9 mln zł dofinansowania z Polskiej Agencji Rozwoju Przemysłu.

Sundog pracuje nad grą „Ibru”, inspirowaną książką Tokarczuk „Anna In w grobowcach świata”. Publiczne pieniądze formalnie nie mają iść na samą grę, lecz na technologię InteGra. To – jak twierdzą w Sundogu – „technologia do tworzenia nieliniowych gier RPG w silniku Unreal Engine 5, umożliwiających tworzenie spójnych psychologicznie postaci, których decyzje będą odzwierciedlały ich implikowaną psychikę, w oparciu o badania z zakresu groznawstwa, psychologii oraz technologii AI (LLM)”.

Co dokładnie ma to oznaczać? Jakimże to technologicznym osiągnięciem mają być „nieliniowe gry RPG” umożliwiające „tworzenie spójnych psychologicznie postaci, których decyzje będą odzwierciedlały ich implikowaną psychikę”? Czy koniecznie trzeba wykładać na to publiczne pieniądze? Szczerze mówiąc – nie wiemy i chyba mało kto wie. Ale o tym za chwilę.

Przyznanie przez władzę wielkiej dotacji firmie związanej z antypisowską pisarką wzbudziło natychmiastową reakcję polityków opozycji. Niesmaku nie ukrywali też co bardziej niezależni od władzy komentatorzy.

„Spółka dostała 17 mln zł. Tymczasem nie ma 600 tys. na dalsze prace zakładu obliczeń kwantowych w NASK. Brak słów” – komentował Adam Czarnecki ze stowarzyszenia TAKdlaCPK.

„Spółka Olgi Tokarczuk dostała z budżetu 17 mln na bzdety (»technologia do

nieliniowych gier RPG, umożliwiająca tworzenie spójnych psychologicznie postaci, których decyzje będą odzwierciedlały implikowaną psychikę«). Teraz. Kiedy rząd tnie kasę wszystkim: od powodzian po naukę" – zżymał się pisarz Jacek Piekara.

„Swoją drogą to wygląda jak implementacja jakiegoś gotowego AI do gry pod dane scenariusze. Z dostępnymi narzędziami robią to stażyści z palca, koszt licencji realnie grosze, a tu leci 17 mln. Nikt chyba nie wierzy, że będą to AI tam robić sami, w małej spółce gamingowej..." – ironizował na platformie X Jerzy Waśko, przedsiębiorca działający w branży internetowej.

Mniej więcej to samo, tyle że po cichu, mówili przedstawiciele branży.

– To jakiś absurd. Chyba pierwszy raz coś takiego dostało takie pieniądze ze ścieżki SMART – słyszeliśmy od właściciela jednego z polskich studiów rozwijających gry komputerowe.

Krytycy podkreślali, że założony w 2022 r. Sundog nie ma na koncie żadnej znaczącej produkcji, żadnych osiągnięć w branży. Dziwiono się wysokości dotacji: wnioski złożyło 2,7 tys. przedsiębiorców, PARP wybrał 201 projektów, Sundog dostał siódmą najwyższą dotację ze wszystkich przyznanych (najwyższa wyniosła 51,5 mln, dziesiąta w kolejności 14,5 mln zł). Wiele znacznie bardziej renomowanych firm niż Sundog pieniędzy w konkursie PARP nie dostało, choć o nie występowało. Poza biznesem Tokarczuk dotację otrzymało pięć spółek z branży gamingowej na łączną kwotę niewiele przekraczającą wsparcie dla Sundoga (najwięcej Silver Bullet Labs – 5 mln zł).

Mainstreamowe media pisały za to o projekcie Sundoga w przychylnym tonie. Cytowano zapewnienia zarządu, że za InteGrą i Ibru stoi doświadczony zespół i wybitni eksperci od badań i rozwoju. Zwracano uwagę na partnera przedsięwzięcia – firmę Goat Gamez, której akcjonariuszem jest piłkarz Robert Lewandowski.

„W zespole realizującym prace badawczo-rozwojowe systemu InteGra zaangażowani są wysoce doświadczeni specjaliści ze swoich dziedzin, mający istotny dorobek w projektach B+R [badania i rozwój – przyp. red.]. Jesteśmy zaszczyceni tym, że tak znakomici fachowcy uwierzyli w naszą wizję i naszą spółkę" – mówił wówczas Mateusz Błaszczyk, członek zarządu Sundoga.

Ich już nie ma

Dziś Błaszczyka nie ma już w firmie. Menedżer zasiadający w zarządzie Sundoga od samego początku odszedł w czerwcu ub.r. Dlaczego? Nie wiadomo. Firma nie odpowiedziała na nasze pytania w tej sprawie. Z pokładu zeszła także Goat Gamez, producent gier założony przez Movie Games i Roberta Lewandowskiego. Dlaczego nie ma jej już w konsorcjum? Tutaj także brakuje prostej odpowiedzi.

> – Publikacje w mediach związane z zainteresowaniem noblistką i komentarze branży nie pomagają. Czort wie, co w ogóle z tego wszystkiego wyjdzie. A jak nie wyjdzie, a pieniądze zostaną wydane, będzie afera – mówi pracownik PARP

„Od wiosny 2025 r. nie współpracujemy z Goat Gamez. W zadania pierwotnie zaplanowane dla tego podwykonawcy zaangażowany jest zespół badawczy, w skład którego wchodzą badacze z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Uniwersytetu SWPS oraz Uniwersytetu Warszawskiego. Wśród nich są również specjaliści mający doświadczenie w projektach B+R. Chcę również podkreślić, że zespół groznawczy zaangażowany jest w prace nad systemem InteGra, ale wyniki ich badań wpływają również na kształt samej gry" – informował na łamach „Pulsu Biznesu" członek zarządu Sundoga Carlos Castanon.

W lutym 2026 r. media zaczęły informować o opóźnieniach w realizacji gry. Prototyp miał być gotowy już w 2023 r., a premiera miała nastąpić w 2026 r.

„Biorąc pod uwagę harmonogram realizacji projektu InteGra, nic nie wskazuje, żeby premiera odbyła się zgodnie z tamtą zapowiedzią" – komentował w lutym „Puls Biznesu".

„Aktualne plany zakładają wydanie gry w 2028 r., po zakończeniu prac badawczo-rozwojowych związanych z InteGrą" – potwierdzał Carlos Castanon.

Według umowy podpisanej z PARP projekt ma być gotowy do końca kwietnia 2028 r. Zdaniem „Pulsu Biznesu" w lutym br. znajdował się on jednak „w powijakach".

– Łagodnie powiedziane. Z tego, co słyszałem, tam nic specjalnego się nie dzieje. Marne szanse na ten rok 2028. W ogóle marne szanse – śmieje się w rozmowie z nami człowiek z branży znający sytuację w Sundogu.

Jeszcze jedno. Z rady nadzorczej firmy odeszła Olga Tokarczuk. Po cichu, wiosną 2025 r. Kiedy niemal rok później sprawa wypłynęła w mediach, znowu pojawiły się nieprzyjemne – może nawet faszystowskie – pytania.

„Olga Tokarczuk pozostaje akcjonariuszką Sundoga i wspiera trwającą adaptację jej twórczości do unikalnego medium gier komputerowych" – poinformowała spółka.

Nasi rozmówcy z branży przekonują, że zespół Sundoga topnieje, a prace wciąż nie mogą nabrać rozpędu. „Będą kolejne opóźnienia" – twierdzą.

Pytania bez odpowiedzi

Chcieliśmy zapytać o to wszystko u źródeł. Firma Sundog nie należy jednak do specjalnie otwartych na media – choć powinna taką być, skoro konsumuje publiczne pieniądze. Na stronie internetowej spółki nie ma żadnego numeru telefonu. Wysłane przez nas pytania m.in. o to, na jakim etapie są obecnie prace, ile osób pracuje nad InteGrą i Ibru, a także – co najważniejsze – na co są wydawane środki z PARP pozostały bez odpowiedzi. Kiedy próbowaliśmy ponaglić dopieszczanych przez państwo wizjonerów kolejnym e-mailem, serwer zwrócił informację o błędzie połączenia. Prawdę mówiąc, do końca więc nie wiadomo, czy pracująca nad przełomem w świecie gier komputerowych firma technologiczna ma działającą poprawnie skrzynkę e-mailową.

Wobec niepowodzenia w kontakcie z Sundogiem skierowaliśmy swoje kroki do innych osób, które były publicznie wymieniane jako zaangażowane w dotowany projekt. Jedną z nich jest prof. Paweł Frelik, amerykanista, tłumacz i autor tekstów dla deathmetalowego zespołu Vader. Sundog przedstawiał go jako jednego z „wysoko doświadczonych specjalistów ze swoich dziedzin, mających istotny dorobek w projektach B+R. Słowem – mogłoby się wydawać, że jest osobą kluczową dla projektu.

Zapytaliśmy Pawła Frelika, skąd opóźnienia w realizacji projektu. Chcieliśmy też wiedzieć, na czym dokładnie polega rola tego naukowca w budowie InteGry. Bo o ile jego dorobek naukowy i działalność badawcza, także w obszarze gier, rzeczywiście są obszerne, o tyle trudno doszukać się w jego pracy projektów, które miałyby komponent „R" z B+R, a więc takich, które wymagają wdrożeń, komercjalizacji czy współpracy z przemysłem.

Zależało nam, by prof. Frelik pochwalił się konkretnymi pracami wykonanymi dotąd przez niego i innych zaangażowanych w projekt. Pytaliśmy też, na jakiej zasadzie pracownik Uniwersytetu Warszawskiego współpracuje z Sundog i czy otrzymuje wynagrodzenie za pracę. Np. pokrywane z dotacji PARP.

Frelik nie odpowiedział na pytania zadane mu za pośrednictwem e-maila. Stwierdził, że wybiera się na konferencję naukową do Stanów Zjednoczonych, nie będzie więc zajmował się sprawami, które „nie są pilne". Odesłał nas też do „świeżego" wpisu na blogu Sundog (mamy marzec, a post podsumowuje zeszły rok i przedstawia plany na rok bieżący) i dodał, że korespondencję dotyczącą Sundog mamy prowadzić z nim nie za pośrednictwem dostępnego publicznie adresu uczelnianego, lecz znajdującego się w domenie firmy. Na uwagę, że adres „znajdujący się w domenie Sundog" nigdzie nie jest podawany, udostępnił go nam. Na zadane w ten sposób – zgodnie z życzeniem profesora – pytania nie było już odpowiedzi. Może firmowy e-mail znowu nie działał.

Na pytania dotyczące swojego zaangażowania w projekt nie odpowiedziała także inna wymieniana przez Sundog specjalistka od badań i rozwoju, dr inż. Małgorzata Fialkowska-Filipek z Politechniki Wrocławskiej.

Do momentu zamknięcia wydania tego numeru „Sieci" bez odpowiedzi pozostały też pytania zadane przez nas Uniwersytetowi SWPS.

Kontrola w miejscu

Na szczęście informacje dotyczące tłustej dotacji przekazała PARP. Nieoficjalnie mówi się, że w agencji w związku z projektem Sundoga jest „gorąco".

– Publikacje w mediach związane z zainteresowaniem noblistką i komentarze branży nie pomagają. Czort wie, co w ogóle z tego wszystkiego wyjdzie. A jak nie wyjdzie, a pieniądze zostaną wydane, będzie afera – mówi nam jeden z pracowników PARP.

> Według podpisanej z PARP umowy projekt ma być gotowy do końca kwietnia 2028 r. – Tam nic specjalnego się nie dzieje. Marne szanse na ten rok 2028. W ogóle marne szanse – śmieje się człowiek z branży znający sytuację w Sundogu

Na razie jednak – według władz agencji – o żadnej aferze nie może być mowy. Dotacje przyznano słusznie, bo „decyzje o dofinansowaniu podejmowane są w oparciu o proces oceny niezależnych ekspertów, zgodnie z obowiązującymi procedurami i regulacjami, mającymi na celu zapewnienie rzetelności, przejrzystości i sprawiedliwego traktowania wszystkich wnioskodawców", a projekt został oceniony „pozytywnie w zakresie wszystkich obligatoryjnych kryteriów wyboru, w tym w szczególności w zakresie potencjału do realizacji modułu B+R, potencjału do wdrożenia wyników modułu B+R, opłacalności wprowadzenia rezultatu modułu B+R na rynek oraz zdolności do finansowej realizacji projektu".

Co z opóźnieniami, odejściami menedżerów i kooperantów, a także opiniami, że dotowany projekt jest „w powijakach"?

Jak zapewnia rzecznik prasowy PARP Aneta Zielińska-Sroka, „PARP na bieżąco otrzymuje od Spółki informacje dotyczące koniecznych zmian w projekcie, w trybie zgodnym z postanowieniami umowy o dofinansowanie" a „w toku obsługi projektu nie zidentyfikowano sytuacji wskazujących na brak kluczowych pracowników do realizacji zakładanych prac B+R". Zdaniem PARP „nie odnotowano opóźnień", a o tym, że wszystko jest w porządku, ma świadczyć fakt, że „pięciu aktualnych akcjonariuszy Wnioskodawcy zadeklarowało dokapitalizowanie spółki łącznie kwotą 6 mln zł".

„Akcjonariusze ci są przedsiębiorcami z ugruntowaną pozycją na rynku i stabilną sytuacją finansową, a środki przeznaczone na pokrycie kapitału własnego pozostają w ich dyspozycji" – podkreśliła Zielińska-Sroka.

A ile pieniędzy przelano już z PARP do Sundoga? Dokładnie 6 196 924,52 zł. Zdecydowaną większość – ponad 5,5 mln zł – stanowiły zaliczki. Blisko 700 tys. to refundacja poniesionych przez firmę nakładów.

PARP zapewnia, że na bieżąco sprawdza, czy pieniądze idą na to, na co powinny iść według umowy. „Dotychczas zrealizowane czynności sprawdzające nie wykazały nieprawidłowości w projekcie".

Jednocześnie agencja poinformowała nas jednak, że „projekt będzie również podlegał kontroli w miejscu realizacji". „Kontrola planowana jest do przeprowadzenia w II kwartale 2026 r." – sprecyzowała Aneta Zielińska-Sroka.

I bardzo dobrze. Trzeba się troszczyć o przyszłość naszej gospodarki, nawet, jeśli mają nią być „technologie do tworzenia nieliniowych gier RPG w silniku Unreal Engine 5, umożliwiających tworzenie spójnych psychologicznie postaci". Poza tym do przelania na konto Sundoga jest jeszcze ponad 10 mln publicznych pieniędzy. Warto więc sprawdzić na miejscu, jak idzie robota ludziom naszej noblistki.

Spider-Man, Tolkien i „Manifest komunistyczny”

Ludzie przestają myśleć, gdy przestają czytać, a to, co czytają, wiele mówi o tym, jak myślą. Ich muzyczne, filmowe, estetyczne gusta dopełniają pewnego obrazu. Świetnie widać to na przykładach współczesnych i historycznych przywódców politycznych



MACIEJ WALASZCZYK

Kapitan Ameryka

Gdy w połowie lutego br. delegaci z prawie 50 krajów zebrali się na pierwszym posiedzeniu Rady Pokoju w Waszyngtonie, miała tam miejsce osobliwa scena. Gdy zbierali się do wspólnej fotografii, w tle płynęły dźwięki „November Rain” zespołu Guns N’ Roses. „Wszyscy lubią muzykę?” – zapytał Donald Trump, na co odpowiedziano aprobatą. „To dobra muzyka” – potwierdził zadowolony z siebie prezydent Stanów Zjednoczonych. Kilka lat temu była rzeczniczka prasowa Białego Domu Sarah Huckabee Sanders przyznała, że niemal dziewięciominutowy przebój Guns N’ Roses z 1991 r. wraz z teledyskiem należy do ulubionych utworów prezydenta. Od wielu lat nalega, aby był to punkt obowiązkowy na playliście odtwarzanej podczas wieców wyborczych. Więc także przed inauguracyjnym posiedzeniem Rady Pokoju jej uczestnikom umilała czas nostalgiczna mieszanka hitów z lat 70. 80. i 90. XX w., w tym obowiązkowa „Y.M.C.A” czy znana z filmów o Rockym Balboa melodia „Eye of the Tiger”.

Nostalgia za dobrymi i stabilnymi czasami to znak rozpoznawczy tzw. populistycznej prawicy. Postać Trumpa od dawna jest obecna w amerykańskiej popkulturze, której filarem wciąż są komiksy. Prywatnie przyjaźni się z byłym dyrektorem Marvela, Ikem Perlmutterem, więc w wydawanej przez koncern serii „Kapitan Ameryka” znalazła się nawet dwustronicowa sekwencja, w której jedna z postaci tego uniwersum, Spider-Gwen, walczy z monstrum znanym jako M.O.D.O.K. To superzłoczyńca przypominający obecnego prezydenta, który prowadząc swych ludzi na granicę z Meksykiem, ostrzega: „Jeśli Ameryka nie zareaguje – wkroczy M.O.D.A.A.K”. To tylko jeden z dowodów na to, że amerykańska kultura masowa i amerykańska polityka przenikają się na zasadzie osmozy.

Barack Obama był fanem zarówno Boba Dylana, jak i zespołu Fugees, a kiedyś przyznał, że wciąż zbiera komiksy o Spider-Manie i Conanie Barbarzyńcy. Bill Clinton był pierwszym prezydentem pokolenia baby boomers, a więc ery rocka, a jako saksofonista zachwycał się grą Johna Coltrane’a. John F. Kennedy był znany ze swojej niesłabnącej miłości do książek. Podobno w młodości przeczytał wszystko, co napisał Winston Churchill, a do swych lektur formacyjnych zaliczał m.in. autobiograficzną „Pilgrim’s Way” gubernatora generalnego Kanady Johna Buchana, biografię Talleyranda Duffa Coopera, „Byrona we Włoszech” Petera Quennella oraz „Czerwone i czarne” Stendhala. Bardzo lubił też klasyczną powiastkę o Jamesie Bondzie Iana Fleminga, czyli „Pozdrowienia z Rosji”.

„Święte Księgi”

Włoska premier Giorgia Meloni już nieraz udowadniała, że ma ciekawą formację intelektualną i jest kimś więcej niż tylko mdłym produktem politycznego marketingu. Podczas styczniowej wizyty w Japonii spotkanie z premier Sanae Takaichi uwieczniła ilustracją anime w stylu Ghibli. Zorganizowano też dla niej spotkanie z Tetsuo Harą, twórcą serii „Warrior Ken” i zarazem jedną z legendarnych postaci japońskiej mangi.

Meloni od dziecka jest fanką serii „Lupin III” i „Kosmicznego Pirata kapitana Harlocka”. Zwłaszcza tę ostatnią postać przedstawiała jako symbol pokolenia, które „podjęło walkę z tymi, którzy pragnęli ukraść przyszłość”.

Jak wielu weteranów włoskiej prawicy Meloni jest również zaprzysięgłą fanką sagi Tolkiena. „To nasze święte księgi” – głosiła z powagą. W latach 70. ukazały się włoskie przekłady „Władcy pierścieni”, które w kręgach postfaszystowskiej partii MSI stały się niezwykle popularne, sprawiając, że prawica odbiła Tolkiena z rąk hipisów. Głównie za sprawą historyka religii Elémirego Zolli, który w napisanych do nich przedmowach wyjaśniał, że są one

wyrazem odwiecznej filozofii odrzucającej nowoczesność, afirmującej heroizm i zapowiadającej ostateczny triumf dobra. Na początku lat 90. również nastoletnia Giorgia jako działaczka młodzieżówki MSI uczestniczyła w letnich Hobbit Camp, by dyskutować, a przy dźwiękach zespołu Compagnia dell'Anello śpiewać pieśni wzywające do walki.

Rolling Stone i Hradczany

Václav Havel całe życie oscylował między działalnością artystyczną a polityką. Jak wielokrotnie przyznawał, prezydentem został przez przypadek, a twórcą czuł się zawsze. Rozpoczęcie przez niego aktywnej działalności opozycyjnej wiąże się z grupą Plastic People of the Universe – legendą czechosłowackiego podziemia. Joan Baez już w 1976 r. protestowała przeciwko prześladowaniu członków tego zespołu, a gdy w czerwcu 1989 r. pojawiła się w Bratysławie, poświęciła swój koncert Havlovi i ludziom Karty 77. Rok później na praskim Strahowie wystąpili The Rolling Stones, z którymi drogi Havla przecinały się wielokrotnie. Stał się wtedy bardzo popularny i to raczej w jego blasku grzali się gwiazdorzy z U2, Sting, Suzanne Vega czy Peter Gabriel. Po jego śmierci specjalny pożegnalny koncert zagrał Lou Reed, założyciel Velvet Underground, który był drugim ulubionym artystą czeskiego prezydenta.

Jako pisarz miał oczywiście wielkie fascynacje literackie, do których zaliczali się Franz Kafka, Samuel Beckett czy Eugène Ionesco. To ci twórcy nauczyli go, by absurd czerpać z codziennego życia w sztucznym świecie komunizmu i umieszczać go w sztukach teatralnych. Swą filozoficzną „Siłę bezsilnych" zaczerpnął z pism Jana Patočki, pod którego wielkim wpływem był do końca życia.

Czarny, ale czerwony

Przenieśmy się teraz do południowej Afryki, gdzie Nelson Mandela jako bohater walki z apartheidem wyrósł właściwie na gwiazdę popkultury. W biografiach opisuje się jako zachłannego czytelnika pożerającego idee polityczne i filozoficzne. Choć zapewniał, że każde źródło było dla niego interesujące, to wpływały one raczej do tej samej czerwonej rzeki. Na pierwszym miejscu stawiał „Dzieła zebrane" Marksa i Engelsa, z których bardziej cenił „Manifest komunistyczny" niż wyczerpującą lekturę „Kapitału". Mocno przyciągała go idea społeczeństwa bezklasowego, które – jak uznał – było podobne do tradycyjnej kultury afrykańskiej. Dlaczego nie wiedzieli tego polscy komuniści? Biali popełnili też chyba błąd, wsadzając go łącznie na 27 lat do więzienia, gdyż podczas odsiadek pilnie się edukował. Poznał raport szefa kubańskiej partii komunistycznej z czasów Batisty na temat metod działań konspiracyjnych, przeczytał „Powstanie" Menachema Begina i „Commando" Deneysa Reitza na temat niekonwencjonalnych taktyk partyzanckich. A do tego książki o Che Guevarze i Fidelu Castro oraz Mao Zedongu, a dokładnie „Czerwoną gwiazdę nad Chinami" Edgara Snowa.

ULUBIEŃCY POLITYKÓW

Donald Trump



zespół Guns N' Roses



Barack Obama



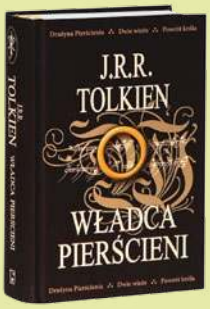
komiksy o Conanie Barbarzyńcy



Giorgia Meloni



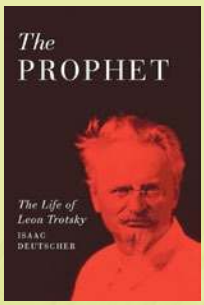
książki Tolkiena



Tony Blair



biografia Lwa Trockiego Izaaka Deutschera



Fot. Daniel Torok/Official White House Photo by Daniel Torok, A Paes/Shutterstock.com, Rawpixel.com/Shutterstock.com, Alessia Pierdomenico/Shutterstock.com, IT S/Shutterstock.com, materiały prasowe

Václav Havel



zespół Plastic People of the Universe



Winston Churchill



„Wehikuł czasu" H.G. Wellsa



Nelson Mandela



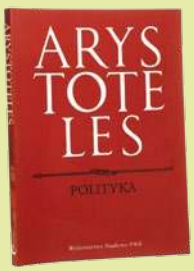
„Manifest komunistyczny" Marksa i Engelsa



Józef Stalin



dzieła Arystotelesa



Adolf Hitler



filmy animowane o Myszce Miki Walta Disneya



Zaprzyjaźniony z książkami

Winston Churchill to pogromca Hitlera, a także grabarz imperium brytyjskiego. Tym bardziej wielokrotnie zastanawiano się, jakie książki i autorzy przyczynili się do rozwoju tak nietuzinkowej osobowości. Po jego śmierci w 1965 r. zgromadzona przez niego biblioteka została podzielona: część zbiorów trafiła na uczelnie, część rozeszła się po rodzinie, a resztę przechowuje jego archiwum w Cambridge. Od dziecka lubił „Wyspę Skarbów" Roberta L. Stevensona i „Kopalnie króla Salomona" Henry'ego R. Haggarda. Tę ostatnią czytał podobno prawie tuzin razy, a gdy kiedyś spotkał się z autorem, dokładnie wypytywał go o szczegóły. Z dorosłych lektur na pierwszym miejscu wymieniany jest „Wehikuł czasu" H.G. Wellsa, przeczytał również inne jego książki. Tę jednak stawiał na równi z „Podróżami Guliwera" Jonathana Swifta. „To jedna z książek, które chciałbym zabrać ze sobą do czyśćca" – mówił były premier. Uwielbiał „Siedem filarów mądrości" Thomasa E. Lawrence'a, którą w latach 30. XX w. osobiście zrecenzował dla „Daily Mail", chwaląc jako „wzór jasnej, przekonującej i fascynującej narracji". Brytyjski przywódca świetnie znał pasjonujący do dziś sześciotomowy „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego" Edwarda Gibbona, zaczytywał się w „Balladzie o więzieniu w Reading" Oscara Wilde'a, który prywatnie był przyjacielem jego matki. W ostatnich latach życia zafascynowała go literatura demaskująca mechanizmy totalitarne. Poznał wtedy m.in. „Nowy wspaniały świat" Huxleya, książki Pasternaka i Sołżenicyna oraz „Rok 1984" Orwella.

Z kolei Margaret Thatcher uwielbiała wszystkie szpiegowskie powieści Fredericka Forsytha, a on rewanżował się poparciem dla jej rządów i prowadził ożywioną korespondencję z nią. David Cameron wyznał kiedyś, że do jego ulubionych pozycji należą wspomnienia Roberta Gravesa pt. „Wszystkiemu do widzenia", choć zdjęcie z jego mieszkania na Downing Street ujawniały, że na półkach można było znaleźć więcej książek kucharskich niż literatury pięknej. Inaczej Tony Blair. Zanim został premierem twierdził, że jego ulubioną książką był „Ivanhoe" Waltera Scotta. Ale już w czasie swego urzędowania wskazywał na trzytomową, w dużej mierze pełną sympatii biografię Trockiego autorstwa Izaaka Deutschera. Okazało się, że to właśnie za jej sprawą zainteresował się polityką. Znamienne świadectwo.

Kulturalny zbrodniarz

Osip Mandelsztam – według relacji jego żony Nadieżdy – powiedział, że poezji nigdzie nie szanuje się tak jak w sowieckiej Rosji. „Za poezję się morduje. Tylko u nas, nigdzie indziej". W 1937 r. Stalin rozpętał wielki terror, w wyniku którego zamordowano także tysiące twórców kultury. Doprowadził też do wysłania na przemiał dziesiątek milionów książek. Sam jednak zbudował znakomicie zaopatrzoną bibliotekę, w której znalazło się ok. 20 tys. pozycji.

Jeszcze przed rewolucją jako dziecko przeczytał gruzińską powieść „Ojcobójstwo" Aleksandre'a Kazbegiego – o Kobie, postaci przypominającej Robina Hooda, żyjącej w XIX w. w Gruzji czasów carskich. „Koba" stał się pierwszym pseu-

Fot. Marcin Kadziolka/Shutterstock.com, Michał Kłajban/Wikipedia, Library and Archives Canada, Alessia Pierdomenico/Shutterstock.com, domena publiczna x2, Andreas Wolochow/Shutterstock.com, Walt Disney Company, materiały prasowe

Reklama | 18/0326/F

eprasa.pl e4f0-2b4a6

donimem Stalina. Czytał naprawdę dużo, sporządzał notatki, znał łacinę i grekę, których znajomość wyniósł z seminarium duchownego w Tbilisi. Poznał tam literaturę rosyjską i europejską, w tym starożytną, czytał w oryginale Platona i Arystotelesa. Nielegalnie poznał też Darwina, Marksa, Engelsa, Plechanowa, Lenina i ówczesną literaturę rewolucyjną. Autor biografii Stalina Robert Service ukazał go jako miłośnika i osobistego znajomego Gorkiego, Tołstoja czy Szołochowa, którego łaskawie oszczędził. Stalin namiętnie chodził też do teatru i słuchał muzyki. Podobno onieśmielał go geniusz Szostakowicza, którego znów paraliżował strach przed dyktatorem, sprawiając, że kompozytor truchlał, przeobrażając się w konformistę.

Od Wagnera po Winnetou

Wdzięcznym bohaterem tego rodzaju przeglądów jest Adolf Hitler. Wódz III Rzeszy najbardziej fascynował się kinem i nie przypadkiem jego publiczne wystąpienia przypominały aktorskie inscenizacje. A sztandarowe dzieła Leni Riefenstahl jak „Olimpiada" i „Triumf woli" nigdy by nie powstały bez jego udziału. Podczas pobytów w Berghofie nieustannie oglądał filmy, zwłaszcza... amerykańskie kreskówki. Biograf Ian Kershaw zwracał uwagę na jego fascynację filmami Disneya, m.in. „Królewną Śnieżką" i przygodami Myszki Miki. Lubił też filmy przygodowe, m.in. „King Konga" i „Bengali" Henry'ego Hathawaya, opowiadającego o ekspedycji brytyjskich oficerów przeciw zbuntowanym plemionom w Indiach. Jednocześnie zachwycały go sztandarowe dzieła niemieckiego ekspresjonizmu, czyli „Gabinet doktora Caligari" i „Metropolis" Fritza Langa.

Pasjonował się także wielkimi niemieckimi mistrzami opery i dramatu. W 1905 r. podczas pobytu w Lintzu był świadkiem spektakularnych uroczystości na cześć Friedricha Schillera. W tym samym czasie spodobała mu się twórczość neoromantyków – Richarda Wagnera i Antona Brucknera, dla którego w 1942 r. naszkicował projekt postumentu. Kilkanaście lat temu Timothy Ryback, autor książki „Prywatna biblioteka Hitlera", doszedł do wniosku, że przywódca partii narodowo-socjalistycznej nie tyle czytał Schopenhauera i Nietzschego, ile powieści Karola Maya – twórcy postaci Winnetou. Choć w jego bibliotece znaleziono także wspaniale oprawione, wielotomowe wydanie dzieł zebranych Shakespeare'a, „Don Kichota", „Robinsona Crusoe", to ślady wielokrotnego przeglądania nosił np. architektoniczny przewodnik po Berlinie jednego z najsłynniejszych ówczesnych krytyków sztuki i architektury Maxa Osborna, a także napisana przez Thomasa Carlyle'a biografia Fryderyka III Wielkiego. Nic dziwnego, gdyż jej autor był zaprzysięgłym germanofilem, zafascynowanym postacią króla Prus.

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN
W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

WIĘCEJ
O AKCJI
POMOCY:

eprasa.pl e4f04804a5

Prezydentura nie dla kobiety



STANISŁAW JANECKI

To absolutny fenomen europejski i światowy, iż żadna kobieta startująca dotychczas w wyborach prezydenckich w Polsce nie przekroczyła nawet 5 proc. poparcia. A przecież Polki otrzymały bierne i czynne prawa wyborcze już w 1918 r., co było wyjątkowe w Europie, a tym bardziej na świecie

Pozostaje ewenementem, że kobieta kandydująca na prezydenta RP nigdy nie weszła do drugiej tury. A nawet nie zdobyła 5 proc. głosów w pierwszej turze. To, co jest zwyczajne w wielu państwach afrykańskich, azjatyckich czy południowoamerykańskich, absolutnie nie jest możliwe w Polsce. I to w kraju, w którym Polki otrzymały bierne i czynne prawa wyborcze już w 1918 r., co było wyjątkowe w Europie, a tym bardziej na świecie.

Owszem, trzy Polki były premierami: Hanna Suchocka, Ewa Kopacz i Beata Szydło, ale przecież nie z powszechnego wyboru. A niemożność przekroczenia nawet pułapu 5 proc. głosów jest swego rodzaju skandalem. I oznacza, że także same kobiety nie chcą jednej z nich na stanowisku głowy państwa. Przecież gdyby tylko jedna czwarta z nich głosowała na kobietę, wyborczy wynik byłby kilka razy lepszy. A przy połowie tak głosujących kobiet byłaby szansa na drugą turę. Czyżby kobiety głosujące w wyborach prezydenckich były mizoginkami?

W Polsce kobiety osiągają w wyborach prezydenckich wyniki tragiczne i głęboko zawstydzające. Dlaczego? Zapewne jest to efekt splotu barier kulturowych, strukturalnych oraz strategii samych partii politycznych. W Polsce dominuje tzw. męski wzorzec władzy. Urząd prezydenta, zwierzchnika sił zbrojnych, jest mocno kojarzony z bezpieczeństwem i siłą militarną. Wyborcy często podświadomie przypisują te cechy mężczyznom, co utrudnia kobietom przebicie się.

Agnieszka Grzybek, działaczka społeczna, współzałożycielka Fundacji na Rzecz Równości i Emancypacji STER, w maju 2020 r. na łamach ofeminin.pl zwracała uwagę na błędne założenia kampanii kandydujących kobiet. Małgorzata Kidawa-Błońska posłużyła się np. metaforą sprzątającej pani domu, czyli odwołała się do tradycyjnej, stereotypowej roli kobiety jako opiekunki domowego ogniska, dbającej o dom i rodzinę. A przecież od prezydenta oczekuje się odpowiedzialności za państwo, politykę międzynarodową, bezpieczeństwo narodowe. Hanna Gronkiewicz-Waltz była przedstawiana w kampanii jako matka, która zaopiekuje się Polską. Ale wyborcy nie chcą, by prezydent był matką. Chcą osoby pewnej, zdecydowanej, charyzmatycznej, skutecznej. Wniosek jest taki, że „nie należy odwoływać się do stereotypowej roli kobiety udomowionej. Trzeba pokazywać kandydatkę jako osobę, która sprosta odpowiedzialności za państwo".

Kandydatki bez szans

Pierwszą kobietą, która zgłosiła swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich, była w 1990 r. Janina Kraus, jednak nie zebrała wymaganej liczby podpisów i ostatecznie nie wystartowała. Startująca w 1995 r. Hanna Gronkiewicz-Waltz zdobyła zaledwie 2,76 proc. głosów. W 2000 r. chęć kandydowania zgłosiła Krystyna Górniak, radna gminy Warszawa-Centrum i dzielnicy Mokotów, ale ostatecznie nie wystartowała. W 2005 r. o prezydenturę ubiegała się Henryka Bochniarz, prezydent Konfederacji Lewiatan, związana z Partią Demokratyczną, była minister. Wynik – 1,26 proc. głosów. Kandydować chciała też Maria Szyszkowska, senator SLD-UP Lewica Razem, związana z Polską Partią Pracy, ale nie zebrała wystarczającej liczby podpisów.

W 2010 r. nie wystartowała żadna kobieta. W 2015 r. chciały kandydować Anna Grodzka, posłanka niezrzeszona, działaczka Partii Zieloni, Balli Marzec, prezes stowarzyszenia Wspólnota Kazachska, Iwona Piątek, przewodnicząca Partii Kobiet, Wanda Nowicka,

Fot. LewiatanMaciejDrozd/wikipedia, shutterstock, Liudmyla Skwarczyńska, Andrzej Wiktor x3, Zuzanna Kruschewska



Od lewej: Magdalena Ogórek, Magdalena Biejat, Małgorzata Kidawa-Błońska, Hanna Gronkiewicz-Waltz, Joanna Senyszyn, Henryka Bochniarz

zgłoszona przez komitet wyborców Biało-Czerwoni i Magdalena Ogórek, historyk i dziennikarka. Ostatecznie wystartowała tylko ta ostatnia, ale uzyskała jedynie 2,38 proc. głosów.

W tzw. pierwszych wyborach w 2020 r., które nie odbyły się z powodu pandemii, kandydatką była Małgorzata Kidawa-Błońska, wicemarszałek Sejmu z Klubu Parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej, działaczka Platformy Obywatelskiej, była marszałek Sejmu. Przed „drugimi" wyborami została jednak wycofana. A w tzw. drugich wyborach w 2020 r. nie wystartowała żadna kobieta.

W 2025 r. padł rekord. Chęć kandydowania zgłosiły Magdalena Biejat, wicemarszałek Senatu z Koalicyjnego Klubu Parlamentarnego Lewicy, Katarzyna Cichos, prawnik, liderka ruchu Platforma Rozwoju Polski, była radna Siemianowic Śląskich, Jolanta Duda, finansistka, działaczka stowarzyszenia Światowy Kongres Polaków, Dominika Jasińska, trenerka Porozumienia bez Przemocy, Maria Leśniak-Wojciechowska, przedsiębiorca, rolnik, działaczka narodowa, Katarzyna Łysik, rolnik, Marta Ratuszyńska, prezes Dobrego Radomia, Joanna Senyszyn, działaczka Stowarzyszenia Lewicy Demokratycznej, była posłanka i eurodeputowana oraz Aldona Skirgiełło, działaczka Samoobrony. Ostatecznie wystartowały tylko Magdalena Biejat – osiągnęła rekordowe w przypadku startujących kobiet poparcie wynoszące 4,23 proc., a Joanna Senyszyn zdobyła zaledwie 1,09 proc. głosów.

W naszej części Europy Polska należy do nielicznych wyjątków, gdzie kobiety nie wybrano na prezydenta. Inaczej niż na Słowacji, gdzie urząd ten pełniła Zuzana Čaputová (2019–2024), na Litwie – Dalia Grybauskaitė (2009–2019), w Estonii – Kersti Kaljulaid (2016–2021), na Węgrzech – Katalin Novák (2022–2024), w Chorwacji – Kolinda Grabar-Kitarović (2015–2020), w Mołdawii – Maia Sandu (od 2020 r.).

Polki nie stawiają na kobiety kandydujące na prezydenta, bo nie widzą w nich sprawczości. Dla wielu głosujących, szczególnie spoza dużych miast, płeć nie jest żadnym argumentem. Wręcz przeciwnie: część z nich uznaje, że kobiety w polityce nie reprezentują ich doświadczeń, wartości ani realnych problemów. Pojawiają się opinie, że niegłosowanie na kobiety wynika z tego, że „w polityce robią hałas, a nie wykonują pracę". Kandydatki na prezydenta często dają do zrozumienia, że skoro są z Warszawy lub z innego dużego miasta, to wiedzą lepiej, czego potrzeba kobietom w Polsce z prowincji. W kampaniach wyborczych kobiety przeważnie są tylko na plakatach, a nie w „terenie". Zamiast żywych osób są ładne zdjęcia i hasła, które nic nie znaczą. A zwykłe kobiety nie potrzebują haseł, tylko kogoś, kto zajmie się konkretami: dostępem do lekarza, lokalną drogą, szkołą. Dość powszechne jest wrażenie, że kandydujące kobiety dbają tylko o to, żeby dobrze wyglądać i się podobać. Dominuje poczucie, że kandydatki na prezydenta nie mówią językiem zwykłych ludzi, nie dzielą ich codzienności, nie znają realiów życia poza miastem.

Np. Magdalena Biejat była odbierana przez wielu wyborców jako produkt marketingowy, a gdy lewica nie wsparła jej jednoznacznie, głosujący uznali, że też nie muszą. Agnieszka Grzybek twierdzi, że „kobiety w Polsce nie zostają prezydentkami dlatego, że nie chcą tego partie polityczne. […] Można usłyszeć tłumaczenia działaczy partyjnych czy komentatorów w mediach, że polskie społeczeństwo jeszcze nie jest gotowe na kobietę prezydentkę. Ale to nieprawda. Po prostu do tej pory kobietom nie dano szansy. […] Wynika to stąd, że kobiety mają za małą siłę przebicia w gremiach partyjnych".

Rezerwowe

Kandydatki częściej niż mężczyźni są oceniane przez pryzmat wyglądu lub cech osobowościowych (np. „nieporadności"), co odciąga uwagę od ich kompetencji. Partie polityczne rzadziej wystawiają kobiety jako swoje „pierwsze numery" w wyścigu o najwyższy urząd. Często są one traktowane jako kandydatki „rezerwowe" lub promujące konkretny nurt (np. lewicowy), co ogranicza ich zasięg do wąskiego elektoratu. Nierzadko dysponują mniejszym wsparciem finansowym i organizacyjnym ze strony struktur partyjnych niż mężczyźni. Badania sugerują też, że kobiety rzadziej czują się „gotowe" do pełnienia najwyższych funkcji politycznych, co wynika z lat socjalizacji i braku wzorców (tzw. szklany sufit). Kandydatki miewają też „dylemat pracy i domu": wyborcy bywają krytyczni wobec kobiet aktywnych społecznie, obarczając je większą odpowiedzialnością za sferę rodzinną, co bywa wykorzystywane w kampaniach.

Jeśli chodzi o kandydujące kobiety, mamy również do czynienia z brakiem „solidarności jajników". Polki nie głosują masowo na kobiety właśnie ze względu na płeć. W wyborach prezydenckich 2025 r. większość kobiet poparła Rafała Trzaskowskiego (52,8 proc.), kierując się pragmatyzmem i światopoglądem, a nie płcią. Brak kobiecej solidarności jest głównie problemem psychologicznym: kobiety nie lubią być „kierowane" przez kobiety i często traktują się jak rywalki. Stanowią też największą grupę wyborców podejmujących decyzję w ostatniej chwili, co sprawia, że trudniej budować wokół nich stałą bazę poparcia dla mniej znanych kandydatek.

W polskich wyborach dużą rolę odgrywają także czynniki historyczne. Mimo że kobiety w Polsce otrzymały bierne i czynne prawa wyborcze już w 1918 r., to ich udział w strukturach władzy nie był i obecnie nadal nie jest proporcjonalny do ich liczby w całym społeczeństwie. Polki od lat nie są proporcjonalnie reprezentowane zarówno w strukturach zarówno samorządowych, jak i parlamentarnych. Dotychczas nie udało się przekroczyć tzw. masy krytycznej, czyli 30 proc., aby kobiety mogły wpływać na funkcjonowanie jakiegoś organu. W polskim parlamencie mamy nie więcej niż 25 proc. kobiet wśród ogółu posłów.

Pojawiły się nawet nowe bariery ograniczające zakres samorealizacji kobiet w życiu publicznym. Sonia Szczepańska, autorka opracowania „Kobieta – zwierzę polityczne?" zauważa, że pytania, jakie zadaje się kandydatkom w wyborach, dotyczą życia osobistego, a nie kwalifikacji, predyspozycji czy osiągnięć zawodowych, przez co upowszechnia się stereotyp, że „kobiety nie znają się na polityce". Sporo kobiet nie

potrafi też przezwyciężyć lęku przed sukcesem, który wiąże się z dużym obciążeniem psychicznym i dyskomfortem. Ma on też związek z poczuciem utraty kobiecości i atrakcyjności dla płci przeciwnej, odrzuceniem społecznym, co w efekcie doprowadza do tego, że rezygnują z posiadanych aspiracji.

Socjologowie tłumaczą brak sukcesów kobiet w wyborach prezydenckich dominacją mężczyzn w największych partiach, a oni rzadziej wystawiają kobiety jako swoje główne „twarze". Urząd prezydenta jest w Polsce postrzegany poprzez kwestie bezpieczeństwa i zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi. Badania wskazują, że kompetencje w tych dziedzinach wyborcy wciąż częściej przypisują mężczyznom.

Agnieszka Grzybek pokazała męskocentryczny punkt widzenia na przykładzie kandydatury Małgorzaty Kidawy-Błońskiej: „Pomysł z bojkotem wyborów, który był przecież decyzją partyjną, a nie tylko indywidualnym gestem Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, mógł być manewrem, którym koledzy chcieli się pozbyć kandydatki. Może to wizja machiaweliczna, ale faktem jest, że w swojej kampanii pani marszałek była dość osamotniona. Nie było widać w jej otoczeniu silnej, zwartej drużyny, która byłaby naprawdę zdeterminowana i zdecydowana na wygraną. Konferencja prasowa, na której ogłosiła swoją rezygnację ze startu, była bardzo smutna, a ta pustka wokół niej bardzo symboliczna. [...] Pani marszałek została sama na placu boju, ponieważ jej koledzy już pewnie szykowali się na jej miejsce".

Uderzenie w twarz

Kobiety uczestniczące w polskiej polityce bądź komentujące ją twierdzą, że uderzeniem w twarz są nie tylko bardzo słabe wyniki kandydatek na prezydenta, lecz także to, że kobiety są wybierane na najwyższą funkcję w wielu państwach na świecie, gdzie jeszcze niedawno nie miały żadnych praw albo bardzo ograniczone. Pierwszą kobietą pełniącą funkcję głowy państwa w historii była Isabel Perón w Argentynie (1974), która przejęła urząd po śmierci męża, natomiast pierwszą wybraną w demokratycznych wyborach była Islandka Vigdís Finnbogadóttir (1980–1996).

Kobiety wybierano na prezydenta przede wszystkim w Europie: Mary Robinson i Mary McAleese w Irlandii, Tarję Halonen w Finlandii, Micheline Calmy-Rey, Doris Leuthard, Simonettę Sommarugę i Violę Amherd w Szwajcarii (to państwo ma prezydenta rotacyjnego, a kobiety często piastują ten urząd), Marie-Louise Coleiro Preca na Malcie czy Atifete Jahjagę i Vjosę Osmani w Kosowie.

> Polki od lat nie są proporcjonalnie reprezentowane zarówno w strukturach samorządowych, jak i parlamentarnych. Dotychczas nie udało się przekroczyć tzw. masy krytycznej, czyli 30 proc., aby kobiety mogły wpływać na funkcjonowanie jakiegoś organu. A w polskim parlamencie mamy nie więcej niż 25 proc. kobiet wśród ogółu posłów

Kobiety wybierano na prezydenta w Argentynie – Cristinę Fernández de Kirchner, w Brazylii – Dilmę Rousseff, w Chile – Michelle Bachelet, w Panamie – Mireyę Moscoso, w Kostaryce – Laurę Chinchillę, w Hondurasie – Xiomarę Castro, w Peru – Dinę Boluarte, na Filipinach – Corazon Aquino i Glorię Macapagal-Arroyo, w Indiach – Pratibhę Patil i Droupadi Murmu, na Sri Lance – Chandrikę Kumaratungę, w Korei Południowej – Park Geun-hye, na Tajwanie – Tsai Ing-wen, w Indonezji – Megawati Sukarnoputri, w Liberii – Ellen Johnson-Sirleaf (pierwsza kobieta prezydent w Afryce), w Etiopii – Sahle-Work Zewde (pierwsza kobieta prezydent w historii Etiopii), w Malawi – Joyce Bandę, na Mauritiusie – Ameenah Gurib-Fakim, w Tanzanii – Samię Suluhu Hassan.

Paradoksem jest to, że w Polsce kobiet mających czynne prawo wyborcze jest więcej niż mężczyzn, są lepiej wykształcone, coraz lepiej osadzone w hierarchiach społecznych, bo nie brak im prestiżu i sukcesów zawodowych, a mimo to osiągają fatalne wyniki, kandydując w wyborach prezydenckich. Jakby były kandydatami drugiej kategorii, zastępczymi, doraźnymi lub wykorzystywanymi instrumentalnie.

Chyba w żadnej innej dziedzinie kobiety nie są tak źle oceniane – bo bardzo słabe wyniki wyborcze stanowią rodzaj oceny. Pojawiają się oczywiście głosy, że przecież nikt w Polsce nie zabrania kobietom kandydować na prezydenta, tak jak nikt nie nakłania ich do niegłosowania na kandydatki. Przecież trudno sobie wyobrazić, żeby kobiety ubiegające się o najwyższy urząd w państwie miały jakieś preferencje czy „punkty za płeć". Fenomenem politycznym, socjologicznym i kulturowym jest jednak to, że po 1989 r. żadna kobieta startująca w wyborach prezydenckich nie miała najmniejszych szans, aby choć awansować do drugiej tury. To może utrwalić przekonanie, że wystawianie kobiet nie ma żadnego sensu, że szkoda organizacyjnego wysiłku i pieniędzy.

Ugrupowania lewicowe tłumaczą, że wystawianie kobiet stanowi demonstrację wyznawanych wartości, nawet jeśli politycznie jest to działanie stracenicze. Bo nie wolno się godzić na istniejący stan rzeczy, lecz trzeba starać się go zmienić. Pytanie tylko, czy kolejne porażki coś zmieniają. Bo nawet gdy w 2025 r. Magdalena Biejat pobiła rekord i zdobyła 4,23 proc. poparcia, nic z tego nie wynika.



Pokolenie Lisa i Wojewódzkiego



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jeśli czasami ktoś zastanawia się głośno, dlaczego ludzie w Polsce potrafią być tak głupi, łatwo znaleźć odpowiedź na to pytanie. Jesteśmy ofiarami gwałtownego awansu tych, którym woda sodowa uderzyła do głowy, bo wmówiono im cynicznie, że są lepsi od innych

„Żyjemy w czasach, gdy takie osoby jak Wojewódzki i Lis uważają się za elity" – zauważył niedawno jeden z użytkowników platformy X. „Jest jeszcze gorzej – dodał inny – bo Lis i Wojewódzki są wciąż za takie elity uważani".

Nazwiska medialnych celebrytów pojawiły się nieprzypadkowo, bo obaj znaleźli się ostatnio w centrum zainteresowania. Najpierw Tomasz Lis wystąpił w likwidowanej permanentnie TVP Info, gdzie wcielił się w rolę obrońcy polskiego członkostwa w Unii Europejskiej. Jego opinie na ten temat nie wzbudziły szerszego zainteresowania, bo Lis od dawna nie ma już nic mądrego do powiedzenia. Uwagę publiczności przykuł za to rekwizyt, którym była wymiętolona czapka w barwach Unii, którą włożył na głowę, aby podkreślić w ten sposób swoje przywiązanie do idei integracji europejskiej. Efekt tej przebieranki był przeciwny do zamierzonego. Starszy, wymęczony człowiek, będący dziś cieniem samego siebie sprzed lat, próbował przekonywać nas do swoich racji, siedząc w podartej czapce z unijnymi gwiazdkami. Jeśli nas w ten sposób przekonał do czegokolwiek, to tylko do tego, iż rzeczywistość, której bronił, całkowicie się zużyła i zbankrutowała.

Kilka dni później nadszedł czas na Kubę Wojewódzkiego. 62-letni gwiazdor liberalnych mediów postanowił zetrzeć w proch Krzysztofa Stanowskiego z Kanału Zero. Dziadek przeliczył się jednak w starciu z młodszym, energicznym i – przede wszystkim – znacznie bystrzejszym przeciwnikiem. Stanowski nie podlizywał się bowiem Wojewódzkiemu, jak ma w zwyczaju większość jego gości, nie śmiał się z jego czerstwych dowcipów, nie czuł onieśmielenia. Bo niby dlaczego?

Wojewódzkiego, przyzwyczajonego do hołdów pod swoim adresem, taka reakcja kompletnie zbiła z tropu. Próbował więc uderzyć w gościa zarzutami o związki finansowe z politykami PiS. Gdy Stanowski z uśmiechem na ustach udowodnił, że to nieprawda, zbity z pantałyku Wojewódzki przyznał, że zmyślił te zarzuty (choć istnieje gorsza wersja, że po prostu dał się komuś wpuścić w maliny). Podobnych wpadek zaliczył zresztą więcej. W zgodnej opinii widzów celebryta został brutalnie zmiażdżony i ośmieszony we własnym programie. Gorzej chyba być nie może.

Nie ma się komu buntować

Lis i Wojewódzki to w pewnym sensie symbole mediów III RP, ludzie, którzy mieli duży wpływ na to, co Polacy myślą i do czego aspirują. Całe pokolenie transformacji dojrzewało wraz z nimi.



Schorowany Lis w wymiętolonej unijnej czapce i ucharakteryzowany na młodzieniaszka Wojewódzki są metaforyczną ilustracją stanu, w jakim znalazła się dzisiaj Polska

Dziś te osoby – często w wieku przedemerytalnym – wciąż trzymają najważniejsze sznurki w Polsce: w gospodarce, polityce i kulturze. Jednak powoli tracą autorytet i pozycję. I prawdopodobnie zostaną surowo rozliczeni z tego, co pozostawią po sobie następnym pokoleniom.

Współczesna Polska – mimo niewątpliwych sukcesów – jest krajem wielu straconych szans. Dzisiaj perspektywy wydają się gorsze niż kiedykolwiek. 60-letni schorowany Lis w wymiętolonej unijnej czapce i ucharakteryzowany na młodzieniaszka 62-latek Wojewódzki są metaforyczną ilustracją stanu, w jakim znalazła się Polska po blisko 40 latach od upadku peerelu. III RP w obecnym kształcie pozostaje również ich dziełem. Nie jest to jednak produkt pierwszej świeżości i coraz więcej wskazuje na to, że jego atrakcyjność jest coraz mniejsza. Podobnie jak Lisa i Wojewódzkiego.

W szczególności dotyczy to młodego pokolenia, które żyje zupełnie innymi emocjami niż jego rodzice. Mimo to na razie są niewielkie szanse, że młodzi ludzie staną się siłą napędową zmian w Polsce, tak jak bywa w świecie i bywało również w naszej historii. Młodzież jest ofiarą przemian cywilizacyjnych – nie tworzy wspólnoty interesów, jest zatomizowana i wycofana z życia publicznego. Przede wszystkim jednak młodych ludzi jest w Polsce za mało.

Kryzys demograficzny pozostaje bardzo ważnym sojusznikiem obecnego systemu. Istniały kiedyś teorie, że poprzednim rządom Tuska bardzo pomogła emigracja do Wielkiej Brytanii i Irlandii. Ludzie, którzy nie mieli perspektyw w Polsce, szukali ich wówczas za granicą, co zapobiegło niezadowoleniu w kraju. Dziś to potencjalne niezadowolenie jest neutralizowane przez zapaść demograficzną.

Nie ma się komu buntować i walczyć o swoje, więc proces gnilny III RP może trwać długie lata. Przynajmniej do czasu, aż młode pokolenie, którego aspiracje rozbudzono, poczuje się wygłodniałe. Podobnie jak ponad 30 lat temu. Tamta historia nie skończyła się jednak dla nas zbyt dobrze.

Beneficjenci lat 90.

Na początku lat 90. w Polsce panował głód. Nie w dosłownym tego słowa znaczeniu, choć w warunkach transformacji zdarzały się pewnie również takie sytuacje. W tym przypadku chodzi o głód sukcesu rozumianego jako awans finansowy oraz prestiżu, drogą do którego miał być skok cywilizacyjny i kulturowy.

Przeciętny Polak wstydził się swojej biedy i choć stanowiła ona skutek komunistycznych rządów, bardzo łatwo było mu wmówić, że jest inaczej. Ubóstwo i zacofanie miało być bowiem nierozerwalnie związane z polskością. Po prostu zawsze byliśmy gorsi i głupsi od całej oświeconej Europy, a nasza nieszczęsna historia tylko to potwierdzała. Jedynym sposobem na wyrwanie się z tego zaklętego kręgu polskiej nienormalności było zerwanie z nią i pójście inną drogą. Naszymi przewodnikami stały się tutaj liberalne media z „Gazetą Wyborczą" na czele, politycy oraz postępowi artyści i ludzie nauki. Większość rzecz jasna z długim i zwykle mało chlubnym peerelowskim rodowodem. To wtedy rozpoczęło się pranie mózgów milionom Polaków, którego bolesne efekty odczuwamy do dzisiaj.

Podczas gdy aspirujący Polak zrywał ze swoją wstydliwą przeszłością, za jego plecami trwała regularna grabież wspólnego majątku. To wtedy zrodziło się słynne hasło, że „pierwszy milion trzeba ukraść". Kto się brzydził lub nie załapał, ten uchodził za frajera. W taki sposób III RP edukowała swoich obywateli. Widzieli oni bowiem wielkie fortuny postkomunistycznej mafii, różnych przestępczych gangów i uczyli się, że w „nowej, demokratycznej Polsce" dobro wspólne i elementarna sprawiedliwość nie istnieją. I aby osiągnąć upragniony sukces, trzeba działać w podobny sposób i myśleć tylko o sobie. Państwo było polem eksploatacji dla „bardziej zaradnych", a prawo miało obowiązywać jedynie słabeuszy.

III RP rodziła się jako oligarchiczne państwo w stylu postsowieckim, choć wmawiano nam, że standardami coraz bardziej zbliżamy się do demokracji zachodnich. Każdy, kto krytykował ten patologiczny system, był stygmatyzowany, wyśmiewany lub brutalnie zwalczany. To m.in. na tym tle zrodził się najważniejszy dziś podział polityczny w Polsce.

Obecne pokolenie 60-latków i trochę młodszych wchodziło wtedy w dojrzałe życie. Zakładali rodziny, próbowali robić kariery, dorabiali się. Ci, którym się wtedy udało i podłączyli się pod ten

układ, sprzeciwiali się później jakimkolwiek zmianom w Polsce. Pozostali mentalnymi sierotami po peerelu, wstydzącymi się własnego państwa i gardzącymi własnym społeczeństwem oraz jakąkolwiek wspólnotą. W latach rządów PiS to oni najgłośniej wołali za Agnieszką Holland, że chcą, „aby było tak jak dawniej".

Przekleństwo awansu

Patologię lat 90. przerwały afera Rywina i wejście Polski do Unii Europejskiej. Zasady się zmieniły, bo do naszego kraju szeroką falą zaczął napływać drapieżny kapitał z Zachodu, poszukujący u nas nowych, dziewiczych rynków zbytu. Fortuny postkomunistów i prymitywne biznesy szybko zostały zmiecione przez międzynarodowe korporacje, które przejęły kontrolę nad dużą częścią polskiej gospodarki.

Wraz z korporacjami pojawił się w Polsce nowy styl pracy i nowa klasa menedżerska. Znacznie bardziej niż dotąd liczyło się wykształcenie, kwalifikacje czy znajomość języków. Pojawiły się też znacznie większe pieniądze, co stworzyło możliwości awansu szerszej grupie Polaków. To wtedy narodziła się u nas klasa „młodych, wykształconych z wielkich miast", nazywana potocznie lemingami.

Jak wielokrotnie pisałem na tych łamach, leming wcale nie jest „wykształcony" ani zwykle nie pochodzi z wielkiego miasta. On jedynie chce za takiego uchodzić. 20 lat temu praca w korporacji często była najlepszą i najszybszą ścieżką awansu dla młodych ludzi, którzy uciekli z rodzinnych stron w poszukiwaniu lepszego życia.

Byli oni faktycznymi ofiarami transformacji z lat 90., która doprowadziła do upadku szeroko rozumianą polską prowincję – wieś, małe miejscowości, ośrodki przemysłowe, pozbawiając ich oraz pokolenie ich rodziców perspektyw na przyszłość. Nigdy jednak nie szukali winy w prawdziwych sprawcach tego stanu rzeczy, lecz – zgodnie z podsuniętą im liberalną interpretacją – postrzegali to jako rzekomo nieuchronny koszt koniecznych przemian. Wyjazd do Warszawy czy innych dużych miast na studia i do pracy miał być – z tego punktu widzenia – wielką szansą na skok naprzód. I dla wielu rzeczywiście był.

W tym sensie proces wysysania prowincji z młodych, ambitnych ludzi rzeczywiście był demokratyczny, bo teoretycznie każdy, kto miał energię, zapał i umiejętności, mógł zrobić karierę. Była to duża różnica w porównaniu z peerelem czy patologicznymi układami lat 90. Jednak nie odbywało się to całkowicie za darmo. Dla ludzi, którzy zdołali wejść w struktury korporacji i zrobić w nich karierę, był to namacalny dowód na to, że oderwanie się od własnych korzeni przynosi wymierne rezultaty. Dlatego przeistaczali się w gorliwych neofitów liberalnego porządku i rywalizowali między sobą o to, kto z nich jest bardziej „oświecony" lub „postępowy". Towarzyszył temu podpatrzony w kolorowych pismach i serialach „elitarny" styl życia – wyjazdy na egzotyczne wakacje, kupowane na kredyt samochody i domy z ogródkiem, większa dbałość o zdrowie oraz wygląd, prywatne szkoły dla dzieci, a w wolnej chwili popijanie wina w modnej knajpie albo oglądanie Netfliksa. Oczywiście wszystko to nie świadczyło o żadnej elitarności, lecz jedynie za taką uchodziło. W tym środowisku elitarność była bowiem utożsamiana z grubym portfelem, a każdy, kto zarabiał mniej, był godny pogardy. Takie wzorce reprodukowały się potem w młodszych rocznikach pracowników korporacji.

> Pokolenie transformacji wciąż trzyma najważniejsze sznurki w Polsce, ale jego pozycja słabnie. I prawdopodobnie zostanie surowo rozliczone z tego, co pozostawi po sobie następnym pokoleniom

Nic zatem dziwnego, że tak ukształtowani ludzie stali się kolejną klientelą liberalnej władzy. Przy wszystkich różnicach przypominali generację o dekadę starszą – byli oderwani od własnych korzeni, brzydzili się każdym, kto w ich mniemaniu stoi niżej w hierarchii i przede wszystkim bronili swojego stanu posiadania.

To bieda peerelu, późniejsza transformacja i ślepa fascynacja Zachodem uformowały ludzi, którzy dziś stanowią najbardziej wpływową grupę w kraju. Ich awans, choć w normalnych warunkach bardzo pożądany, ostatecznie stał się przekleństwem. Nie mając na starcie żadnego kapitału kulturowego, stali się niewolnikami narzuconej im fałszywej wizji rzeczywistości. I podejmowali potem decyzje – choćby przy urnie wyborczej – które doprowadziły Polskę do stanu dzisiejszej destrukcji.

Jeśli czasami ktoś zastanawia się dziś głośno, dlaczego ludzie w Polsce potrafią być tak głupi, ma odpowiedź na to pytanie. Jesteśmy ofiarami gwałtownego awansu mało wyrafinowanych ludzi, którym woda sodowa uderzyła do głowy, bo wmówiono im cynicznie, że są lepsi od innych.

Oblicza dziadostwa

Ta ojkofobiczna mentalność zakompleksionego dziada przejawia się dzisiaj w niemal wszystkich aspektach życia w Polsce. Począwszy od zwijania inwestycji, hamowania aspiracji i pogardy dla tych, którym się nie powiodło (widocznej choćby w kompletnym braku wrażliwości na rosnące koszty życia), kończąc na czołobitnych hołdach składanych naszym zachodnim „patronom". Kraj, którego obywatele i wybrany przez nich rząd nie mają poczucia własnej wartości, zawsze będzie popychadłem innych. I nigdy nie zdoła wybić się na samodzielność.

III RP zaczynała w biedzie. Jednak skok cywilizacyjny ostatnich trzydziestu kilku lat może się okazać krótkotrwałym epizodem, jeżeli nasza przyszłość pozostanie w rękach ludzi oderwanych od wspólnoty i skupionych wyłącznie na własnym interesie. W takim przypadku nasz kraj za 20 lat nadal będzie miał twarz Lisa i Wojewódzkiego. Tyle że obaj będą już po osiemdziesiątce. Lepiej sobie tego nawet nie wyobrażać.



Polacy wracają

Polacy powoli wracają z europejskiej emigracji do kraju. Dlaczego? Bo nad Wisłą żyje się bezpieczniej. I perspektywy rozwoju zawodowego są lepsze. Dla naszych zachodnich sąsiadów to okazja do gorzkiej autorefleksji



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Mit narodził się w maju 2005 r., podczas burzliwej debaty nad projektem dyrektywy europejskiej, zaproponowanej przez byłego komisarza Fritsa Bolksteina, całkowicie eliminującą bariery w przepływie osób, handlu i usług w UE. Inicjatywa holenderskiego polityka spotkała się ze sprzeciwem Francji, a w mniejszym stopniu także Niemiec i Belgii. Francuski europoseł Philippe de Villiers zauważył, że dyrektywa ta pozwoliłaby na inwazję estońskich architektów i polskich hydraulików na francuską gospodarkę. Związki zawodowe z Europy Zachodniej argumentowały, że konkurencja ze strony pracowników, którzy są tańsi i mają mniej zabezpieczeń socjalnych, doprowadzi do erozji państw opiekuńczych w ich krajach. Ówczesny prezydent Francji Jacques Chirac nazwał propozycje Bolkesteina „nie do przyjęcia".

Ostatecznie w 2006 r. przyjęto kompromisową wersję dyrektywy, ale strach przed desantem obywateli nowych państw członkowskich na zachodnioeuropejskie gospodarki pozostał. Rzeczywiście, po wejściu naszego kraju do Unii Polacy masowo wyjeżdżali do krajów Europy Zachodniej – Wielkiej Brytanii, Niemiec, Irlandii czy Holandii. Główny Urząd Statystyczny (GUS) oszacował, że pod koniec 2006 r. poza granicami Polski przebywało czasowo – czyli ponad dwa miesiące – prawie 2 mln Polaków, przy czym ponad 1,6 mln w Europie. Stanowiło to wówczas aż 5,12 proc. wszystkich Polaków i prawie 7,95 proc. tych w wieku produkcyjnym.

Trend spadkowy

Dziś, 20 lat później, możemy obserwować odwrotny proces. Polacy wracają do kraju – może jeszcze nie masowo, ale systematycznie. Polski hydraulik najwyraźniej woli naprawiać krany w ojczyźnie.

Według danych brytyjskiego urzędu statystycznego (NOS) między połową 2024 r. a połową 2025 r. kraj opuściło ok. 25 tys. Polaków, podczas gdy w tym samym okresie przyjechało ok. 7 tys. Według BBC w szczytowym momencie w 2017 r. populacja Polaków w Wielkiej Brytanii przekraczała 1 mln. Polska była wówczas najczęstszym krajem urodzenia wśród migrantów

w Wielkiej Brytanii, a Polacy stanowili najliczniejszą grupę cudzoziemców. Od tamtej pory ich liczba stopniowo spada i obecnie szacuje się, że na Wyspach mieszka już tylko ok. 700 tys. Polaków. Liczba naszych rodaków spadła także w Irlandii, i to o jedną czwartą od 2016 r. – z ponad 122 do 93 tys.

Holandia również dołączyła do rosnącej grupy krajów Europy Zachodniej, które mają ujemne saldo migracji z Polską. Według tamtejszego urzędu statystycznego (CBS) w pierwszych dziewięciu miesiącach 2025 r. kraj opuściło o 490 więcej Polaków, niż do niego przybyło. To kontynuacja spadkowego trendu migracji naszych rodaków do Holandii w ostatnich latach, z 7282 przyjazdów netto w 2022 r., 5642 w 2023 r. i 1706 w 2024 r.

Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) ustalił, że w 2024 r. więcej Polaków wyjechało z Niemiec, Austrii i Szwecji, niż po raz pierwszy się tam osiedliło. Największa różnica między napływem a odpływem Polaków jest widoczna w Niemczech – przyjechało tam 76,3 tys., o niemal 12,1 tys. mniej, niż wyjechało. W sumie w 2024 r. Niemcy opuściło ponad 90 tys. Polaków. Według „Mediendienst Integration" dwie trzecie z nich wróciło do ojczyzny. Pozostali osiedlili się w innym kraju europejskim.

Starczy ledwie na rachunki

Tym, co skłaniło Polaków do emigracji po 2004 r., były oczywiście wyższe pensje na Zachodzie oraz lepszy poziom życia, łącznie z opieką społeczną i medyczną. W Wielkiej Brytanii czy Irlandii zarabiało się wtedy ponad pięć razy więcej niż w Polsce, która była krajem o dużym bezrobociu, ogromnej biurokracji, nieprzychylnych urzędach, ubogiej infrastrukturze. Emigrantami byli ludzie stosunkowo młodzi, dobrze wykształceni oraz często przed założeniem rodziny. Falę wyjazdów przerwał na chwilę kryzys finansowy i gospodarczy w Europie (2008–2010), a po nim przyrost emigracji nie był już tak gwałtowny jak tuż po akcesji.

Dziś o emigracji myśli zdecydowanie mniej osób. Polska stała się 20. największą gospodarką świata, a PKB na mieszkańca wzrósł ponadtrzykrotnie i (według parytetu siły nabywczej) wynosi obecnie 79–80 proc. średniej Unii Europejskiej. Bezrobocie jest niskie, choć obecnie nieco rośnie, koszty życia są niższe niż w Wielkiej Brytanii czy Holandii, gdzie dziś trudno o zakup domu czy mieszkania ze względu na wzrost cen, nie wspominając o Irlandii, gdzie panuje poważny kryzys mieszkaniowy.

> Na stronach publicznego nadawcy MDR możemy przeczytać, że Polacy „już nie podziwiają Niemiec". „Złoty Zachód, ten mit umarł. Jak Niemcy kiedyś mówili o »polnische Wirtschaft«, tak dziś coraz więcej Polaków mówi o Niemczech jako o kraju upadłym, zrujnowanym przez politykę oszczędności i niegospodarność. Jedyne, co w Niemczech wciąż funkcjonuje niezawodnie, to urząd skarbowy"

„[Ludzie] pracują tylko po to, żeby przeżyć i opłacić rachunki" – powiedział w rozmowie z agencją AFP Radek H., który wrócił do Polski po 20 latach w Irlandii. „Nie ma jak robić oszczędności" – dodał. Według George'a Byczynskiego, założyciela społeczności internetowej British Poles, „Polska jest obecnie postrzegana jako bezpieczne i czyste miejsce; to nie jest kraj, do którego ludzie wracają tylko ze względu na sentyment". Inni powołują się na rosnący wskaźnik przestępczości w krajach Zachodu. „Jeśli chodzi o bezpieczeństwo jako kobiety i matki, nie czuję się zagrożona, spacerując po ulicach ani w dużych skupiskach ludzi nigdzie w Polsce, ale w Wielkiej Brytanii czułam to wielokrotnie" – powiedziała w rozmowie z portalem South West Londoner Paula Darby z Gdyni.

Warto wrócić

Wprawdzie nie zostało to powiedziane wprost, ale chodzi oczywiście o pogarszającą się sytuację bezpieczeństwa związaną z masową migracją – coś, czego Polska dotąd uniknęła. W rozmowie z Interią polscy emigranci w Londynie mówili także o ciasnocie, braku kultury i wręcz dramatycznym poziomie inflacji. Brexit także odegrał dużą rolę – osiedlenie się w Wielkiej Brytanii stało się zwyczajnie trudniejsze. Pojawiła się też nadzieja na to, że w Polsce można tym samym nakładem pracy zarobić podobnie jak za granicą, a nawet jeśli trochę mniej, to jednak bez ponoszenia kosztów oddalenia od bliskich. „Przyjechaliśmy po to, by żyło się lepiej, a skoro tak nie jest, to czas wracać" – zaznaczyli.

„Polacy wracają z UK do swej kwitnącej Ojczyzny. Lubię to" – napisał Donald Tusk w grudniu 2025 r. na platformie X. Wcześniej, w październiku, także na platformie X sugerował, że to zasługa rządu: „Wystarczył rok pracy patriotycznego i kompetentnego rządu, żeby po raz pierwszy więcej Polaków wyjechało z Niemiec do Polski niż z Polski do Niemiec. Fajnie, nie?" – zaznaczył. Tyle że – jak wskazał prof. Arkady Rzegocki, ambasador RP w Zjednoczonym Królestwie w latach 2016–2021 w rozmowie z portalem Klubu Jagiellońskiego – działania na rzecz powrotu Polaków do ojczyzny podjął przede wszystkim rząd PiS. „Dobrym przykładem były Targi Pracy w 2019 roku w Londynie zorganizowane przez MRiT oraz polską ambasadę w prestiżowym Queen Elizabeth II Centre, tuż obok Westminster Abbey, a uczestniczyły w nich ponad 30 firm



W Wielkiej Brytanii Polacy narzekają na wysokie koszty utrzymania i brak bezpieczeństwa. Dlatego przenoszą swoje biznesy nad Wisłę. „Przyjechaliśmy po to, żeby żyło się lepiej, a skoro tak nie jest, to czas wracać" – mówią

Fot. Shutterstock

i instytucji publicznych. […]. Z kolei rząd Beaty Szydło wprowadził dodatkowe lekcje w szkołach publicznych dla dzieci powracających z zagranicy. Co zresztą zostało zrealizowane jako postulat Polaków mieszkających w Wielkiej Brytanii i wsparte przez Ambasadę RP" – podkreślił prof. Rzegocki. Według niego „te i inne działania pokazywały Polakom, że polski rynek pracy się zmienił i dziś w jego skład wchodzą nowoczesne firmy – coś takiego przekonuje, że warto do Polski wrócić".

Już nie podziwiają

Tak naprawdę Polacy wracają, bo w Polsce żyje się zwyczajnie lepiej lub łatwiej niż w tych krajach, do których wyemigrowali. Stało się to przyczyną gorzkiej autorefleksji. Brytyjskie media często podkreślają, że żałują wyjazdu Polaków, bo doceniają naszą etykę pracy. „Polacy tłumnie wracają do domów, szukając lepszego życia w swojej kwitnącej, niskopodatkowej ojczyźnie. Czyż może być bardziej druzgocący dowód naszego upadku"? – grzmiał niedawno brytyjski brukowiec „Daily Mail".

W Niemczech żyje obecnie ok. 860 tys. Polaków. Stanowią oni piątą co do wielkości grupę obcokrajowców. Ale – jak zaznaczył Nils Witte, analityk z Federalnego Instytutu Badań nad Ludnością, w rozmowie z telewizją ARD – „kolejni jakoś nie chcą przyjeżdżać".

„Jest to logiczną konsekwencją rozwoju sytuacji w sąsiednim kraju. A rozwój ten jest lepszy pod względem gospodarczym niż w Niemczech" – dodał.

Niemcy stały się mało atrakcyjne, i to nie tylko dla Polaków, bo Rumuni i Bułgarzy także częściej wracają do siebie, niż przyjeżdżają nad Ren. To powód do zmartwień dla niemieckich pracodawców, gdyż Polacy od lat pomagali łagodzić niedobory kadrowe w wielu sektorach, m.in. w pielęgniarstwie, budownictwie i wielu innych. Prowadzono nawet kampanie reklamowe, mające zachęcić naszych rodaków do pracy w Niemczech. „Niemcy, ziemia obiecana? Te czasy już minęły" – zauważa także „Der Spiegel". Wprawdzie dochody Niemców są średnio dwa do trzech razy wyższe niż Polaków, ale koszty życia w Polsce są znacznie niższe – o 28 proc. poniżej średniej UE, podczas gdy w Niemczech są o 9 proc. wyższe niż średnia.

Polscy emigranci wskazywali w rozmowie ze „Der Spiegel" na rosnące koszty podstawowych produktów i utrzymania mieszkania. Jak dodali, czują, że kraj „stoi w miejscu". Jednocześnie ich poczucie bezpieczeństwa maleje – z powodu barierek przed jarmarkami bożonarodzeniowymi i policji pilnującej basenów przed migrantami.

Na stronach publicznego nadawcy MDR możemy zaś przeczytać, że Polacy „już nie podziwiają Niemiec". „Złoty Zachód, ten mit umarł. Jak Niemcy kiedyś mówili o »polnische Wirtschaft«, tak dziś coraz więcej Polaków mówi o Niemczech jako o kraju upadłym, zrujnowanym przez politykę oszczędności i niegospodarność. Jedyne, co w Niemczech wciąż funkcjonuje niezawodnie, to urząd skarbowy" – twierdzi nadawca.

Odwrócony kierunek

Emigracja odbywa się więc coraz częściej w drugą stronę. Zamiast z Polski – do Polski. Dane zebrane przez grupę inwestycyjną 5 Real Estate pokazują, że populacja Brytyjczyków w Polsce wzrosła o 340 proc. w latach 2015–2024 – z 41 do prawie 185 tys. Jak pisze „The Daily Telegraph", jesienią ub.r. brytyjski biznesmen Johnny Mercer ogłosił nabór na stanowisko marketingowe w swojej firmie budowlanej Polstrad z siedzibą w Polsce. „[Jeszcze niedawno] ludzie nie byli zainteresowani przeprowadzką tutaj" – zaznaczył Mercer. Tym razem jednak został zasypany ofertami Brytyjczyków chętnych do pracy. 35 kandydatów, którzy chcą przeprowadzić się na stałe – w tym 1 bez żadnych powiązań z Polską, który ostatecznie dostał pracę. „Polska była kiedyś komunistycznym krajem trzeciego świata. Teraz prześciga Wielką Brytanię" – czytamy.

Na YouTube mnożą się filmiki szczęśliwych unijnych ekspatów żyjących w Polsce i namawiających innych do przeprowadzki nad Wisłę. „Można spacerować nocą po Warszawie i jest się zupełnie bezpiecznym" – zachwalają. Wśród Niemców Polska na razie nie cieszy się zbyt dużą popularnością. Według GUS w 2023 r. zaledwie 3836 Niemców przeprowadziło się nad Wisłę. Masowo czynią to natomiast niemieckie firmy, jak niedawno producent AGD Miele. Koszty energii są niższe, obciążenie biurokratyczne o wiele mniejsze, a fachowcy łatwiej dostępni.

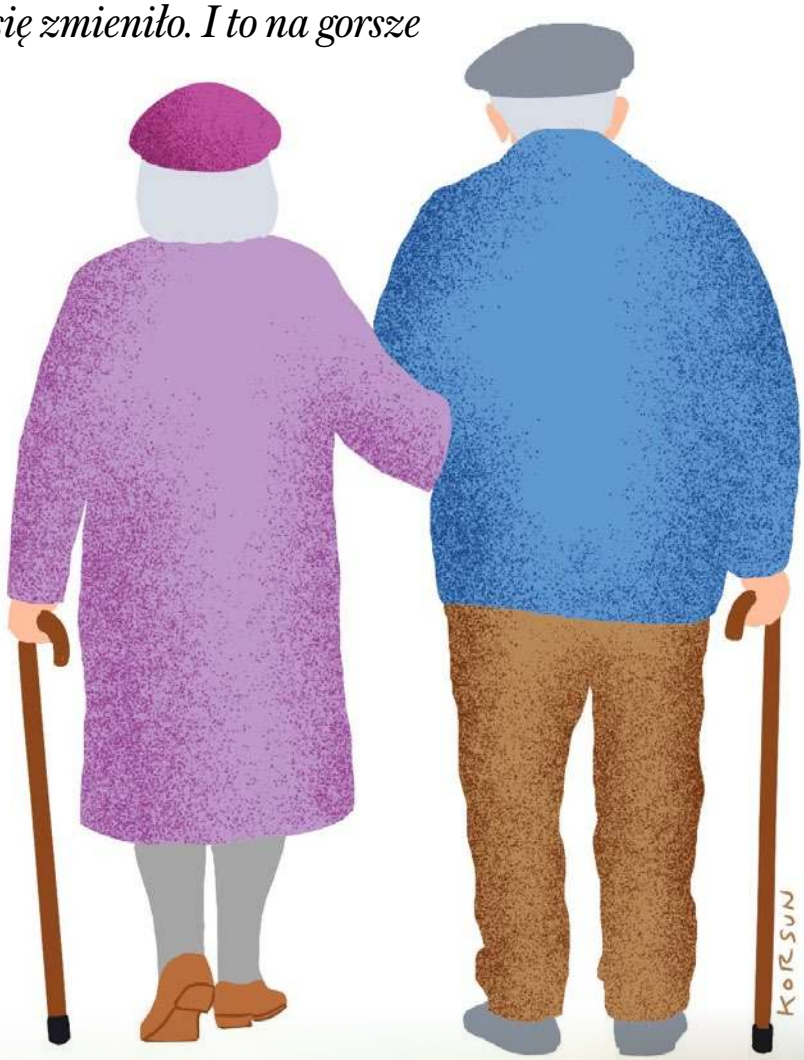
Na takich forach jak Reddit młodzi Szwedzi dyskutują o tym, dlaczego warto przeprowadzić się do Polski: „Znacznie bezpieczniejsze (szczególnie dla kobiet)", „Znacznie tańsze", „Więcej wolności słowa", „Niższe podatki", „Lepszy klimat", „Lepsze perspektywy zawodowe". Nie zmarnujmy tego.

Życzmy sobie zdrowia

Nie ma jednego momentu, w którym można powiedzieć: „To wtedy zaczęło się psuć”. Nie było spektakularnego załamania, dramatycznego komunikatu ani nagłego tąpnięcia wskaźników. A jednak w kwestii zdrowia Polaków coś się zmieniło. I to na gorsze



DOROTA ŁOSIEWICZ



PRZECIĘTNA DŁUGOŚĆ ŻYCIA

Rok 1991: mężczyźni – 65,9 roku, kobiety – 75,1 roku
Rok 2024: mężczyźni – 74,9 roku, kobiety – 82,2 roku

Stan zdrowia Polaków nie jest katastrofą w klasycznym sensie. To coś znacznie trudniejszego do uchwycenia: powolny, rozciągnięty w czasie kryzys, który nie wywołuje paniki, ale systematycznie podkopuje fundamenty funkcjonowania społeczeństwa. Problem polega na tym, że takie kryzysy najłatwiej przeoczyć.

Jeszcze niedawno Polska była przykładem kraju, który skutecznie poprawia zdrowie swojej populacji. Od lat 90. XX w. do czasów tuż przed pandemią COVID-19 przeciętne trwanie życia wydłużyło się o 8,7 roku w przypadku kobiet i o 7 lat w przypadku mężczyzn. Poprawiały się warunki egzystencji, dostęp do opieki medycznej, świadomość zdrowotna. Ten trend jednak wyhamował. Z raportu Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH – Państwowego Instytutu Badawczego „Sytuacja zdrowotna ludności Polski i jej uwarunkowania 2025” wynika, że już w latach 2015–2019 tempo wydłużania życia wyraźnie spadło. A po pandemii COVID-19 oczekiwana długość życia spadła o ok. dwa lata w stosunku do poziomu sprzed pandemii. W latach 2020–2022 odnotowano setki tysięcy tzw. nadmiarowych zgonów, a ich roczna liczba przekraczała 500 tys. – najwięcej od dekad. Z powodu ograniczonego dostępu do diagnostyki i leczenia znaczna część chorób była wykrywana później, często z gorszym rokowaniem. Konsekwencje tamtego okresu nadal są widoczne, m.in. w wyższym odsetku nowotworów rozpoznawanych w III i IV stadium, pogorszeniu kontroli chorób przewlekłych oraz zwiększonej liczbie powikłań sercowo-naczyniowych. Choć po 2022 r. nastąpiło częściowe odbicie, Polska nie wróciła do wcześniejszej trajektorii wzrostowej. Jak podaje GUS

w raporcie z listopada 2025 r., przeciętne trwanie życia w 2024 r. wynosiło blisko 74,9 roku dla mężczyzn oraz ponad 82,2 roku dla kobiet.

Choroby cywilizacyjne

Przez lata przyzwyczailiśmy się traktować długość życia jako główny wskaźnik postępu. Ale coraz wyraźniej widać, że to miara niewystarczająca. Bo co z tego, że żyjemy dłużej, skoro coraz większą część tego życia spędzamy w chorobie?

Z danych raportu Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH wynika, że przeciętny Polak przeżywa znaczną część życia w niepełnym zdrowiu. Choroby przewlekłe stały się dominującym doświadczeniem zdrowotnym naszych rodaków. Szacuje się, że ponad 50 proc. dorosłych deklaruje co najmniej jedną z nich, a w grupie osób powyżej 60. roku życia odsetek ten przekracza 80 proc. Choroby serca, nowotwory, cukrzyca, przewlekłe schorzenia układu oddechowego czy problemy z układem ruchu nie są już wyjątkami, lecz normą.

Globalne analizy obciążenia chorobami pokazują jednoznacznie: zdecydowana większość utraconych lat życia wynika dziś nie z nagłych zdarzeń, lecz z długotrwałego życia z chorobą. To fundamentalna zmiana, która powinna zmodyfikować sposób myślenia o zdrowiu. A jednak wciąż myślimy o nim tak, jakby największym zagrożeniem była nagła śmierć, a nie powolne pogarszanie się jego jakości.

Polska ani nie odbiega od globalnych trendów epidemiologicznych, ani nie wyróżnia się pozytywnie. Mimo postępu medycyny i poprawy leczenia choroby układu krążenia wciąż odpowiadają za ogromną liczbę przedwczesnych śmierci (35–40 proc. wszystkich zgonów). Nadal notujemy wysokie wskaźniki zgonów z powodu zawałów i udarów, wiele przypadków wykrywa się zbyt późno, profilaktyka (np. kontrola ciśnienia czy cholesterolu) jest niewystarczająca.

Nowotwory to druga przyczyna zgonów (25–27 proc.), a ich udział systematycznie rośnie, co wynika m.in. ze starzenia się społeczeństwa. W Polsce każdego roku diagnozuje się ponad 180 tys. nowych przypadków. Jednocześnie wskaźniki przeżywalności są niższe niż w wielu krajach UE. Problem stanowi późne wykrywanie chorób, udział badań przesiewowych pozostaje niewystarczający. To paradoks: medycyna oferuje coraz więcej, ale zbyt późno z tego korzystamy.



JAK SIĘ ODŻYWIAMY

Niemal połowa Polaków – 48 proc. – nie je owoców, a 38 proc. nie spożywa warzyw z zalecaną częstotliwością, czyli dwóch lub więcej porcji dziennie

Cukrzyca dotyczy już ok. 3 mln osób, z czego znacząca część pozostaje niezdiagnozowana lub źle kontrolowana. Warto zwrócić uwagę, że Polska ma wyższą niż średnia UE umieralność przedwczesną (przed 65. rokiem życia) z powodu chorób możliwych do uniknięcia zarówno poprzez profilaktykę, jak i skuteczne leczenie. Można by było zapobiec nawet 30–40 proc. przedwczesnych zgonów.

> Obecnie tylko 19 proc. mężczyzn i 14 proc. kobiet ocenia swój stan zdrowia jako „bardzo dobry", podczas gdy w 2018 r. było to odpowiednio 38,2 proc. i 28,5 proc.

Ale prawdziwa skala problemu ujawnia się dopiero wtedy, gdy spojrzymy szerzej. Według analiz obciążenia chorobami (DALY) największy udział w utraconych latach zdrowego życia mają nie tylko choroby śmiertelne, lecz także przewlekłe dolegliwości: bóle kręgosłupa i choroby układu mięśniowo-szkieletowego, przewlekłe choroby układu oddechowego, zaburzenia metaboliczne. Choroby, które nie zabijają natychmiast, ale towarzyszą przez lata, w ogromnym stopniu wpływają na codzienne funkcjonowanie ludzi. To właśnie one sprawiają, że społeczeństwo staje się mniej wydolne, mniej aktywne, mniej produktywne. I bardziej zmęczone.

Obecnie tylko 19 proc. mężczyzn i 14 proc. kobiet ocenia swój stan zdrowia jako „bardzo dobry", podczas gdy w 2018 r. było to odpowiednio 38,2 proc. i 28,5 proc.

Zdrowie psychiczne

Istnieje obszar, w którym zmiana jest najbardziej widoczna – to zdrowie psychiczne. Jeszcze kilkanaście lat temu temat ten funkcjonował na marginesie debaty publicznej, dziś stanowi jeden z jej centralnych punktów. I słusznie. Depresja, zaburzenia lękowe, wypalenie to zjawiska, które dotykają coraz większej części społeczeństwa. Nie są już wyjątkiem, lecz normą.

Nawet co czwarty dorosły Polak doświadcza w ciągu życia zaburzeń psychicznych, liczba rozpoznań depresji systematycznie rośnie. Szczególnie niepokojące są dane dotyczące dzieci i młodzieży. W tej grupie obserwuje się gwałtowny wzrost problemów psychicznych, w tym prób samobójczych. Pokolenie dorastające w świecie permanentnej niepewności – pandemii, kryzysów, napięć społecznych i cyfrowego przeciążenia – wchodzi w dorosłość z bagażem problemów psychicznych, który może rzutować na całe jego życie. Według raportu NIZP PZH-PIB w Polsce wzrasta liczba pacjentów korzystających z ambulatoryjnej opieki psychiatrycznej. W 2022 r. z takiej formy leczenia skorzystało ponad 1,9 mln osób.

Papierkiem lakmusowym stanu psychicznego Polaków jest liczba samobójstw. W 2022 r. w Polsce umarło z tego powodu więcej ludzi niż w wypadkach drogowych. Jednocześnie w 2024 r. po raz pierwszy od 10 lat liczba samobójstw w naszym kraju spadła poniżej 5 tys. rocznie. W 2024 r. odnotowano 4845 zgonów samobójczych, co stanowi spadek o 7,4 proc. względem roku poprzedniego. W Polsce nadal utrzymuje się jeden z najwyższych w Europie wskaźników dysproporcji płciowej – aż 11 na 13 osób odbierających sobie życie to mężczyźni.

System ochrony zdrowia nie jest przygotowany na ten kryzys. Brakuje specjalistów, dostęp do pomocy jest ograniczony, a czas oczekiwania bywa dramatycznie długi.



Styl życia

Najbardziej paradoksalne jest to, że wiele głównych czynników ryzyka jest nam dobrze znanych. Niezdrowa dieta, brak aktywności fizycznej, używki – to nie są odkrycia, ale nic sobie z tego nie robimy.

Tytoń pali 20–25 proc. dorosłych Polaków. To jeden z głównych czynników ryzyka chorób serca, nowotworów i chorób płuc. Od 2014 r. trend spadkowy liczby osób palących codziennie wyhamowuje. Elektroniczne zamienniki wyrobów tytoniowych stosuje codziennie 19,8 proc. mężczyzn i 12,0 proc. kobiet w wieku 20–39 lat. Wśród osób starszych te odsetki są dużo niższe.

Pijemy na potęgę – 10 l czystego alkoholu na osobę rocznie. Poziom ten należy do najwyższych w Europie. Konsekwencje to nie tylko choroby wątroby, lecz także wypadki, przemoc i problemy psychiczne.

„To jest skandal, że kolejni ministrowie zdrowia, dysponując potężnym narzędziem, jakim jest Krajowe Biuro ds. Przeciwdziałania Uzależnieniom, nie podejmowali decyzji. Zawsze jest tak, że profilaktyka jest wielokrotnie tańsza niż przeciwdziałanie skutkom uzależnień. Polskie państwo ani za tych, ani za poprzednich rządów nie poradziło sobie z alkoholem. Polacy nie piją, tylko chleją" – mówił mi w jednym z wywiadów dr hab. prof. WSKZ Mariusz Z. Jędrzejko z Instytutu Psychologii Wyższej Szkoły Kształcenia Zawodowego we Wrocławiu. „Tymczasem skala uzależnień wpływa na kondycję zdrowotną Polaków. W obszarze uzależnienia, które wymaga robienia czegoś czy przyjmowania czegoś, mamy w Polsce ok. 1,5 mln osób. Jeśli tego nie powstrzymamy, to zapłacimy wszyscy, bo tych ludzi trzeba będzie leczyć z naszych podatków" – dodawał ekspert.

Wyniki dotyczące częstości stosowania substancji psychoaktywnych są niepokojące ze względu na wysoki odsetek młodych osób (20–39 lat), które zażywały narkotyki w ciągu całego życia oraz w ostatnim roku. Dla marihuany – 23,7 proc. mężczyźni i 11,9 proc. kobiety, dla stymulatorów – odpowiednio 10,4 proc. i 6,3 proc., dla narkotyków twardych – 6,1 proc. i 2,5 proc.

AKTYWNOŚĆ FIZYCZNA

58 proc. Polaków w wieku 20 lat lub więcej nie wykonuje rekreacyjnych ćwiczeń fizycznych wymagających umiarkowanego wysiłku, a 27 proc. nie ćwiczy ani nawet nie spaceruje

W Polsce rośnie odsetek osób z nadwagą i otyłością. Obecnie na otyłość choruje ok. 9 mln osób. Problem nadmiernej masy ciała (BMI) dotyczy ponad połowy populacji – 52–56 proc. Polaków. Ok. 700 tys. osób cierpi na najbardziej zaawansowaną formę choroby (otyłość III stopnia, czyli otyłość olbrzymia), co odpowiada populacji dużego miasta, takiego jak Kraków. Nadwaga lub otyłość dotyka blisko 66 proc. mężczyzn oraz ok. 46 proc. kobiet. Niestety eksperci przewidują dalszy wzrost zachorowań.

Według raportów Narodowego Funduszu Zdrowia oraz World Obesity Federation do 2035 r. na otyłość może chorować co drugi dorosły Polak. Szczególnie niepokojący jest trend wśród dzieci i młodzieży. Polska znajduje się w czołówce najszybciej tyjących narodów w Europie.

A przy tym znaczna część społeczeństwa nie spełnia minimalnych norm aktywności. Siedzący tryb życia staje się normą, szczególnie wśród młodszych pokoleń. Z raportu NIZP PZH-PIB wynika, że 58 proc. Polaków w wieku 20 lat lub więcej nie wykonuje rekreacyjnych ćwiczeń fizycznych wymagających umiarkowanego wysiłku, a 27 proc. nie ćwiczy ani nawet nie spaceruje. Częstotliwość podejmowania ćwiczeń fizycznych zmniejsza się z wiekiem od poziomu 54 proc. w wieku 20–39 lat do 26 proc. w wieku 40–59 lat. Częstotliwość ćwiczeń rośnie wraz z poziomem wykształcenia i jest większa wśród osób deklarujących stabilność finansową. Rekomendacje WHO dotyczące aktywności fizycznej zalecanej młodzieży dla prawidłowego rozwoju i zachowania zdrowia wypełnia niewielka część polskich uczniów (między 15 a 25 proc.), przy czym aktywniejsi są chłopcy.

Do tego nasi rodacy nie odżywiają się zbyt zdrowo. Według wyników Narodowego Testu Żywienia Polaków 2025 oraz raportów NIZP PZH-PIB najczęstsze nasze błędy dietetyczne to połączenie niedoborów kluczowych składników z nadmiarem produktów wysoko przetworzonych.

Jemy zbyt mało warzyw i owoców. Niemal połowa Polaków (48 proc.) nie je owoców, a 38 proc. nie spożywa zalecanej ilości warzyw, czyli dwóch lub więcej porcji dziennie. Szacuje się, że nawet 70–80 proc. Polaków spożywa zbyt mało błonnika, a ponad 90 proc. stosuje dietę ubogą w wapń.

W polskiej diecie dominuje mięso (głównie drób i wieprzowina), które często wypiera warzywa. Polacy nadużywają soli (głównie w produktach gotowych) oraz cukrów prostych pochodzących ze słodyczy i słodkich napojów. Popełniamy też znaczące błędy w nawykach i stylu życia. Znaczna część populacji nie dostarcza organizmowi odpowiedniej ilości płynów w ciągu dnia. Częstym błędem jest pomijanie śniadań oraz podjadanie między głównymi posiłkami, co sprzyja nadwadze. Coraz większym problemem jest rosnący udział produktów typu fast food, dań instant oraz żywności z dużą ilością dodatków chemicznych, które zaburzają mechanizmy sytości. Po fast foody (np. pizza, frytki, hamburgery, zapiekanki, kebab) sięga co najmniej raz w tygodniu 39,4 proc. Polaków.

Michał Mularczyk, dietetyk z BezKalorii.pl i kardiolog interwencyjny, wyjaśnił mi kiedyś, że takie odżywianie przekłada się na odporność Polaków. „Paradoksalnie osoby otyłe są często niedożywione, ponieważ niewłaściwie się odżywiają. To się przekłada na deficyty witaminowo-mineralowe oraz białkowo-tłuszczowe, a co za tym idzie, organizm nie wytwarza niektórych komponentów układu odpornościowego, czyli po prostu taki człowiek ma słabszą odporność. Poza tym mało się ruszamy, jesteśmy potwornie wygodniccy, kilka kroków wolimy podjechać samochodem niż się przejść, a to także przekłada się na obniżenie odporności. Taki styl życia powoduje niedożywienie białkowe, tłuszcze przyjmujemy coraz gorsze i to niszczy naszą odporność. Poza tym często jesteśmy odwodnieni, a to oznacza, że mamy zły stan wszelakich błon śluzowych, w tym tych w układzie oddechowym. Te nie są w stanie wydzielić odpowiednich ilości substancji bakterio-, wiruso- czy grzybobójczych. Większe jest prawdopodobieństwo, że zachoruje osoba odwodniona niż ta nawodniona prawidłowo" – wyjaśniał ekspert.

Leczenie zamiast zapobiegania

Jednym z najbardziej trwałych problemów polskiego systemu ochrony zdrowia jest jego reaktywny charakter. System działa wtedy, gdy choroba już się pojawi, często w zaawansowanym stadium. Profilaktyka pozostaje niedofinansowana i niedoceniana. Badania przesiewowe nie obejmują wystarczającej części populacji, a świadomość zdrowotna w wielu grupach społecznych jest ograniczona. Efekt można przewidzieć: choroby są wykrywane późno, leczenie jest droższe, mniej skuteczne i bardziej obciążające dla pacjenta.



OTYŁOŚĆ U DZIECI

Odsetek dzieci z nadwagą i otyłością wzrasta wraz z wiekiem, wynosząc 27,6 proc. wśród 7-latków, 32,5 proc. wśród 8-latków i 34,8 proc. wśród 9-latków

Stanisław Karczewski, wicemarszałek Senatu i chirurg, który na antenie telewizji wPolsce24 współprowadzi program „Strefa zdrowia", powiedział mi, że w swoim programie będzie dużo mówił właśnie o profilaktyce: „Aktywność fizyczna, zdrowe odżywianie, unikanie nałogów to są te elementy dobrostanu, na które my sami mamy wpływ. Wielu chorób można uniknąć mądrym działaniem".

Do problemów z profilaktyką dochodzą problemy strukturalne: kolejki do specjalistów, niedobory kadrowe, nierówności regionalne. W praktyce oznacza to, że dostęp do leczenia nie zawsze zależy od potrzeb zdrowotnych, ale często od miejsca zamieszkania i możliwości finansowych. Choć system ochrony zdrowia w Polsce jest formalnie publiczny, w praktyce coraz większą rolę odgrywają wydatki prywatne. Pacjenci coraz częściej płacą z własnej kieszeni za wizyty, diagnostykę czy leki. Dla części społeczeństwa jest to sposób na ominięcie kolejek, dla innych – bariera nie do pokonania. To prowadzi do pogłębiania nierówności zdrowotnych. Ci, którzy mają środki, mogą szybciej uzyskać pomoc. Ci, którzy ich nie mają, często trafiają do systemu zbyt późno. Zdrowie przestaje być równe dla wszystkich. Osoby o niższym statusie społecznym chorują częściej i żyją krócej. Zdrowie okazuje się więc nie tylko kwestią medycyny, lecz także odbiciem struktury społecznej. A ta w Polsce nadal generuje znaczące nierówności.

Na wszystkie te problemy nakłada się wspomniany już proces starzenia się społeczeństwa. Polska wchodzi w etap, w którym liczba osób starszych rośnie szybko i będzie rosnąć. To oznacza większe zapotrzebowanie na długoterminową i społeczną opiekę zdrowotną, a jednocześnie coraz większą presję na system finansowania. Bez odpowiednich przygotowań system może się stać niewydolny. Skutki odczują zarówno pacjenci, jak i cała gospodarka.

W analizach stanu zdrowia Polaków najbardziej uderzające jest to, że rekomendacje od lat są podobne. Więcej profilaktyki, większe nakłady finansowe, lepsza organizacja systemu, działania na rzecz zdrowia psychicznego, ograniczanie nierówności. To wszystko nie jest wiedzą tajemną. A jednak wdrażanie tych działań postępuje powoli i niesystematycznie. Brakuje długofalowej strategii, konsekwencji i politycznej determinacji. Zdrowie publiczne przegrywa z krótkoterminowymi celami.

Stan zdrowia Polaków w 2025 r. nie jest jeszcze dramatyczny. Ale wszystkie wskaźniki pokazują, że zmierzamy w kierunku, który trudno uznać za optymistyczny. To nie jest kryzys, który wybuchnie nagle. Będzie narastał powoli, ale konsekwentnie. I właśnie dlatego jest tak niebezpieczny. Bo najłatwiej zignorować to, co nie krzyczy. A zdrowie publiczne w Polsce dziś nie krzyczy. Ono raczej ostrzega – cicho, ale coraz wyraźniej.

Pytanie brzmi, czy ktoś w końcu zacznie słuchać.

Wyżej, dalej i wyżej

Swój pierwszy ośmiotysięcznik – Manaslu (8163 m n.p.m.) – zdobyła jako 19-latka, we wrześniu 2024 r. Niespełna dziesięć miesięcy później jako najmłodsza Polka i Europejka weszła na Mount Everest. Ma za sobą też m.in. maraton na Antarktydzie. Od 8 marca jest posiadaczką unikatowej lalki Barbie



Z Zoją Skubis, podróżniczką, himalaistką, influencerką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak na tak młodą osobę masz imponujący bagaż doświadczeń. W tym roku, w Międzynarodowym Dniu Kobiet, odebrałaś niecodzienne potwierdzenie zakresu i rangi swoich działań. Jak zareagowałaś na poświęconą ci lalkę Barbie i tytuł Role Model 2026? Co on oznacza i komu jest przyznawany?

Zoja Skubis: Tytuł – połączony z lalką wzorowaną na konkretnej osobie – oznacza wzór do naśladowania. Chociaż nawet gdy to mówię, uśmiecham się. Oczywiście jest mi bardzo miło, ale nie ukrywam, że przyjmowanie wyróżnień czy komplementów cały czas jest dla mnie... nie chciałabym powiedzieć, że nietypowe, ale... kłopotliwe, bo często miałam problem z docenieniem samej siebie. I mimo że łatwiej jest mi przyjąć docenienie i wyróżnienie od innych, to cały czas muszę się z tym oswajać.

30 maja będziesz obchodzić 21. urodziny. Własna Barbie to bardziej cenne czy miłe domknięcie młodzieńczego etapu życia?

Wydaje mi się, że jestem też najmłodszą kobietą na świecie, która dostała swoją lalkę Barbie, co czyni to wyróżnienie jeszcze bardziej wyjątkowym, a nie sądziłam, że to możliwe.

Czy możesz opisać strój swojej Barbie?

Jest w szczególny sposób wyjątkowy. Początkowo myślałam, czy nie powinna mieć kombinezonu, który bardzo często przewijał się na zdjęciach lub innych materiałach z wyprawy na Everest, ale wybrałam inny strój.

Fot. Petra Rajnicova



Trek (dojście) do bazy pod tą górą zajmuje ok. ośmiu dni. Natomiast wierzchołek Dachu Świata z bazy jest niewidoczny, bo chowa się za innymi szczytami i można go zobaczyć dopiero – czy jeszcze – w trakcie samego podejścia. Strój, który wybrałam dla Barbie, miałam na sobie w dniu, w którym Everest odsłonił się przede mną po raz pierwszy. Kiedy zobaczyłam ogrom masy tej góry. Pierwszy raz w życiu widziałam to na własne oczy. Uderza wtedy człowieka, że nie dość, iż ta góra jest ogromna i piękna, to jeszcze samodzielnie trzeba na nią wejść. Mimo że na zdjęciach trudno uchwycić jej ogrom, to gdy wracam pamięcią do tamtego dnia, powracają emocje, które wtedy odczuwałam. Postanowiłam więc wybrać strój, który miał dla mnie szczególną wartość.

Wejście na Everest, a może też inne twoje dokonania sprawiły, że dostałaś tytuł Role Model?

Na pewno decydującym osiągnięciem było zdobycie Everestu, natomiast jestem też bardzo zadowolona z moich poprzednich wypraw i działań. Wszystko zaczęło się w 2023 r. W styczniu, kiedy po raz pierwszy spróbowałam sił w poważniejszym wyzwaniu sportowym. Chociaż... może nawet jeszcze wcześniej. Dużo wcześniej.

Jako dziecko trenowałam balet i jeździłam na rolkach. W szczególności to ostatnie było dla mnie budujące i dało mi podstawy dyscypliny. To w tym sporcie udało mi się zdobyć mistrzostwo Polski i plasować się w zawodach międzynarodowych nawet na podium. Natomiast pierwsze wyprawy wyczynowe to 2023 r. – półmaraton na kole podbiegunowym (przy -40 st. Celsjusza) i pierwsza wyprawa na pięciotysięcznik w Gruzji – Kazbek. Dwa tygodnie albo nawet tydzień później – bo wróciłam do Polski tylko po to, by się przepakować – leciałam w stronę Ameryki Południowej, na swój pierwszy sześciotysięcznik, na który udało mi się wejść.

Zeszłaś z kolejnej góry i ruszyłaś w podróż dookoła świata na rolkach?

Tak, a rok później 500 km przez USA. Następnie był bieg Drogą Śmierci w Boliwii – pierwsze w historii pokonanie w ten sposób pełnego dystansu. Podróże, dzięki którym mogłam tego dokonać, bardzo otworzyły mnie na świat. Pokazały, że świat stoi przed nami otworem. I wcale nie jest taki groźny. Oczywiście jeśli zachowuje się podstawowe zasady bezpieczeństwa i jest się ostrożnym.

Potem była wyprawa na Manaslu?

Mój pierwszy ośmiotysięcznik. Zdobyłam go jako najmłodsza Europejka. Później był maraton na Antarktydzie. I oczywiście Everest – tu też jestem najmłodszą Europejką. Przyznam szczerze, że ostatnie dwa, trzy lata były bardzo intensywne. Sama jestem w szoku, że udało mi się zrealizować tyle rzeczy. Czasami, gdy w galerii w telefonie przypominane są minione wydarzenia, zastanawiam się, skąd wzięłam siłę na to wszystko.

> Strój, który wybrałam dla Barbie, miałam na sobie w dniu, w którym Everest odsłonił się przede mną po raz pierwszy. Kiedy zobaczyłam ogrom jego masy. Pierwszy raz w życiu widziałam to na własne oczy. Uderza wtedy człowieka, że nie dość, że ta góra jest ogromna i piękna, to jeszcze teraz samodzielnie trzeba na nią wejść

Oryginalne imię – Zoja – w twoim przypadku wydaje się trafione w punkt. Po grecku oznacza „życie", symbolizuje witalność, energię i optymizm. Jest kojarzone z osobami o silnym temperamencie. Jesteś taka od małego czy taka się stałaś?

Wydaje mi się, że zawsze taka byłam, chociaż kiedy myślę o czasach, gdy byłam mała, wiem, że brakowało mi pewności siebie. Mimo że realizowałam się w różnych dziedzinach. Nadal jestem trochę niepewna, ale nauczyłam się to dobrze ukrywać i forsować śmiałość oraz pewność siebie. To jest metoda, bo braku pewności nie da się tak łatwo wyzbyć. Zdaję sobie sprawę z tego, iż przede mną jeszcze długa droga, ale wiem też, że nawet jeśli czegoś się boję, wolę to zrobić w lekkim strachu, niż tego nie zrobić.

Teraz też jesteś w drodze?

Kontynuuję jeden z moich projektów. Każdy nowy obserwujący na Instagramie wydłuża moją podróż o minutę. Zaczęłam parę miesięcy temu. Mam za sobą Amerykę Północną i Południową oraz Europę. Teraz jestem w Azji. Planuję też – bo widzę, że to się fajnie układa – zaliczyć Australię i Oceanię, a potem, już jako osobny projekt, Afrykę. Ale tu już mocno wybiegam w przyszłość. Natomiast jeśli warunki będą sprzyjające, jeszcze w tym roku chciałabym wrócić w góry.

Z tego, co mówisz przy różnych okazjach, góry od początku były blisko ciebie. Za czyją sprawą trafiłaś najpierw w Bieszczady, a potem w Tatry?

Bardzo lubię to pytanie. Kiedy się pojawia, uśmiecham się, bo nie dość, że wychowałam się i mieszkałam jako dziecko blisko

Fot. Archiwum prywatne

Alp – tak naprawdę u ich podnóża – to gdy wróciliśmy do Polski, mieliśmy ważną rodzinną tradycję. Zawsze w czerwcu, tuż po zakończeniu roku szkolnego, przyjeżdżał dziadek z kuzynostwem, pakował mnie do samochodu i jechaliśmy w Bieszczady. Dobrze wspominam te początki wakacji właśnie z powodu tych rodzinnych wypadów. Chociaż przyznam, że jako dziecko nie ciągnęło mnie aż tak w góry. Miałam wtedy rolki. To zupełnie inny sport. Natomiast gdy byłam nastolatką, zaczęłam wyjeżdżać w Tatry. W bursie, czyli internacie dla uczniów, mówiłam, że zwalniam się na weekend do domu, a zabierałam plecak z przypiętym czekanem i jechałam – choćby zimą – w Tatry. Tak to się zaczęło, a potem rozwinęło, kiedy zaczęłam się zastanawiać: „Fajne są te Tatry, ale może by spróbować czegoś wyższego?". I padło na Kazbek. To była moja pierwsza wyprawa po 18. urodzinach.

Co spowodowało, że postanowiłaś pójść jeszcze dalej i wspiąć się jeszcze wyżej?

Wydaje mi się, że jestem bardzo ciekawa świata i otwarta na niego. Wiem, że dużo młodych osób tak mówi, ale u mnie ta ciekawość i dociekliwość przekłada się na kolejne działania. Tak jak w przypadku najnowszej podróży. Jednym z jej etapów był Afganistan – pięć dni w Kabulu, stolicy kraju, i parę dni poza nim, w nieco innym rejonie, trochę bliżej natury. Tu nagrywałam materiały do kolejnego projektu, ale wrócę do tego tematu, jak wszystko będzie gotowe.

Słysząc, że byłam sama w Afganistanie, ktoś pewnie złapie się za głowę i powie, że to nieodpowiedzialne, ale jestem osobą, która z dystansem podchodzi do informacji podawanych w mediach. Lubię pytać miejscowych, jak wygląda sytuacja. Co się tam dzieje. I bardzo często okazuje się – właśnie po takim dociekliwym sprawdzeniu – że świat nie jest wcale tak straszny. Wydaje mi się więc, że to moja ciekawość świata zaczęła mnie prowadzić wyżej i wyżej.

„Ja jestem Zoja". Tak zaczynałaś swoje – świetnie dziś montowane – nagrania na Instagramie i TikToku. W którym momencie ten zwrot stał się twoim znakiem rozpoznawczym, medialną wizytówką? Co dziś dla ciebie znaczy?

Wprowadziłam go przy pierwszej serii – z podróży dookoła świata. Jest to dla mnie o tyle fajne, że o ile styl przekazu nie zmienił się za bardzo przez ostatnie dwa lata, czyli od kiedy zaczęłam tak mówić, o tyle widzę, że przychodzi coraz więcej pomysłów. I świetnie mi się na to patrzy. Ten mój Instagram i filmy – mimo że cały czas prowadzę dzienniki i pamiętniki w fizycznej, klasycznej formie – są jakąś formą pamiętnika. Kiedy je oglądam i widzę, ile rzeczy udało mi się zrealizować, daje mi to poczucie sprawczości, potwierdzenie, że jak chcę, to potrafię.

Z takim przekazem wychodzisz też do odbiorców? Czy to głównie ludzie w twoim wieku, czy zdarzają się też młodsi albo starsi?

Czymś, co lubię w moich odbiorcach, jest różnorodność. To zarówno ludzie bardzo młodzi – 13-, 14-latkowie – jak i osoby w moim wieku, studenci, a także rodzice tych nastolatków. Bardzo często dostaję wiadomości od tych najmłodszych, że świetnie im się ogląda to, co pokazuję, że do czegoś ich motywuję, inspiruję. Otrzymuję też wiadomości od ich rodziców, od osób dużo starszych ode mnie, które z przekazywanych treści są w stanie wyciągnąć coś dla siebie, czegoś się nauczyć. I to jest super. Staram się wychodzić naprzeciw wszystkim, nie klasyfikować odbiorców, bo to tworzy niepotrzebne podziały. Wydaje mi się, że jeśli chodzi o otwartość wobec świata, jego ciekawość czy po prostu odwagę do jego odkrywania, to nie trzeba wprowadzać ograniczeń ze względu na wiek.

> Zdaję sobie sprawę z tego, iż przede mną jeszcze długa droga, ale wiem też, że nawet jeśli się czegoś boję, wolę to zrobić w lekkim strachu, niż tego nie zrobić



Czy Barbie Zoja jest u ciebie, czy trafiła do twojej mamy? I czy mogłybyśmy przypomnieć historię Barbie kupionej dla mamy?

Kiedyś mama mi powiedziała, że jako mała dziewczynka marzyła o Barbie, ale nigdy jej nie dostała. Pewnego dnia poszłam więc do sklepu i kupiłam jej tę lalkę. A Barbie Zoja na razie jest u mnie, bo wciąż jestem w podróży. Nikt w rodzinie jeszcze nie widział jej na żywo.

Ta rozmowa ukaże się w numerze świątecznym. Gdzie spędzisz Wielkanoc? Czy jakaś tradycja związana z tymi świętami jest ci szczególnie bliska?

W Wielkanoc chciałabym się pojawić u rodziny. Cieszę się, bo z tego, co kojarzę, dziadkowie czytają „Sieci", więc mam nadzieję zrobić im niespodziankę tą rozmową. Otworzą świąteczny numer i zobaczą materiał, więc również tą drogą serdecznie ich pozdrawiam. A na rodzinne spotkanie wezmę też ze sobą małą mnie.

Fot. Archiwum prywatne



„Sprawy honorowe”.

Pojedynki w dwudziestoleciu międzywojennym

Mimo że było to niezgodne z prawem, w II Rzeczypospolitej pojedynki pozostawały ważnym elementem życia publicznego. W środowiskach wojskowych, politycznych i inteligenckich traktowano je jako ostateczny sposób obrony honoru. Tradycja ta przetrwała setki lat, choć jej zasady zostały spisane w Polsce dopiero po I wojnie światowej. Wiele z tych starć kończyło się śmiercią

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W kulturze europejskiej od początku jej istnienia ogromną rolę odgrywał honor. Przez wieki przekładał się na reputację, godność osobistą oraz uznanie społeczne. W przypadku jego naruszenia trzeba było reagować zdecydowanie. Uważano, że osoba obrażona

Fot. Pushkin Museum of Fine Arts

nie tylko ma prawo, lecz wręcz powinna domagać się satysfakcji od sprawcy zniewagi. Jeśli przeprosiny nie następowały, decydowano się na pojedynek.

Nie było to jednak zwykłe starcie. Istniały określone zasady, reguły i przebieg pojedynku. Jego celem nie zawsze było zabicie przeciwnika, lecz przede wszystkim udowodnienie odwagi oraz gotowości do obrony własnego honoru. W wielu przypadkach samo stawienie się w miejscu starcia uznawano za wystarczający dowód męstwa.

Sądy boże

Tradycja pojedynków sięga średniowiecza. Wówczas w Europie funkcjonowały tzw. sądy boże, inaczej zwane ordaliami. W tych pojedynkach zwycięstwo jednej ze stron uznawano za dowód na posiadanie racji oraz przejaw Boskiej sprawiedliwości.

W Polsce wraz z wprowadzeniem prawa magdeburskiego dopuszczającego pojedynki jako formę rozstrzygania sporów sądowych praktyka ta zyskała popularność w okresie rozbicia dzielnicowego. Z czasem coraz częściej podważano sens takich rozstrzygnięć, dostrzegając ich oderwanie od rzeczywistej sprawiedliwości. Istotną rolę w zwalczaniu ordaliów odegrał Kościół katolicki. W efekcie praktyka sądów bożych stopniowo zanikła, choć sam zwyczaj pojedynkowania się przetrwał.

Z biegiem czasu pojedynki przekształciły się w formę obrony honoru. Szczególną popularnością cieszyły się w Europie od XVI do XIX w. W Polsce tradycja ta silnie wiązała się z kulturą szlachecką, w której honor zajmował nadrzędne miejsce. Konflikty między szlachcicami często kończyły się wyzwaniem na pojedynek. Dopiero w XIX w., wraz z rozwojem nowoczesnych państw i systemów prawnych, zaczęto ich zakazywać. Mimo to zwyczaj ten utrzymał się w środowiskach wojskowych i inteligenckich. Znamienne, że aż do połowy XIX w. zasady pojedynków honorowych nie były skodyfikowane. Regulowała je przede wszystkim tradycja.

Nielegalne, ale sformalizowane

W II Rzeczypospolitej pojedynki były formalnie zakazane, a udział w nich groził odpowiedzialnością karną. W 1931 r. stanowisko w tej sprawie zajął również Kościół katolicki, uznając pojedynki za grzech ciężki. Pojedynkującym się groziła ekskomunika, a nawet odmowa pogrzebu kościelnego. Mimo to w środowiskach wojskowych i politycznych pojedynki nadal funkcjonowały jako sposób rozstrzygania sporów honorowych. Co więcej, zdarzało się, że przedstawiciele władz nie tylko je tolerowali, lecz wręcz wspierali. Odnotowano przypadek ministra spraw wojskowych, który zwolnił oficera z aresztu, aby umożliwić mu udział w pojedynku.

> Pojedynek miał określone zasady, reguły i przebieg. Jego celem nie zawsze było zabicie przeciwnika, lecz przede wszystkim udowodnienie odwagi oraz gotowości do obrony własnego honoru. W wielu przypadkach samo stawienie się w miejscu starcia uznawano za wystarczający dowód męstwa

Pojedynki bywały nawet zapowiadane w prasie. 12 czerwca 1926 r. wileńskie „Słowo" informowało: „Według zapewnień osób mających bezpośrednią styczność ze sprawą honorową gen. Szeptycki – Skrzyński, pojedynek został postanowiony. Spotkanie zbrojne na ciężkie szable nastąpi jutro w pobliżu Krakowa. Warunki pojedynku obostrzone". Aleksander Skrzyński, były premier i minister spraw zagranicznych, poczuł się znieważony wypowiedziami gen. Stanisława Szeptyckiego, który zarzucał mu współudział w przygotowaniu przewrotu majowego. Starcie zakończyło się bez ofiar.

W Polsce ogromne znaczenie miał kodeks honorowy opracowany przez Władysława Boziewicza w 1919 r. Stanowił on szczegółowy zbiór zasad regulujących rozwiązywanie sporów honorowych. Kodeks określał, kto ma prawo żądać pojedynku, jakie zniewagi uznaje się za poważne oraz jakie obowiązki spoczywają na sekundantach. Jego zapisy stały się podstawą przeprowadzania większości pojedynków w oficerskich i inteligenckich środowiskach II Rzeczypospolitej.

O obrazę było stosunkowo łatwo. Za zniewagę uznawano nie tylko słowa – gesty oraz wypowiedzi pisemne również mogły naruszyć honor lub godność osobistą drugiej osoby. Co istotne, aby kogoś obrazić, nie trzeba było mieć zamiaru uczynienia afrontu. Zniewagi dzielono na kilka kategorii: lekkie (afront), ciężkie (uwłaczające czci) oraz bardzo ciężkie (znieważenie czynne). Najcięższa zniewaga dotyczyła m.in. czci rodziny.

Nie każdy mógł zostać wyzwany na pojedynek. Istniało również prawo odmowy, które przysługiwało m.in. urzędnikom, sędziom, adwokatom, posłom, a także mężczyznom odgrywającym określone role rodzinne. Przykładowo mąż nie miał obowiązku przyjęcia wyzwania od osoby, która dopuściła się romansu z jego żoną, podobnie jak ojciec wyzwany przez odrzuconego kandydata do ręki córki. Obowiązywały również ograniczenia wiekowe (18–60 lat) oraz zakaz pojedynkowania się w obrębie rodziny.

Sekundanci – sędziowie i rozjemcy

Przebieg pojedynku honorowego był ściśle określony i odbywał się według ustalonych zasad. Zwykle rozpoczynało się od wyzwania przekazywanego przez jedną ze stron, najczęściej za pośrednictwem sekundantów. Byli to zaufani reprezentanci uczestników pojedynków i odgrywali kluczową rolę w całej sprawie. Do ich podstawowych obowiązków nale-



Fot. NAC

żało ustalenie, czy rzeczywiście doszło do zniewagi, a następnie podjęcie próby doprowadzenia do pojednania stron. Dopiero gdy mediacja kończyła się niepowodzeniem, sekundanci przystępowali do ustalenia szczegółów starcia: miejsca, czasu, rodzaju broni oraz jego przebiegu. Zasady te zostały precyzyjnie opisane w kodeksie Władysława Boziewicza.

W pojedynkach używano najczęściej pistoletów lub broni białej, przede wszystkim szabli. W starciach na pistolety przeciwnicy stawali naprzeciw siebie w ustalonej odległości i oddawali strzał na sygnał. Pojedynki na szable polegały natomiast na walce do momentu zranienia jednego z uczestników lub przerwania starcia przez sekundantów. Często obowiązywała zasada do pierwszej krwi, co oznaczało zakończenie walki po pierwszym, zwykle niegroźnym zranieniu. Były też pojedynki do drugiej krwi lub do całkowitej niezdolności do walki.

Dzięki temu starcia stosunkowo rzadko kończyły się śmiercią, a ich celem było przede wszystkim symboliczne zadośćuczynienie za zniewagę. Odmowa przyjęcia wyzwania wiązała się natomiast z poważnymi konsekwencjami towarzyskimi. Uchodziła za oznakę braku honoru i mogła skutkować infamią.

Romans, obraza majestatu, zła recenzja

W okresie międzywojennym dochodziło do wielu głośnych pojedynków, szeroko komentowanych w prasie. Uczestniczyli w nich politycy, dziennikarze oraz oficerowie, a przyczyny bywały bardzo różne: od sporów osobistych po konflikty o charakterze publicznym.

Za jeden z najsłynniejszych uchodzi pojedynek z października 1934 r. w Wilnie między Witoldem Hulewiczem, dyrektorem wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia, a Stanisławem Catem-Mackiewiczem, redaktorem naczelnym dziennika „Słowo". Spór narastał przez kilka miesięcy i był związany z ostrą kampanią prasową prowadzoną przeciwko Hulewiczowi, m.in. w sprawie budowy pomnika Adama Mickiewicza oraz publikacji karykatur ośmieszających jego działalność. Bezpośrednim impulsem do pojedynku było pobicie przez Hulewicza autora karykatur dla gazety, Feliksa Dangla. W obronie współpracownika wyzwanie wystosował Mackiewicz. Pojedynek odbył się w stylizowanej na średniowieczną Sali Rycerskiej studenckiego konwentu „Polonia" i trwał niecałe dwie minuty. Obaj uczestnicy odnieśli rany, po czym starcie przerwano, a sekundanci i lekarz udzielili pomocy medycznej Hulewiczowi i Mackiewiczowi. Mimo zakończenia walki konflikt nie wygasł i był kontynuowany na łamach prasy.

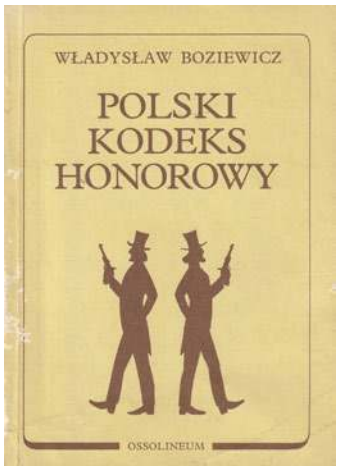
„Obraza drukiem" stanowiła osobny rozdział kodeksu honorowego i jako popełniona z premedytacją należała do dość ciężkich przewinień. Głośnym echem odbił się pojedynek poety i felietonisty Antoniego Słonimskiego (znanego z pacyfistycznych poglądów) z malarzem i działaczem awangardowym Mieczysławem Szczuką. Konflikt zaczął się od ostrej krytyki artystycznej. Szczuka uznał felieton Słonimskiego za zniewagę, odszukał go w warszawskiej kawiarni Ziemiańska, spoliczkował i wywołał bójkę. Wkrótce potem doszło do pojedynku na pistolety. Podczas starcia oddano trzy strzały z odległości ok. 15 kroków – Słonimski ranił przeciwnika w udo, ale rana nie była groźna. Wszystko zakończyło się bez poważniejszych konsekwencji.

Częste były także konflikty między dziennikarzami sympatyzującymi z obozem narodowym a oficerami związanymi z sanacją. Bardzo głośny pojedynek stoczył Bolesław Wieniawa-Długoszowski, adiutant Józefa Piłsudskiego i dowódca 1. Pułku Szwoleżerów, z dziennikarzem Wacławem

Drozdowskim z „Gazety Warszawskiej”. Do starcia doszło 24 kwietnia 1926 r. w Warszawie, na terenie pułkowej ujeżdżalni. Walczono na szable kawaleryjskie. Drozdowski został ranny w okolicę łokcia i nie mógł kontynuować walki, co zakończyło pojedynek. Następnie sprawa trafiła do sądu. Wieniawę skazano na pięć dni aresztu w zawieszeniu. Oficer miał opinię człowieka porywczego i wielokrotnie brał udział w „sprawach honorowych”. Nie tylko sam stawał do pojedynków, lecz także często pełnił funkcję sekundanta, m.in. we wspomnianym starciu Słonimskiego ze Szczuką.

Zasłonięte oczy, 35 kroków

Głośno było również o kolejnym legioniście – Walerym Sławku, jednym z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Podczas debat sejmowych Sławek na każdym kroku bronił racji i honoru Marszałka. W 1928 r. wyzwał na pojedynek socjalistę Mieczysława Niedziałkowskiego, jednak dzięki interwencji innych polityków konflikt załagodzono i do starcia nie doszło. W tym samym roku poseł PPS Zygmunt Marek podczas dyskusji nad budżetem na kolejny rok ostro skrytykował politykę Piłsudskiego. Sławek określił jego wystąpienie jako „bezczelne łajdactwo” i ponownie był gotów stanąć do pojedynku. Marek przejął się sytuacją do tego stopnia, że doznał ataku serca i wkrótce potem zmarł. Opozycyjna prasa grzmiała, że Sławek ponosi moralną odpowiedzialność za jego śmierć.



1928 r. szczególnie obfitował w głośne pojedynki. Już w styczniu prasa donosiła o starciu dwóch oficerów: kolejnego adiutanta Józefa Piłsudskiego, płk. Pociecha, oraz syna senatora Bronisława Krzyżanowskiego. Do pojedynku doszło w obronie czci Marszałka. Przeciwnicy strzelali do siebie z rewolwerów, stojąc w odległości wyciągniętego ramienia i mając zasłonięte oczy aż do wyczerpania amunicji. Obaj odnieśli poważne obrażenia.

W październiku 1928 r. doszło do kolejnego głośnego pojedynku, tym razem między oficerami 1. Pułku Ułanów Krechowieckich: płk. Henrykiem Budkowskim a por. Janem de Rossetem. Przyczyną konfliktu były słowa Budkowskiego, który publicznie potępił Rosseta – byłego oficera Korpusu Ochrony Pogranicza – twierdząc, że osoby, wobec których toczyło się dochodzenie prokuratorskie, a następnie przeszły do policji politycznej, „plamią honor” pułku. Rosset uznał to za zniewagę i zwrócił się do oficerskiego sądu honorowego, który nakazał pojedynek. Ustalono, że walka odbędzie się na pistolety. Podczas starcia w pułkowej ujeżdżalni broń Budkowskiego dwukrotnie odmówiła posłuszeństwa, natomiast strzał Rosseta okazał się śmiertelny. W procesie prokurator zarzucał mu nieustępliwość i domagał się najwyższego wymiaru kary, obrona zaś argumentowała, że działał pod przymusem obrony honoru. Sąd skazał go na rok twierdzy, w drugiej instancji utrzymano wyrok. Rosset nie cieszył się sympatią opinii publicznej, zabił bowiem starszego rangą oficera o nieposzlakowanej reputacji.

Jeszcze przed rozpatrzeniem apelacji doszło do podobnej tragedii. 4 grudnia 1928 r., w tej samej ujeżdżalni, pojedynkowali się dwaj rezerwiści: por. Stanisław Strumpf-Wojtkiewicz – wówczas dziennikarz, a później pisarz – oraz kpt. dr Aleksander Ostoja-Zawadzki, wicedyrektor Powszechnego Banku Kredytowego. Przyczyną konfliktu był osobisty spór, mający związek z dawnymi relacjami Strumpfa z jego przyszłą żoną, kuzynką Zawadzkiego. Kapitan spoliczkował porucznika i wyzwał go na pojedynek. Sekundanci ustalili możliwie najłagodniejsze warunki: dystans 35 kroków oraz pistolety pozbawione muszek. Mimo to Strumpf-Wojtkiewicz trafił przeciwnika w skroń. Zawadzki zmarł w drodze na salę operacyjną Szpitala Ujazdowskiego. Prasa pisała później, że przeczuwał najgorsze, a noc poprzedzającą pojedynek spędził na rozmowie ze swoim adwokatem.

Nawet w czasie II wojny światowej dochodziło do pojedynków między polskimi oficerami, chociaż ze względu na okoliczności były one sporadyczne.

Ostatni pojedynek

Po II wojnie światowej tradycja pojedynków w Polsce praktycznie zanikła. Zmieniły się zarówno normy społeczne, jak i system prawny, a władze komunistyczne nie tolerowały tego rodzaju praktyk. Przemiany kulturowe sprawiły ponadto, że starcia te zaczęto postrzegać jako anachroniczny i brutalny relikt przeszłości. Pojedynki, niegdyś uznawane za dopuszczalny sposób obrony honoru, z upływem czasu utraciły swoje społeczne znaczenie i rację bytu. W rezultacie przestały być elementem życia społecznego, pozostając jedynie częścią historii i kultury dawnych elit, świadectwem mentalności oraz obyczajów.

Za jeden z ostatnich znanych pojedynków uznaje się starcie z 17 lutego 1946 r., do którego doszło w Wielkiej Brytanii. Naprzeciw siebie stanęli cichociemny i były szef sztabu Brygady Świętokrzyskiej NSZ ppłk Leonard Zub-Zdanowicz „Ząb” oraz oficer wojsk spadochronowych rtm. Zygmunt Pohorski. Zub-Zdanowicz, znany z porywczego charakteru, był oskarżany o dezercję z Armii Krajowej do Narodowych Sił Zbrojnych. Gdy Pohorski podważył jego honor, ten wyzwał go na pojedynek na szable do pierwszej krwi. Starcie zakończyło się szybko: bolesne cięcie w policzek wywołało krwawienie i oznaczało koniec pojedynku. Zub-Zdanowicz został trwale oszpecony, co najprawdopodobniej nie spodobało się jego narzeczonej, z którą niebawem miał wziąć ślub.

Czasy pojedynków się skończyły, ale o honor walczyć trzeba nadal. Już nie na pistolety czy szable.

Fot. Materiały prasowe



Zimą we Florencji

Siadłem w ławce naprzeciw sarkofagu Makiawela. Zacząłem wątpić: słuchać mszy przy jego truchle? Przecież jego wpływ na bieg świata polega nie tylko na oderwaniu polityki od chrześcijaństwa. Ale sławny Florentyńczyk poszedł głębiej: zredukował misję polityki do zdobycia, utrzymania i następstwa władzy



JAN ROKITA

Kiedy w lutym przyjechałem do Florencji na dłużej, dzięki ostrej i wietrznej zimie udało mi się tu dobrze zamieszkać za małe pieniądze. Przy Via Tavolini, *vis-à-vis* Orsanmichele (kościoła, który jest tu moją parafią), na drugim piętrze XV-wiecznego palazzo, czyli mniej więcej w pół drogi między dwiema najsławniejszymi budowlami miasta – Signorią a Duomo. W takim miejscu niezwykłe jest pierwsze poranne przebudzenie, zewsząd bowiem krzyżują się tu dźwięki różnorodnie brzmiących dzwonów.

Mój palazzo jest położony w punkcie, w którym stykają się dwie średniowieczne dzielnice, kontrolowane niegdyś przez wrogie sobie rodziny Cerchich i Donatich – historycznych przywódców białych i czarnych gwelfów z XIII i XIV w.

Od zachodu palazzo patrzy na Orsanmichele – tę niezwykłą budowlę, symbolizującą ideową syntezę tego, co w życiu człowieka święte i świeckie, czyli ujmując to w kategoriach krakowskiego rynku – kościół Mariacki i kupieckie Sukiennice w jednym, na dodatek z niezbyt dużym, ale zapewne najdoskonalszym gotyckim ołtarzem Europy dłuta Orcagni.

Z balkonu widzę po drugiej stronie ulicy sławne Tabernacolo della Parte Guelfa Filippa Brunelleschiego, które mieściło niegdyś supernowoczesną w formie, ekspresjonistyczną figurę św. Jerzego dłuta Ghibertiego. Patrząc na to cudeńko architektury, czytam eseik pewnego florenckiego historyka sztuki, który w tej miniaturowej i bezbłędnej konstrukcji upatruje pierwszego „znaku i manifestu" florenckiego renesansu.

Południową ścianą mój palazzo wspiera się natomiast o mały kościół San Carlo, do którego co rusz wstępuję, bo ze względu na jakiś kongres rodzin często odbywają się tutaj msze, a krucyfiks Orcagni z XIII w. nieustannie budzi moje zadziwienie, tak mało bowiem przypomina udręczone figury Jezusa z późnego średniowiecza (choćby Wita Stwosza), a kojarzy mi się raczej z monofizycką chrystologią ciała przebóstwionego, niepodlegającego cierpieniu.

Dobrzy panowie i raj

W kierunku wschodnim Via Tavolini po jakichś 50 m tworzy maleńką piazettę, przy której stoi oratorium San Martino. To zjawisko samo w sobie: od XV w. do dziś pozostaje siedzibą

Fot. Andrzej Skwarczyński

Confraterni di San Martino dei Buonomini. Owi „dobrzy panowie" skrzyknęli się przeszło 500 lat temu, by wspomagać ubogich. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie pewna ciekawa okoliczność polityczna, towarzysząca rządom jedynego przyzwoitego pośród ogólnie zdeprawowanych Medyceuszy – Kosmy Starszego. Stosowna inskrypcja głosi, że konfraternię założono „aby pomóc zamożnym osobom, które popadły w nędzę w wyniku walk politycznych, tak by nie musiały znosić hańby żebrania o środki do życia" (!).

Mądry Kosma nie mordował przeciwników w mieście, ale wykańczał domiarami podatkowymi i pozbawiając środków do życia, a owym zrujnowanym „benestanti" nie godziło się publicznie żebrać. Więc „dobrzy panowie" od św. Marcina udzielali im wsparcia taktownie i z dyskrecją (myślę czasem, czy i u nas nie trzeba będzie stworzyć takiej konfraterni dla polityków, którzy padli ofiarą zemsty lub czystki).

Tym, co imponujące w miastach włoskich tamtego czasu, jest to, że sierocińce, przytułki, szpitale i konfraternie charytatywne budowano i przyozdabiano z takim samym rozmachem jak ratusze i katedry. Niewielki San Martino jest tego dobrym przykładem: freski genialnego Ghirlandaia obrazujące prace konfratrów są doskonałe. Pokazują, jak dyskretnie wręczają pieniądze, roznoszą ubrania, koguty na rosół i bukłaki z winem... Jest tu jeszcze jeden ciekawy drobiazg: oratorium należało do bardzo starego kościoła parafialnego św. Marcina Biskupa, z którego zostały tylko ślady, a o tej parafii wiadomo (z jakichś dokumentów), że u schyłku XIII w. jej proboszcz skarżył się władzom, iż korzenie drzew figowych uprawianych na sąsiedniej posesji państwa Alighierich niszczą mu przykościelny ogródek. I tak się dowiedziałem, że jestem dokładnie tu, gdzie urodził się, spędził młodość i zakochał się Dante. W miejscu, z którego nagle został wygnany, za którym całe życie tęsknił, ale nigdy doń nie powrócił.

Sąsiednia ulica nosi nazwę Corso, ale nie jak główna arteria starego Rzymu od gonitw koni, tylko od imienia przywódcy czarnych gwelfów Corsa Donatiego, butnego patrycjusza, który władzę, zdobytą dla swojego stronnictwa u początku XIV w., z pomocą wyklętego w „Boskiej Komedii" papieża Bonifacego VIII chciał przekształcić w tyranię, skończył więc gwałtowną śmiercią. Przy tej ulicy stoi pobliski Palazzo Portinari, należący niegdyś do priora miejskiego Falca Portinariego, ojca sześciu córek, w tym zmarłej przedwcześnie przesławnej Beatrycze...

Wyjeżdżając z Krakowa i z Bieszczadów, nie wiedziałem, że zamieszkam tutaj, pośrodku scenerii XVI pieśni „Raju", ale – jak zwykle do Toskanii – i tym razem zabrałem ze sobą „Boską Komedię", we współczesnej, bardziej dla mnie klarownej od tłumaczenia Porębskiego wersji poznańskiej poetki Agnieszki Kuciak. We Florencji czytam tylko „Raj":

„Porzucisz wszystko co umiłowała
tam dusza twoja, kiedy byłeś młody;
z łuku wygnania pierwsza to jest strzała.
Poznasz jak gorzkie są proszone miody
i cudzy chleb, jak trudną, stromą drogą
jest wstępowanie na nie swoje schody.
Lecz większych szkód nie doznasz
od nikogo
niż od tych głupich, złych i małych ludzi
[...].
To tępe bydło poznasz po sposobie,
w jaki postąpi; chluba twa niejaka
w tym, że się staniesz sam stronnictwem
sobie".

Owo „tępe bydło" Dantego to oczywiście jego rodacy. Ciekawe, czy patriotyzmem jest takie myślenie o ojczyźnie. Jeśli tak, to i ja mam swoją kochaną Florencję, w której za radą Dantego od lat dbam, by być „sam stronnictwem sobie".



Nagrobek Niccolò Machiavelliego

Fot. Shutterstock

Sarkofag Makiawela

Darmowy tygodnik „Reporter di Firenze", wydawany tu w dzielnicowych odmianach, w mojej dzielnicowej wersji na czołówce wybija sprawę skargi mieszkańców Piazza Santa Croce na tutejszych młodocianych „notte maleducati", którzy krzyczą, piją i stoją – nie wiedzieć po co – nocami na tym placu, zostawiając go każdego ranka w straszliwym brudzie, co oburza mieszkańców. Ciekaw jestem, czy owi mieszkańcy wiedzą, że ów rozległy przykościelny plac już w XV w. był miejscem bójek, pojedynków, wyścigów konnych, a w końcu oficjalnych turniejów urządzanych na koszt Kosmy Starszego, a potem Piotra Medyceusza „Podagryka".

Od mojego palazzo do Santa Croce jest mniej niż 10 minut spacerem przez dzielnicę Dantego, więc w niedzielę poszedłem na mszę do tego przestronnego, choć dziwnie upolitycznionego kościoła, do którego zwykli przychodzić turyści, aby obowiązkowo oglądać ciekawe, choć przereklamowane freski Giotta, oraz nagrobki: Michała Anioła, Dantego, Galileusza, Makiawela.

Był to chyba dzień św. Agaty, a w ogromnej, lodowato zimnej bazylice znajdowało się może 30 osób. Siadłem w ławce naprzeciw sarkofagu Makiawela, na którym wyryto po medycejsku bufoniastą inskrypcję: „Dla tak wielkiego imienia żadna pochwała nie jest wystarczająca". Zacząłem wątpić: słuchać mszy przy truchle Makiawela? Przecież jego wpływ na bieg świata polega nie tylko na oderwaniu polityki od chrześcijaństwa, co nie byłoby wielką sztuką, bo chrześcijańska polityka

to jednak kwadratura koła. Któż bowiem potrafi odpowiedzieć na proste i narzucające się chrześcijaninowi pytanie, jak odnieść sukces polityczny, ufając bliźnim, kochając nieprzyjaciół i nadstawiając im drugi policzek.

Ale sławny Florentyńczyk poszedł dalej: doprowadził do zerwania europejskiej myśli z antycznymi i średniowiecznymi ideałami „dobrego ustroju" i „sprawiedliwego państwa", redukując misję polityki do zdobycia, utrzymania i następstwa władzy. A skoro żaden z tych ideałów nie przydaje się już w polityce, to państwo musi zostać wydane na łup cyników, hochsztaplerów, spryciarzy, a w końcu morderców. Z całą jasnością pojąłem, że nie jestem w stanie ani słuchać mszy, ani modlić się przy truchle Makiawela. I wyszedłem z kościoła.



Nagrobek Zofii z Czartoryskich Zamoyskiej

Polskie ślady

Santa Croce nawet przy okazji mszy skłania człowieka do myślenia o polityce. Ale intensywne stają się tu również reminiscencje ojczystej, polskiej historii. We franciszkańskich krużgankach wpadłem na przedziwny relief ku czci powstania styczniowego. Przedstawia on straszliwą scenę, jak rosyjscy sołdaci zaczynają rozstrzeliwać polskich insurgentów, ci zaś dumnie nie dają sobie wiązać oczu, a niektórzy sami zeszli do przygotowanego dla nich grobu. Postacie powstańców są szlachetne i dumne, wszystko to piękni i młodzi mężczyźni. Ruscy przeciwnie: ohydni i dzicy. Nad całą sceną unosi się jakiś tajemniczy, nagi starzec ze skrzydłami, który ma ponoć uosabiać Czas (Chronos). Kiedy pierwszy raz natrafiłem na ten zadziwiający relief, nie wiedziałem, że upamiętnia on zamordowanego przez Moskali pod Włocławkiem włoskiego pułkownika Stanislao Bechiego, autorem owego grottgerowsko-tragicznego dzieła jest zaś poeta i rzeźbiarz Teofil Lenartowicz, „lirnik mazowiecki", który wiele lat żył i umarł we Florencji.

Ma tu też rzewny nagrobek księżna Zofia z Czartoryskich Zamoyska, siostra księcia Adama – niekoronowanego króla Polski, jak mawiano w czasach zaborów. Dawno temu znalazłem charakterystykę tego ciekawego sarkofagu w książce słynnego niemieckiego podróżnika Ferdinanda Gregoroviusa „Wędrówki po Włoszech". Uśmiałem się wtedy, bo ów XIX-wieczny niemiecki inteligent i wielki znawca Włoch nie był w stanie wybaczyć zmarłej księżnej tego, kogo miała za brata. Napisał więc: „Była to szlachetna Polka, ale siostra owego Adama Czartoryskiego, który podtrzymuje w Paryżu złudę Królestwa Polskiego".

Nagrobek znajduje się w kaplicy za lewym transeptem, niedostępnej dla turystów. Bez nadziei na sukces podszedłem do sędziwego gwardiana, tłumacząc, że jestem Polakiem i chcę się pomodlić przy grobie polskiej księżnej. A ten, pomrukując pod nosem: „Aaa, principessa polacca!", sam zaprowadził mnie do grobu i pozwolił przy nim zostać, jak długo będę chciał.

Pomnik księżnej istotnie jest jednym z ładniejszych w bazylice, dłuta niejakiego Bartoliniego, który wyrzeźbił tam jeszcze inne, pompatyczne i brzydkie nagrobki. Piękna księżna Zofia śpi z ufnym wyrazem twarzy na białym alabastrowym szezlongu, a całość, choć mocno romantyczna, unika cklowości. Polska inskrypcja sławi księżną za „piękne przymioty, rzadkie cnoty, niezmordowaną dobroczynność i rzadką pobożność".

W rogu tej samej kaplicy stoi jeszcze sporych rozmiarów nagrobek żony filozofa Augusta Cieszkowskiego – Zofii z Kickich, zmarłej ok. 20. roku życia w trakcie podróży do Włoch. Ktoś opatrzył jej nagrobek okropnym wierszykiem, złą polszczyzną opowiadającym o tym, jak małe aniołki spuszczają się z nieba po duszę pani Zofii. Pikanterii całej kaplicy dodaje fakt, że obie Polki mają tu potężne nagrobki, a u ich stóp – co zaznacza wytarta i możliwa do przeoczenia tabliczka – spoczywa wielki filozof włoski Giovanni Gentile. Może dlatego tak niezauważalnie, że szczerze nienawidził komunizmu, więc wierny do końca Mussoliniemu został zamordowany we Florencji przez panoszącą się tu u końca II wojny światowej komunistyczną partyzantkę.

Po drugiej stronie transeptu, w kaplicy Castellanich, obok grobów tej arystokratycznej rodziny włoskiej, spoczywa z kolei Michał Kleofas Ogiński, autor poloneza i niestety kompromitująco nieudolny polityk. Prof. Jerzy Łojek zdemaskował go niegdyś jako wysłannika Straży Praw na dwór Świętego Jakuba, gdzie miał przekonać premiera Pitta do wysłania na Bałtyk angielskich okrętów mających uratować Konstytucję 3 maja. Niestety polski poseł tylko organizował w Londynie bankiety, pysznił się i chciał się pokazać. Pomniczek ma solidny i romantyczny: kamienny znicz z płaczącą niewiastą.

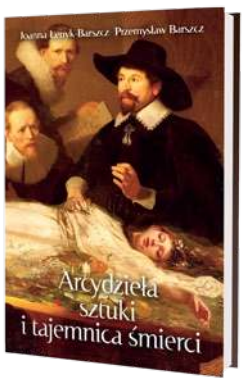
Bazylika Santa Croce była lodowata i pusta, więc głośno zaśpiewałem mu pierwszy temat ze skomponowanego przezeń poloneza. Pogłos wielkiej świątyni poniósł dźwięk polskiego poloneza pomiędzy sarkofagi Dantego, Michała Anioła, Galileusza... Patrzyłem na wznoszącą się ponad nagrobkiem Ogińskiego ścianę świetnych XIV-wiecznych fresków Taddea Gaddiego o życiu św. Jana Chrzciciela i Mikołaja. Mój wzrok przykuł lecący w pośpiechu ponad polskimi sarkofagami św. Mikołaj, któremu śpieszno uczynić cud i uratować chrześcijańskie dziewczątka, właśnie sprzedawane Turkom do jakiegoś haremu.

Fot. The Basilica of Santa Croce in Florence

Ukrzyżowanie wśród chmur kłębiastych

Na tym obrazie Jana van Eycka znalazło się pierwsze w sztuce europejskiej realistyczne przedstawienie chmur. I to od razu ich siedmiu rodzajów. W dziele tkwi jednak coś jeszcze – piszą w swojej najnowszej książce „Arcydzieła sztuki i tajemnica śmierci" Joanna Łenyk-Barszcz i Przemysław Barszcz. To już szósty tom ich bestsellerowej serii, omawiającej ukryte kody w dziełach arcymistrzów malarstwa. Prezentujemy jego fragment

Piętnastowieczny dyptyk znajduje się obecnie w Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Dwa niewielkie skrzydła w przeszłości pełniły być może funkcję dekoracyjną dla prywatnego ołtarzyka lub relikwiarza, możliwe też, że były drzwiami tabernakulum. Nieznane jest do końca ich pierwotne przeznaczenie. [...]



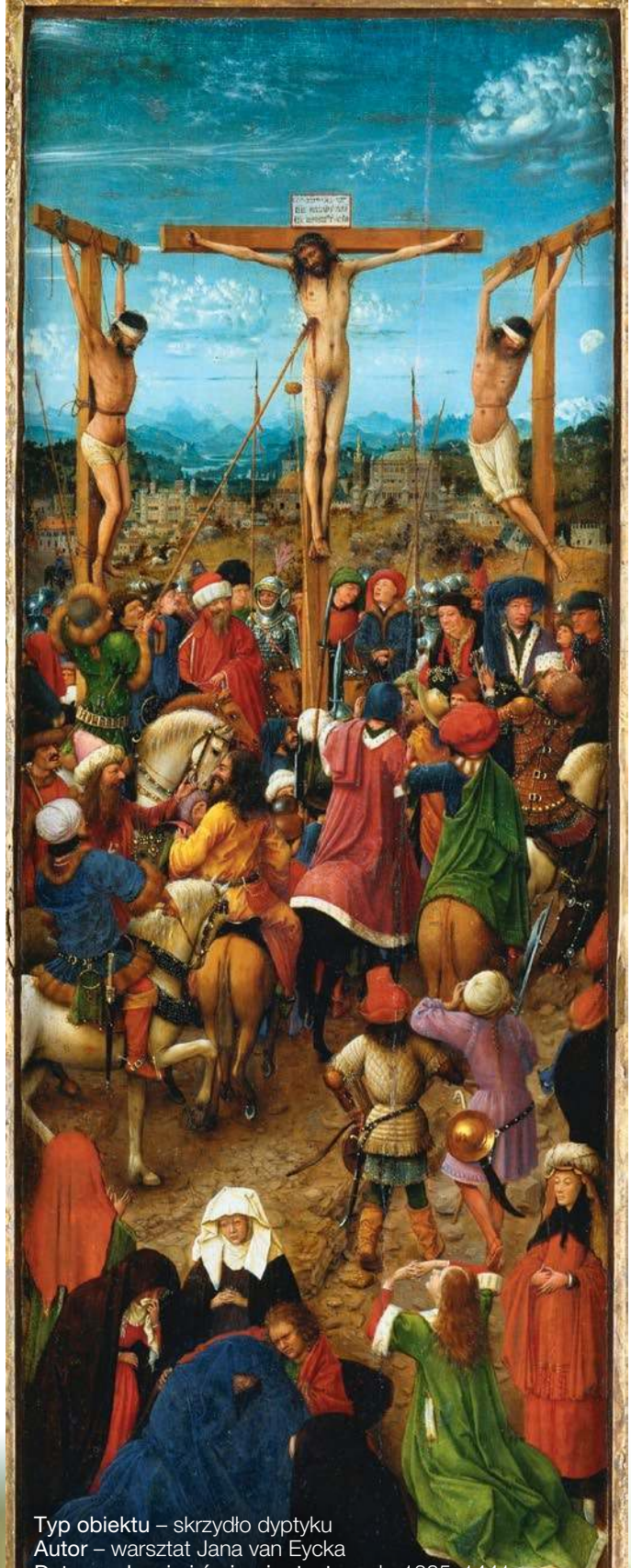
Prawe skrzydło dyptyku przedstawia okrucieństwa potępienia, o sześć dekad wyprzedzając imaginarium Hieronima Boscha, a w górnej partii prezentuje nadzieję zbawionych – rozkosze nieba z wieczną adoracją Chrystusa Tryumfującego. My jednak zajmiemy się lewym skrzydłem przedstawiającym Ukrzyżowanie. Tam bowiem Jan van Eyck porzucił średniowieczny kod symboliczny, aby zadziwiająco dosłownie opowiedzieć o niebie. I nie chodzi o niebo metafizyczne, lecz o realny byt złożony z gazów, o troposferę, którą obecnie badają nauki o atmosferze. Na obrazie znalazło się pierwsze w sztuce europejskiej realistyczne przedstawienie chmur. I to od razu siedmiu ich rodzajów. W dziele tkwi jednak coś jeszcze. Van Eyck w scenie śmierci Chrystusa zakodował wskazówkę dotyczącą swoich szczególnych umiejętności. Tak samo bacznie jak niebo obserwował ziemię. Posiadł niezwykłą znajomość technik topografii, która wraz ze zdolnościami malarskimi uczyniła go utalentowanym kartografem. Dzięki temu na dworze Filipa III Dobrego odgrywał podwójną rolę: był książęcym malarzem, a także szpiegiem. [...]

* * *

Aby van Eyck mógł na drewnianym skrzydle dyptyku wyartykułować swoje odkrycia, musiał dokonać się pewien przewrót. W XV wieku w Niderlandach nastąpił zwrot malarstwa ku naturze. Max Dvořák, historyk sztuki z przełomu XIX i XX wieku, specjalista od twórczości van Eycka, wskazywał, że sztuka ta uwolniła się od tradycji gotyckiego idealizmu. Wprawdzie treść pozostała religijna, jednak forma przybrała kształt realistyczny. Nastąpiło pewnego rodzaju napięcie między idealizmem a naturalizmem. Niderlandzkie skrzydło dyptyku to znakomita ilustracja tej duchowo-cielesnej opozycji. W dualizmie tym zakodowana jest ciekawa cecha tego malarstwa: stanowi ono formę przejściową pomiędzy średniowieczem a renesansem. Tu więc z cech charakterystycznych dla średniowiecza znajdziemy temat sakralny, wciąż niedopracowaną perspektywę, żywe kolory i misterną ozdobność detali niczym z miniatur w manuskryptach. Z kolei nowoczesność przejawia się we wprowadzeniu elementów krajobrazu, ale też naturalnych póz i gestów, ekspresyjnych wyrazów twarzy, w plastyczności i realizmie faktur i materii oraz w pracy nad perspektywą.

Skrzydło z nowojorskiego dyptyku zawiera pejzaż – niebywała sprawa. W średniowieczu zainteresowanie pejzażem było niemal równe zeru. Przełom nastąpił właśnie za sprawą Niderlandczyków, którzy tłem swoich scen czynili elementy środowiska przyrody ożywionej i nieożywionej. Aby oddać sprawiedliwość Włochom, należy w tym kontekście przytoczyć postać Giotta di Bondone (przełom XIII i XIV wieku), który także zauważył świat wokół i zaczął go ilustrować na swoich freskach. I to właśnie krajobraz obecny w scenie Ukrzyżowania skrywa wielki skarb dyptyku: niebywale precyzyjną obserwację dotyczącą chmur, ale też szczególną wiedzę z zakresu topografii i kartografii.

W zasięgu inteligentnego i uważnego, żeby nie powiedzieć genialnego, oglądu van Eycka znalazł się też księżyc! W artykule opublikowanym w „Journal for the History of Astronomy" Scott Montgomery napisał następujące słowa o księżycu z „Ukrzyżowania": „Wnikliwe poszukiwania pośród średniowiecznych i wczesnorenesansowych dzieł sztuki i rysunków astronomicznych nie ujawniły żadnego innego przedstawienia [księżyca], które byłoby takie jak to". Nawet żyjący około pół wieku później Leonardo da Vinci, który księżyc rysował kilka razy, nie



Typ obiektu – skrzydło dyptyku
Autor – warsztat Jana van Eycka
Data urodzenia i śmierci artysty – ok. 1385–1441
Tytuł – „Ukrzyżowanie”
Data powstania – nieznana, prawdopodobnie 1429 r.
Technika – pierwotnie deska, olej, tempera, później warstwa malarska przeniesiona na płótno
Wymiary – 56,5 cm × 19,7 cm
Lokalizacja – Metropolitan Museum, Nowy Jork

Fot. Metropolitan Museum of Art

wzniósł się na taki poziom realizmu i wnikliwej obserwacji jak van Eyck. Ziemskiego satelitę z „Ukrzyżowania” widzimy na dziennym niebie ponad szczytami o alpejskim charakterze. [...] Jest w ostatniej kwadrze. Nachylenie terminatora, czyli linii pomiędzy oświetloną a nieoświetloną stroną księżyca, w stosunku do horyzontu wynosi 35 stopni. Dodatkowo terminator jest „narysowany z widoczną, naturalistyczną nieregularnością” – zauważa Montgomery. Jednak to nie wszystko. Na niderlandzkim malunku dostrzeżemy morza księżycowe: Serenitatis, Imbrium, Fecunditatis, Tranquillitatis i Nectaris [...].

* * *

Jak zaobserwował i zilustrował van Eyck chmury? Na turkusowym niebie, wokół krzyża z konającym Chrystusem i krzyży łotrów, van Eyck namalował kłębiaste Cumulus mediocris – obłoki opisywane przez naukę jako „chmury kłębiaste o umiarkowanej rozciągłości pionowej”. W delikatnej, lecz konsekwentnie zrealizowanej perspektywie atmosferycznej prezentują się nam również kłębiasty deszczowy Cumulonimbus calvus, pierzasty Cirrus uncinus, wstęgowaty Cirrus fibratus, kłaczkowaty Altocumulus floccus i poplątany Cirrus fibratus intortus. Obraz przykuł uwagę meteorologów, którzy orzekli, iż Ukrzyżowaniu towarzyszy przejście chłodnego frontu atmosferycznego pociągające rozpogodzenie się nieba, dodatkowo wieje północno-wschodni wiatr powierzchniowy. Stanley Gedzelman doktor meteorologii na Massachusetts Institute of Technology napisał, że Cirrus uncinus z nowojorskiego dyptyku był paradygmatem w sztuce dla tego gatunku chmur aż do czasu namalowania ich przez angielskiego artystę przełomu XVIII i XIX wieku Johna Constable'a. Dalej tak pisze o tym obłoku: „Poszczególne pasma zbiegają się i opadają pod kątem 2,5 stopnia, ujawniając, że van Eyck był niezwykle przenikliwym obserwatorem”. A więc nikt, oprócz van Eycka, nie namalował Cirrus uncinus aż do końca XVIII wieku. [...]

Wizerunki obłoków, dokładne niczym zdjęcia w atlasie naukowym, są czymś więcej niż próbą budowania wciąż nieogarnionej przez artystów perspektywy. Stanowią wyraz nowych zainteresowań, w krąg których wkroczyła świecka rzeczywistość. Zainteresowania takie, w połączeniu ze zdolnościami malarskimi i wyjątkowym zmysłem obserwacji, dały zaskakujący efekt. Niemiecki historyk sztuki Max Jakob Friedländer stwierdził, że „od niderlandzkiego malarza pejzażysty żądano informacji geograficznych i topograficznych. Ideałem było pokazanie ziemi jako całości, ze wszystkim, co miało być na niej widoczne”. Historyk pisze o pewnym zleceniu, które malarz otrzymał od swojego mecenasa i pracodawcy, księcia Filipa Dobrego. Chodziło o przeniesienie na pergamin lub płótno rzeczywistości geograficznej. Władca potrzebował do swoich militarnych celów dokładnych map.

* * *

Van Eyck, dworzanin księcia, był idealnym wykonawcą takiego zlecenia. Już na „Ukrzyżowaniu” na malutkiej powierzchni stworzył pewnego rodzaju hybrydę. W tle głównej sceny widzimy bowiem pejzaż, który – jak powiedzieliśmy powyżej – był po okresie średniowiecza nowością. Jest to krajobraz z budowlami Jerozolimy, w tym Świątynią, skalistymi i ośnieżonymi łańcuchami górskimi, zalesionymi pagórkami i doliną rzeczną. Widziany

jakby z góry, ze wzgórza Golgota. Takie ujęcie z lotu ptaka oraz drobiazgowość i dbałość o detale miniaturowych elementów topograficznych sprawiają, że pejzaż nabiera cech mapy. Mikroskopijna skala wsparta misternością kompozycji zderza się z rozmachem pejzażu i wielką skalą prezentującą całe krainy ziemskie, chmury i księżyc. Efekt końcowy pracy van Eycka jest bardzo ciekawy – stworzył coś, czego ludzkość od pewnego momentu dziejów bardzo potrzebowała, a co zrealizowało się dopiero w pełni w XXI wieku: zwizualizowanie rzeczywistości geograficznej. W gruncie rzeczy pejzaż niderlandzkiego malarza jest niemal identyczny jak ujęcia na współczesnych ortofotomapach, na przykład z Google Maps. Z tą różnicą, że zdjęcie zastąpione jest misterną ilustracją.

Oczywiście sposobem na zwizualizowanie terenu były po prostu powstające od starożytności mapy. Jednak van Eyck poszedł o krok dalej. Friedländer stwierdził, że „powstało coś, co było w połowie mapą świata, w połowie obrazem krajobrazowym". Wypowiedź naukowca dotyczy tajemniczej mapy świata – mappa mundi. Jest to obiekt obecnie nieistniejący lub nieodnaleziony. O jego powstaniu wiemy z dzieł XV-wiecznego włoskiego historyka i humanisty Bartolomea Fazia. Zachwycony sztuką van Eycka Włoch twierdził, że stworzył on mapę, której „pojmowanie świata jest koliste! A jej forma przewyższa najdoskonalszą pracę, jaką kiedykolwiek stworzono w naszych czasach. Mapę, na której można rozpoznawać nie tylko miejsca i położenie regionów, ale także odległości między miejscami poprzez pomiar". Czyżby van Eyck – pyta współczesny historyk sztuki Antoni Ziemba – wprowadził w nią system współrzędnych geograficznych jak na portolanach? [...]

Książę Filip Dobry w liście do swojego księgowego w 1435 roku pisze tak:

„Bardzo drogi i ukochany, usłyszeliśmy, że nie zgadzasz się z niektórymi naszymi listami przyznającymi dożywotnią rentę naszemu ukochanemu valet de chambre i malarzowi, Janowi van Eyckowi [...]; z tego powodu uzna on za konieczne opuszczenie naszej służby, co byłoby dla nas wielkim niezadowoleniem, gdyż zatrzymalibyśmy go do pewnych wielkich dzieł, do których planujemy go odtąd zatrudniać, a nie znaleźlibyśmy nikogo podobnego do niego, tak znakomitego w sztuce i nauce. Dlatego pragniemy i wyraźnie nakazujemy, abyś zgodnie z tymi życzeniami zaakceptował i zatwierdził nasze listy o dożywotniej rencie i wypłacał tę rentę wspomnianemu Janowi van Eyckowi zgodnie z treścią naszych listów, bez dalszych rozmów ani argumentów z Twojej strony ani bez żadnych pominięć, zmian, modyfikacji czy trudności".

O jakich „wielkich dziełach" pisał książę Burgundii Filip Dobry? Musiało to być coś naprawdę ważnego, skoro omawiana w książęcym liście roczna renta malarza wynosiła konkretną kwotę 360 liwrów 40 solidów. Dla porównania: harfiarz na dworze hrabiego Flandrii mógł liczyć na 40 liwrów rocznej pensji, czyli dziewięć razy mniej; natomiast nauczyciel chóru chłopięcego w 1406 roku zarabiał na burgundzkim dworze 200 liwrów. Szczególna pozycja van Eycka wśród dworzan księcia musiała być efektem omawianych tu zadziwiających talentów. I to ze względu na te właśnie talenty wykorzystywany był jako dyplomata do zadań specjalnych. [...]

* * *

Van Eyck [...] już w latach dwudziestych odbył szereg wypraw zleconych przez księcia. Część z nich jest dobrze udokumentowana, inne zaś miały charakter tajny, których celem prawdopodobnie było zrobienie zwiadu terenowego, rozpoznanie tras przyszłych wypraw wojsk Filipa Dobrego i stworzenie dla nich map. Z tych znanych ekspedycji, popartych rachunkami oraz listami, pierwsza była wyprawa do Portugalii mająca niezwykle burzliwy przebieg. Zaczęła się w październiku 1428 roku, a jej celem było wynegocjowanie małżeństwa księcia z portugalską infantką Izabelą Aviz. Statek zapędzony sztormem dopłynął do angielskiego Sandwich, gdzie delegacja zmuszona była pozostać przez dwa miesiące. Do Lizbony dotarła dopiero 16 grudnia. Na Półwyspie Iberyjskim szalała dżuma. W związku z tym portugalski dwór, uciekając przed zarazą, zmieniał miejsca pobytu. Ostatecznie burgundzkiej delegacji udało się spotkać z kandydatką do ręki księcia na zamku w Avis. Król Portugalii, ojciec Izabeli, Jan I Wielki, po kilku tygodniach namysłu zaakceptował propozycję matrymonialną księcia. Van Eyck spełnił swoją misję i namalował na płótnie dwa – zaginione obecnie – portrety Izabeli, które posłużyć miały do oceny przez księcia wyglądu narzeczonej. W lutym 1429 roku portrety zostały wysłane do Brugii.

> Obraz przykuł uwagę meteorologów, którzy orzekli, iż Ukrzyżowaniu towarzyszy przejście chłodnego frontu atmosferycznego pociągające rozpogodzenie się nieba, dodatkowo wieje północno-wschodni wiatr powierzchniowy

Władcy, poprzez emisariuszy, zaczęli ustalać szczegóły małżeństwa. Delegacja, aby nie tracić czasu, wykonała wtedy szereg zleconych przez Filipa Dobrego działań. Odbyła w jego imieniu pielgrzymkę do położonego w Królestwie Kastylii Santiago de Compostela, a także udała się na dwie audiencje. Posłuchania miały miejsce w najważniejszych punktach Półwyspu Iberyjskiego: pierwsze odbyło się u króla Kastylii Jana II w Valladolid, drugie u emira Muhammada w Grenadzie. Po załatwieniu tych spraw ambasadorowie burgundzkiego księcia znaleźli się znów w Portugalii. Powrót z księżniczką do Niderlandów rozpoczął się 19 października 1429 roku, rok po wyruszeniu ekspedycji z niderlandzkiego portu. Podróż flotylli składającej się z dwudziestu statków, na których płynęło dwustu dworzan Izabeli, trwała ponad dwa miesiące. Była dramatyczna. Szalejące sztormy roztrzaskały kilka okrętów. Księżniczka straciła większość uzbieranego przez ojca posagu. W Boże Narodzenie 1429 roku orszak utrudzonych podróżnych, wśród których był van Eyck, dotarł do portu w zelandzkim Sluis. Naukowcy ustalili, że dyptyk powstał prawdopodobnie podczas tej wyprawy. [...]

Joanna Łenyk-Barszcz, Przemysław Barszcz



Słodka Wielkanoc

Nie mięsa i kiełbasy, ale desery są świadectwem naszej radości. Pokazują, że kończy się zima i świat znów budzi się do życia

Chociaż na co dzień sięgamy po dania z różnych stron świata, nadchodzi ten moment w roku, kiedy stajemy przed dylematem – jakie święta? Tradycyjne, nowoczesne? I nawet najbardziej zagorzali zwolennicy zmian muszą ulec potędze żuru na białej kiełbasie i domowym zakwasie, pieczonego z kilku rodzajów mięs pasztetu, szynki, śledzia z cebulką, jaj w majonezie i sałatki jarzynowej. Po prostu mamy to w genach, a żurek płynie w naszych żyłach przez kilka dni świąt i nic tego nie zmieni. Czasem mam wrażenie, że kiedy tych dań nie będzie na stole, to nie nadejdzie prawdziwa wiosna, a jeśli chociaż nie skosztujemy każdego z nich, to czeka nas bieda i figa z makiem. Tak to mniej więcej działa.

Zaszaleć można – chociaż i tu ostrożnie, bo dziadek z babcią się obrażą – ze słodkościami. Jest mnóstwo wspaniałych serników (w różnych kolorach), mazurków z ciekawymi polewami i dekoracjami, o drożdżowej babie nie wspominając (np. w wersji ekspresowej, w malutkich foremkach). Pistacje, morele, daktyle, ananasy – wszystko to wdziera się na stoły, kusi zapachem, smakiem i kolorami. Świat odradza się po zimie, więc trzeba się radować, ucztować i życzyć sobie jak najlepiej i jak najobficiej.

Polecam kilka słodkich nowinek oraz evergreenów, które pasują na wszystkie okazje. Gdy nadchodzi wiosna, aż chce się człowiekowi przygotować coś pysznego dla rodziny i przyjaciół, a nie zamawiać wszystko w cukierni.

Jest też przepis dla osób, które absolutnie nie mają czasu i talentu do pitraszenia. Drożdżowe ciasto, które robi się właściwie samo, wyrasta w niskiej temperaturze w lodówce, do której wstawiamy je na noc. Pisałam o nim dawno temu, ale przy okazji Wielkanocy nie zaszkodzi przypomnieć, bo to kulinarny hit dla zapracowanych. Nie trzeba go wyrabiać,

Fot. Shutterstock

Zielona pascha



SKŁADNIKI: 1 kg twarogu sernikowego (najlepszy jest trzykrotnie mielony) kostka masła, szklanka cukru pudru, cukier z wanilią, 5 żółtek, skórka z cytryny, skórka z pomarańczy, szklanka migdałów, garść suszonych lub kandyzowanych wiśni albo żurawin, 2–3 łyżki kremu pistacjowego, łyżka posiekanych pistacji, kilka świeżych żurawin.

PRZYGOTOWANIE: Miękkie masło zmiksuj z cukrem pudrem i cukrem waniliowym na puszystą masę. Dodaj posiekane skórki cytrusów. Wciąż ucierając, dodawaj po jednym żółtku. Kiedy masa będzie gładka, dodaj twaróg i krem pistacjowy (100-procentowy, bez żadnych dodatków). Dobrze wszystko zmiksuj. Na koniec wsyp posiekane migdały oraz pokrojone wiśnie i żurawiny. Wlej masę serową na sito wyłożone gazą i ustaw na misce. Przykryj ser brzegami gazy, połóż na wierzchu talerz i dobrze go dociśnij (albo słojem z wodą, albo wyparzonym kamieniem). Wstaw na noc do lodówki, żeby masa serowa dobrze odciekła. Wylej serwatkę z miski, delikatnie zdejmij gazę i wyłóż paschę na talerz. Udekoruj ją posiekanymi orzechami pistacjowymi i czerwonymi kuleczkami żurawiny. Jeśli lubisz, do sera możesz dodać także rodzynki.

Jabłka na francuskim cieście



SKŁADNIKI: 1–2 opakowania ciasta francuskiego, 3–4 kwaśne jabłka, 2 duże łyżki brązowego cukru, 2 łyżki miodu lub syropu daktylowego, garść suszonych owoców: żurawiny, daktyle, rodzynek, pół łyżeczki cynamonu, szczyptę gałki muszkatołowej, łyżkę soku z cytryny lub limonki, masło, roztrzepane jajko.

PRZYGOTOWANIE: Wyszorowane jabłka przekrój na połówki, wydrąż gniazda nasienne, pokrój w plastry i skrop sokiem z cytryny. Ciasto podziel na równe kwadraty. Wyłóż nim wysmarowane masłem foremki albo ułóż na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia, posmaruj roztrzepanym jajkiem. Jabłka obtocz w miodzie z cukrem i przyprawami. Ułóż na cieście. Posyp grubo posiekanymi suszonymi owocami i piecz ok. pół godziny w 180 st. Celsjusza. Kwadraty możesz też nafaszerować jabłkami i zrobić z ciasta koperty.

Kremowy deser z owocami



SKŁADNIKI: małe opakowanie świeżego, tłustego twarogu, ¾ szklanki gęstego jogurtu, 6 łyżek cukru pudru, sok z połowy pomarańczy, 4 łyżki brązowego cukru, pół szklanki śmietanki kremówki, owoce świeże lub w syropie, mogą być brzoskwinie, pomarańcze, mango.

NA BEZĘ: 2 białka, pół szklanki cukru.

PRZYGOTOWANIE: Brązowy cukier wsyp na rozgrzaną patelnię i poczekaj, aż się rozpuści. Dodaj łyżkę soku z pomarańczy i śmietankę, wymieszaj. Wlej do jogurtu, dodaj twaróg, cukier puder i resztę soku. Zmiksuj. Owoce pokrój na kawałki. Nałóż do salaterek warstwę kremu, następnie owoce i znów krem. Ubij na sztywno białka z cukrem i przełóż do rękawa cukierniczego. Wyciśnij małe rozetki na papier do pieczenia i wstaw na 15–20 minut do piekarnika nagrzanego do 180 st. Celsjusza. Ostudź, połóż na deser. Możesz też udekorować krem gotowymi bezikami.

składniki wystarczy odmierzyć, wrzucić do miski i wymieszać. W nocy rośnie w lodówce, a dorasta już w piekarniku. Można je też włożyć do foremki do baby albo podzielić na małe porcje i zrobić urocze babeczki. Pamiętam, że po publikacji tego przepisu dostałam jeden z najpiękniejszych listów od czytelniczki, która od lat bez sukcesów walczyła z drożdżowym. A to jej wyszło, ku radości całej rodziny.

W wariancie podstawowym potrzebujemy 5 jaj, po szklance mleka, oleju i cukru, 5 szklanek mąki i małą kostkę drożdży. Wsypujemy wszystko do miski, rozkruszamy drożdże, mieszamy

Tarta z białą czekoladą

SKŁADNIKI: żółtko, 1,5 szklanki przesianej mąki pszennej, szczypta soli, pół kostki masła pokrojonego na kawałki (i odrobina do wysmarowania formy), 6 łyżek cukru pudru, łyżka bułki tartej, 4 tabliczki białej czekolady, 400 ml śmietanki 36 proc., osuszone ziarenka z połówki granatu.

PRZYGOTOWANIE: Składniki na ciasto energicznie zagnieć. Zrób kulę, owiń ją folią spożywczą i wstaw do lodówki na minimum pół godziny. Piekarnik nagrzej do 180 st. Celsjusza. Formę do tarty wysmaruj masłem i posyp bułką tartą. Na blacie lub na stolnicy rozwałkuj ciasto i wyłóż nim formę. Nakłuj widelcem i wstaw do piekarnika na ok. 30 minut, aż ciasto nabierze złotego koloru. Gdy będzie stygło, zmiel w blenderze czekoladę. Śmietankę przelej do rondelka o grubym dnie i podgrzej, a gdy się zagotuje, zdejmij z ognia i dodaj czekoladę. Dokładnie wymieszaj i odstaw na 15 minut. Następnie przelej masę na upieczony spód ciasta. Posyp pestkami granatu i wstaw do lodówki na noc.

To przepis Darii Ładochy z jej książki „Nowoczesna kuchnia polska" wydawnictwa Pascal. Ciasto wygląda wykwintnie i pięknie. Taka nowoczesna wersja tradycyjnego mazurka.



Mazurki: czekoladowy i pomarańczowy

SKŁADNIKI: 300 g mąki, 200 g tłuszczu (masła), 100 g cukru pudru, 1–2 żółtka, szczypta proszku do pieczenia, odrobina soli, budyń śmietankowy, kostka masła, czubata łyżka dobrego kakao, 2 łyżki płatków migdałowych, plastry pomarańczy, galaretka pomarańczowa.

Najlepsze kruche ciasto to 3-2-1, czyli 300 g mąki (najlepsza jest gruboziarnista krupczatka), 200 g zimnego pokrojonego porządnego masła 82 proc. i 100 g cukru pudru na każdy mazurek.

PRZYGOTOWANIE: Posiekaj składniki z proszkiem do pieczenia i solą na kruszonkę, zagnieć z żółtkami, a potem zrób 2 kule, owiń folią spożywczą i włóż na 2 godziny do lodówki. Im szybciej zagnieciesz, tym bardziej kruche wyjdzie ciasto. Wyjmij, znów szybko rozwałkuj (najlepiej kamiennym wałkiem), wyklej muśnięte masłem blaszki do tarty i ponakłuwaj widelcem, żeby w czasie pieczenia nie powstały pęcherzyki powietrza, które sprawią, że ciasto będzie miało purchle. Piecz ok. pół godziny w 180 st. Celsjusza na złoty kolor. Kiedy upieczone spody przestygną, wyjmij je delikatnie z foremek. Takie kruche ciasto jest także idealnym spodem do szarlotki. Teraz nadzienia. Bazą dla obu jest budyń śmietankowy (zrobiony według przepisu) i utarty z masłem. Do jednego dodaj łyżkę kakao, posiekaną skórkę pomarańczową i płatki migdałów, do drugiego tylko migdały. Ciemny polej czekoladą (polewa wyjdzie dobra, gdy w rozpuszczonej na wolnym ogniu połowie kostki masła utrzesz na ciepło posiekaną czekoladę: tabliczkę gorzkiej i tabliczkę mlecznej) i ozdób orzeszkami, na kremowym ułóż plastry pomarańczy i zalej cienką warstwą galaretki (kiedy będziesz ją robić, weź ciut mniej wody). Wstaw do lodówki.

Możesz także zrobić nadzienie z 2 tabliczek gorzkiej czekolady, laski wanilii i szklanki śmietany kremówki. W rondelku z grubym dnem zagotuj śmietanę z wydrążoną laską wanilii. Zdejmij z ognia, wyjmij wanilię, dodaj połamaną czekoladę i odstaw na kilka minut. Wymieszaj dokładnie, aż powstanie jednolita czekoladowa masa. Wylej ją na wystudzony spód, a gdy stężeje z wierzchu udekoruj migdałami.

Fot. Shutterstock x5

i odstawiamy na noc do lodówki. Rano wylewamy do formy. Jeśli wybraliśmy wariant placka – układamy na wierzchu owoce, posypujemy odrobinę gruboziarnistym cukrem i ok. godziny pieczemy w 170 st. Celsjusza (na początku w 150 st., drożdże jeszcze trochę popracują i będzie pulchniejszy, potem podkręcamy temperaturę).

Tym, którzy mają więcej czasu, proponuję kilka innych słodkich smakołyków. Będzie i zielona pascha, i pomarańczowy mazurek. Wesołego Alleluja!

Anna Monicka



HITY i KITY ZAREMBY



Nie „Lalka” w Dramatycznym

Spektakl Gorana Injaca (dramaturgia) i Mikity Iłynczyka (reżyseria) jest podpisany przez Teatr Dramatyczny jako „Lalka” Bolesława Prusa. Tymczasem został napisany całkiem nowy tekst, z ledwie kilkoma cytatami z powieści. Czy tak się powinno robić?

Przeczuwałem taki obrót zdarzeń, czytając, że Białorusin Iłynczyk wychodzi od historii swojej babci, która znalazła u siebie stare wydanie powieści Prusa. Kobieta była polską szlachcianką i żoną podoficera Armii Czerwonej. Grana przez znakomitą Małgorzatę Niemirską postać opowiada o sobie. Ot, reżyser postanowił się podzielić, bo jego ego jest we współczesnym teatrze najważniejsze.

To ten sam Iłynczyk, który w Teatrze Studio oskarżył Polaków o masowe mordy na naszej wschodniej granicy (spektakl „2249. Witaj Abdo”). Tym razem jest łaskawszy. Niemniej przedstawienie tego spektaklu jako adaptacji „Lalki” to nadużycie. Rozumiem, że etykietka „na motywach” może nie zachęcić tych, którzy są dziś nakręceni modą na adaptacje „Lalki” – w drodze mamy aż dwie wersje filmowe. Łatwiej się podszyć, traktując głośny tytuł jako wabik.

Ze zdumieniem czytam na stronie teatru, że twórcy patrzą na historię Wokulskiego przez pryzmat realiów końca XIX w. Naprawdę? I dlatego Wokulski jest właścicielem Muzeum Sztuki Nowoczesnej, którego w tamtej Warszawie oczywiście nie było? Do którego sprowadza się z Afryki srebrne czaszki do przechowywania ludzkich prochów. A Izabela Łęcka oprowadza po tym muzeum i naucza Wąsowską, Krzeszowską i Stawską o feminizmie. Kilka razy wspomina się XIX w., ale to się nie dzieje w żadnej epoce. Dopiero taka abstrakcyjna rzeczywistość pozwala rzucić ze sceny kilka frazesów: antykapitalistycznych, pacyfistycznych czy feministycznych. Nawet nie bardzo napastliwych. Takich, które mają nas przekonać, że twórcy uczestniczą we współczesnych „dyskursach”.

Iłynczyk z dramaturgiem nawet nie odwrócili – co jest dziś modne – relacji, czyniąc z Izabeli ofiarę, a z Wokulskiego prześladowcę. Raczej zmarginalizowali wątek daremnej miłości. Wokulski jest postacią bezbarwną, recytującą przypadkowe zdania, płaczliwą. To nie wina grającego go Marcina Bosaka, lecz tekstu. Także Izabela pozostaje nieciekawa nie z winy Marty Ojrzyńskiej. Autorów bardziej interesuje mnożenie absurdalnych zawijasów akcji, niepasujących do żadnej rzeczywistości. Łęcki, ojciec Izabeli, jest ofiarą tajemniczej wymiany pieniędzy. Kazimierz Starski to samozwańczy psychoterapeuta. A prof. Geist wynalazł tajemniczą broń i będzie nią obsługiwał Rosjan.

Wątek wszechobecności Rosji (w której epoce?) jest niby eksponowany, ale właściwie podawany neutralnie, bez emocji. Skądinąd żałuję tak wytrawnych aktorów jak Robert Majewski (Łęcki), Mateusz Weber (Geist, wcześniej wspaniale ucharakteryzowany Marszałek) czy Konrad Szymański (Starski, wcześniej jeszcze bardziej zmieniony Książę), że grają w spektaklu, w którym może się zdarzyć na tyle dużo, że przestaje się śledzić „akcję”.

Jest tu jeden ciekawy moment: pokazanie konfliktu baronowej Krzeszowskiej (Katarzyna Herman) i pani Stawskiej (Małgorzata Witkowska) o lalkę przez feministyczne okulary. Sam zawsze odczuwałem zmieszanie antykobiecością Prusa. Tylko czy po to robi się adaptację, żeby rozliczać autora? Nie przepadam za takimi samosądami, a twórcy spektaklu nie mają pomysłu na finał tego wątku. Rozmywają wszystko w nudzie.

Dyrektor Wojciech Faruga wygrał, kiedy progresywne przesłanie osadził w konkretnych realiach w „Aniołach w Warszawie”. Iłynczyk przeniósł opowieść do zimnej, nieokreślonej, więc nudnej próżni. To porażka.

Piotr Zaremba

Fot. Teatr Dramatyczny

„Dobry chłopiec", czyli o wychowywaniu



Jan Komasa, złote dziecko polskiego kina, nakręcił angielsko-polski film „Dobry chłopiec". Jego inną – amerykańską – produkcję „Rocznica" dopiero co interpretowano jako przestrogę przed trumpizmem. Ten film ciężko wpasować w jakąkolwiek ideologię. Jest dziwny, tajemniczy, prowokujący

Podobno jego geneza była niezwykła. Figurujący jako współautor scenariusza amator Bartek Bartosik miał się zgłosić do wielkiego reżysera Jerzego Skolimowskiego ze swoim fabularnym pomysłem. Ten się zachwycił. Ostatecznie występuje w tym projekcie jako producent. Reżyserię przekazał dużo młodszemu koledze.

Komasa, po latach wzbudzania kontrowersji, ale także podziwu (także i we mnie – „Bożym ciałem") w Polsce, przeniósł się na filmowy Zachód. Ogólny zamysł fabuły „Dobrego chłopca" porównuje się do „Mechanicznej pomarańczy", najpierw powieści, a potem filmu Stanleya Kubricka. Chodziło tam o pytanie, czy państwo ma prawo uczynić „dobrym" młodego przestępcę, pozbawiając go wolnej woli, oddziałując farmakologicznym przymusem. W filmie Komasy czegoś podobnego próbuje dokonać pewna angielska rodzina. Finał jest jednak zupełnie inny.

Wypada opisać zawiązek fabuły – to i tak można zobaczyć, choćby w trailerach. Tommy, młody narkoman i degenerat, aspołeczny i prymitywny, niestroniący od fizycznej przemocy (znakomity Anson Boon), zostaje porwany przez Chrisa, mieszkającego z żoną i synem w oddzielonej od świata willi. Tam próbują go „wychować". Prawdopodobieństwo technicznych aspektów więzienia go na łańcuchu może budzić wątpliwości. Podobnie jak inne tajemnice fabuły, których wiele nie zostanie nam zresztą ujawnionych do końca.

Jeśli teraz wdam się w roztrząsanie wymowy, muszę zacząć ujawniać dalszy ciąg. A przecież widz czeka w napięciu, czy chłopak się uwolni i co zrobi po uwolnieniu ze swoimi „ciemiężycielami". Powiem tyle – film zaskakuje. Jego niektóre fragmenty mogłyby uchodzić za pochwałę tradycyjnego, „autorytarnego" wychowania. Inne zdają się podważać ten model, choć bez ostatecznej konkluzji. Ludzie są tu bowiem raz tacy, raz inni. Właśnie pytanie o możliwość odczytania ludzkiej natury to mocna strona tego niedającego się zakwalifikować obrazu.

To niezwykła przypowiastka, zwłaszcza kiedy w kinie dominuje opowiadanie wszystkiego pod społeczne tezy. Na koniec muszę oznajmić, że samo zakończenie jest dla mnie mocno nieczytelne. Ale może chodzi właśnie o to, byśmy pytali, co się tak naprawdę zdarzyło na naszych oczach.



SPOTKANIE Z DUCHAMI LEKKOATLETÓW

„Królowa sportu" według scenariusza Małgorzaty Czerwień w reżyserii Jędrzeja Wieleckiego to spektakl wystawiony niejako na zamówienie. W Toruniu odbywają się zawody lekkoatletyczne, więc od tamtejszego Teatru im. Wilama Horzycy dostajemy opowieść o sławnych lekkoatletach. Zaletą widowiska jest oryginalność tematu. Nikt nas nie poucza ze sceny, prowadzi za to do ciekawych historii

Fot. Ada Sänger/Teatr Horzycy

Dla młodego widza takie postacie jak biegaczka Irena Szewińska czy tyczkarz Władysław Kozakiewicz to już chyba abstrakcja. Dostajemy rozprawkę o sporcie w czasach PRL, choć nawet ze starszymi korzeniami, skoro jako patron tamtego światka pojawia się przedwojenny biegacz Janusz Kusociński, rozstrzelany przez Niemców w Palmirach w 1940 r. (notabene grany sugestywnie przez starszego aktora Niko Niakasa). Kusociński zginął w wieku 32 lat. Tu pojawia się jakby w swoim drugim życiu, opiekując się koleżankami i kolegami z następnych pokoleń.

Początkowo miałem wrażenie pewnego chaosu i przypadkowości dialogów. „Czy na pewno lekkoatleci to najciekawsi bohaterowie sceniczni?" – zdążyłem pomyśleć. Jednak potem zaczęły się z tego wyłaniać ciekawe ludzkie historie. Irena Kirszenstein-Szewińska (Mirosława Sobik) – atakowana za indywidualizm, także z podtekstem rasowym w 1968 r. Ewa Kłobukowska (Zofia Stafiej), biegaczka podejrzewana o to, że ma zbyt wiele męskich genów. Władysław Kozakiewicz (Adam Rosa) – w kłopotach, od kiedy pokazał słynny gest na olimpiadzie w Moskwie w 1980 r. Władysław Komar (Paweł Pabisiak), kulomiot walczący z własnymi pokusami. Wyłania się kawałek dawnej epoki. Zarazem mimo tych wszystkich nader ziemskich uwarunkowań cały czas unosi się nad tym romantyzm sportowych zmagań.

Aktorzy grają to lekko, bardziej demonstrując, niż się wcielając. Śpiewają nawet piosenki i grają też tłumy epizodycznych postaci pojawiających się w życiu naszych gwiazd. Może najbardziej wzruszający wydaje się – wraz ze swoim tragicznym końcem – Bronek Malinowski, zwykły chłopak z Grudziądza, niezrywający ze swoją bazą społeczną. Konrad Żygadło, występujący tu gościnnie – jak większość aktorów – nadał mu ludzkie ciepło, ponad standardy tej ilustracyjnej opowiastki.

3 MIŁOŚCI

Fabryczne ustawienia Kosmosu



ROBERT TEKIELI

Świat bezwstydu. Ślepe społeczeństwa. Ludzie smutni aż do śmierci. 9 marca 2009 r. Teatr w Wiedniu wystawia komedię o Josefie Fritzlu, który przez 24 lata więził i gwałcił swoją córkę. Stylistka-specjalistka do spraw ofiar przygotowuje do występu w programie na żywo molestowaną kobietę. Co robi? Skraca jej spódnicę i robi krzykliwy makijaż.

Synowie buntu, córki próżności wcale nie są winni swych buntów i zagubienia. Robią to, czego nauczyli się w życiu. Walczą o swoje, instynktownie – to najnormalniejsze w świecie. Nikt im nie mówi, co tracą. Zresztą nie chcą słyszeć.

Wielki Post i Wielkanoc. Najważniejsze dni w moim życiu. Do tego pierwsza niedziela po Wielkiej Nocy – Niedziela Miłosierdzia. Przez 35 lat żyłem tak, jakby Boga nie było. Ale przyszedł. Świat bez niego jest światem bez wstydu, bez sensu, bez miłości.

Gdy brakuje ojca, dzieci się rozbiegają. Jeśli nie ma centrum, nie ma się przy kim gromadzić. Tylko miłość, poświęcenie przekonują serca dzieci. Gdy ojciec nie jest sprawiedliwy, gdy nie zabiega najpierw o żonę i dzieci, a dopiero potem o siebie, nic w tym domu nie będzie się układać.

Ojciec może być obecny ciałem, a tak naprawdę może go nie być. Czy patrzysz w oczy swoich dzieci? One widzą i wiedzą. Testują. Zagadują i strzelają wzrokiem. Patrzy? Jest obecny duchem?

Jeśli ojciec zamieszkuje dom jedynie ciałem, jeśli wyemigruje, dom to chaos biologii, dominacyjne tańce, egoizm wilka i synogarlicy. Bo nadopiekuńcza matka też nie wprowadza ładu. Odbiera wolność, nie pozwala dzieciom uczyć się odpowiedzialności. Nieobecność i nadopiekuńczość to dwa oblicza naszej klęski.

UK, przyjechałem do polskiej parafii. Mężczyzna słyszy, że mam szóstkę dzieci, mówi: „Po pierwszym zakładaliśmy z żoną, że będą następne, rok po roku. Potem zawirowania i zrezygnowałem. Jest odchowany syn, a ja mam czas dla siebie".

W wymieraniu Zachodu nie ma żadnej tajemnicy. Po ulicach w słuchawkach biegają syci asceci.

Istnieje też dom, w którym panuje spokój martwoty. Nikomu na niczym nie zależy, wszyscy się wymijają, cisza zabija. Króluje obojętność, nawet nie ma miejsca na nienawiść. Ta sama choroba toczy wszystkich. Brak Boga. Ład jest prezentem od Niego.

Gdy brakuje ojca, dzieci się rozbiegają. Jeśli nie ma centrum, nie ma się przy kim gromadzić. Tylko miłość, poświęcenie przekonują serca dzieci. Gdy ojciec nie jest sprawiedliwy, gdy nie zabiega najpierw o żonę i dzieci, a dopiero potem o siebie, nic w tym domu nie będzie się układać

Ale myśl, że wola Boża wymaga ofiary z naszego szczęścia, stanowi pokusę. Diabelskie kłamstwo, wykrzywienie obrazu Ojca. Najszczęśliwszymi są ludzie, którzy robią to, co kochają. Używają talentów, które Bóg złożył w ich sercu i umyśle. Najszczęśliwszymi ludźmi na świecie są ludzie święci. Święty jest człowiekiem absolutnie wolnym, żyje naprawdę, żyje z wiary. Czy uda się nam na powrót wpisać wiarę w kulturę, ocalić tożsamość i umocnić ją kulturowo?

Polska. Okupują nas słowa czy sąsiedzi? Czy bardziej zagraża nam dominująca ideologia cywilizacji śmierci, czy niemiecki i rosyjski imperializm?

I jeszcze: czy bardziej pogrąża nas wykorzeniona, sprzedajna elita, czy aktywne oddziaływania asymetryczne? Czy groźniejsza jest kulturowa niemiecka soft power, czy rosyjska i chińska dezinformacja? A może po prostu grzech? Bo tak trudno jest go u siebie zobaczyć.

Wielkanoc, czas Z-Martwych-Wstania to centralny punkt dziejów wszechświata. Bo poprzez swoje niewinne cierpienie Jezus znów połączył raj i ziemię. Niebo i to nasze miejsce, gdzie zmagamy się z życiem.

Zostaliśmy stworzeni do niewinności. Żyliśmy bez grzechu, bez śmierci. Wolnej woli użyliśmy jednak przeciwko sobie. Jak syn marnotrawny możemy powtórzyć: „Zgrzeszyłem, ojcze, przeciwko tobie". Przeciwko pełni, ładowi, pokojowi wewnętrznemu, przeciwko szczęściu i radości. Bo te wszystkie dobra zabiera grzech. I przychodzi smutek. Po latach w grzechu: depresja i rozpacz.

Chorzy, złodzieje, grzesznicy, ci, którym doskwiera głód duszy, smutek, brak nadziei, którzy cierpią samotność, którzy do rana przewracają się w łóżku, wstają jeszcze bardziej zmęczeni niż

eprasa.pl e4f04804a5

wtedy, kiedy się kładli. Albo wracający rano, robiący wszystko, aby zagłuszyć wewnętrzne wycie. Neurotransmitery, emocje, uczucia, namiętności, byle się nakręcić i nie pamiętać.

Byłem głuchoniemy, sparaliżowany grzechem, Ojcze, położyłeś rękę na mojej głowie. Ozdrowiałem. Otwórz mi, Panie, serce, abym uważnie słuchał słów Twojego Syna.

Bo Jezus przywrócił ustawienia fabryczne Kosmosu. Swą męką, śmiercią i zmartwychwstaniem. Przywrócił pierwotną naturę rzeczy.

To kosmiczne wydarzenie może się powtórzyć w twoim życiu. Jeśli cierpisz, jeśli jesteś samotny, jeśli niedomagasz, poproś o pomoc. Na pewno zostaniesz wysłuchany.

Czym jest wiara? Uwierzyć może tylko ten, kto sam zdecyduje się na spotkanie. Na nic tradycja, wychowywanie się w pobożnej rodzinie. Ilu ludzi chodzi do kościoła co niedziela, a nie ma relacji z Chrystusem! Jeśli miłość nas nie przemienia, marnujemy łaskę.

Po pomoc do Jezusa przyszła chora od 17 lat na krwotok kobieta. Została uzdrowiona, gdy dotknęła skraju jego płaszcza. Jezus poczuł upływ mocy. Odwrócił się i zapytał: „Kto mnie dotknął?". Uczniowie popatrzyli na tłum, który tłoczył się wokół. Kto dotknął? Wszyscy. Ale On kierował to pytanie do uzdrowionej kobiety. Nie zamierzał jej zawstydzić. Chciał, by ta, która potrzebowała daru, otworzyła się na darczyńcę. Bo prosić warto tego, komu się ufa. I dopiero gdy kobieta ufnie spojrzała w oczy Jezusa, narodziła się w niej pełna wiara. Bo przemienia prawdziwe spotkanie. Potrzebna jest prośba wypowiedziana otwarcie, twarzą w twarz, bo tylko ona otwiera tego, który prosi, na tego, który chce obdarować.

Wiarę rodzi też niezachwiane przekonanie, że Jezus zmartwychwstał. Bo właśnie jego zmartwychwstanie jest znakiem, że Mesjasz pełnił wolę Ojca.

Po zmartwychwstaniu Jezus ukazywał się swoim uczniom. Maria Magdalena, która kochała Nauczyciela każdym atomem swego ciała, w niedzielny świt pobiegła jako pierwsza, gdy tylko pierwszy foton światła wbił się w czerń Wielkiej Soboty. I spotkała umiłowanego. Lecz jej umysł kazał zobaczyć w nim ogrodnika. To, że Jezus jest Bogiem, równym Ojcu, dla monoteistki było nie do pojęcia.

Wcześniej słuchała słów Nauczyciela, że zostanie zabity i zmartwychwstanie i nic nie przyjmowała. Jak oni wszyscy. Jej umysł narzucił więc najbardziej prawdopodobną opcję: ktoś, kogo spotyka o tak wczesnej porze w ogrodzie, musi być ogrodnikiem. Dopiero gdy Jezus wypowiada jej imię, blokada pęka, umysł wyrywa się z uwięzi. Tyle razy słyszała z Jego ust swoje imię przepełnione miłością tak wielką, że wszystko w niej się rozpływało. I teraz wiara wybuchła: „Rabbuni!".

Tak samo uczniowie uchodzący do Emaus. Szli, rozmawiali z Jezusem i nie poznali go. Bo wiedzieli, że nie żyje. Ich serca pałały, bo spotkały umiłowanego, ale ich umysły były na uwięzi. Poznali Go dopiero po geście łamania chleba. Nikt nigdy nie robił tego w ten sposób. I tak narodziła się ich wiara. Poznali Jezusa wbrew iluzji rozumu, który odmawiał rozpoznania żywego, gdy widzieli Go martwym.

Nawracajcie się przez odnowienie umysłu! Trzeba przyjąć to, co jest, zaakceptować swoje życie, by Bóg mógł cię przemienić. Bunt zamyka.

Idąc na śmierć, Jezus chciał nas uchronić przed potwornym, zdecydował się więc na najstraszniejsze. Cierpienia w piekle są niewyobrażalne. Wiemy o tym, bo aby nas przed nim uchronić, Jezus zdecydował się przyjąć skrajne tortury i bestialską śmierć. Aby zostać jak najowocniejszą ofiarą, pozwolił się wyniszczyć. Ogołocić ze wszystkiego. Pękło mu serce.

Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa z Nazaretu jest wydarzeniem historycznym, bo ma niezaprzeczalne historyczne konsekwencje. Kilkudziesięciu niepiśmiennych rybaków nie zmieniłoby świata, gdyby nie byli wsparci mocą z góry.

Przez Zmartwychwstanie sam Bóg objawił Jezusa światu jako Pana i Mesjasza. Rany są znakiem jego tożsamości. Pokazał je Tomaszowi, by ten Go poznał, przyjął.

Zmartwychwstanie Chrystusa jest zapowiedzią zmartwychwstania każdego z nas. W Jezusie rozpoczęły się czasy ostateczne, a oznaczają one odnowienie całej rzeczywistości i pogodzenie wszystkich ludzi z Bogiem. Powrót raju.

Jeśli żałujesz, że obraziłeś Boga, On zapomina o wszystkich twoich grzechach. Bóg wchodzi z uzdrowieniem w każdą słabość, którą zauważysz i nazwiesz. Bądź w łasce, módl się, wszystko się rozwiąże. Powiedz: „Jezu, obieram Cię na swojego Pana i Zbawiciela".

Uwierzyć może tylko ten, kto sam zdecyduje się na spotkanie.

Przepraszam Cię, Boże, za moje lenistwo, za skrajny egoizm, za agresję, warczenie i pychę. Za to, że pozwalałem sobie na rozpacz, za nieobecność w życiu moich dzieci. Za emigrację wewnętrzną, za szukanie tego, co już wcześniej znalazłem.



Fot. Piero della Francesca/Museo Civico di Sansepolcro

Niech Cię, Jezu, dotknę, ulecz serce pokaleczone, niech mój dom wypełni twoje światło, twoje ciepło i twój pokój. Dałeś mi rodzinę, zatroszcz się mną o nią. Ja potrafię tylko uciekać od wysiłku. Niech Twa miłość przepali tę skorupę z grzechu. Uratuj, co jest do uratowania. Proszę.

Leczysz wszelkie choroby. Wszystko potrafisz czynić nowe. Zrób to. Chcesz tego. Jestem zbyt mały, bym mógł być przeszkodą. Wszyscy, którzy dotknęli frędzli Jezusowego płaszcza, odzyskali zdrowie. Niech się stanie.

eprasa.pl e4f04804a5

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Socjopata Tusk



www.wojciechreszczynski.pl

Patriotyczna część naszego społeczeństwa odebrała ostatni wybryk słowny premiera Donalda Tuska ze słusznym oburzeniem. Szef rządu przerobił słowa Romana Dmowskiego zawarte w jego programowej książce „Myśli nowoczesnego Polaka": „Jestem Polakiem, więc mam obowiązki polskie" i skierował do prezydenta Karola Nawrockiego w wersji: „prezydent ma polskie obowiązki, a nie rosyjskie". Prezydenta, który chciał nas uchronić od niemieckiej pożyczki SAFE, prowadzącej kraj do utraty suwerenności, proponując nieoprocentowaną pożyczkę dzięki zasobom NBP i który domaga się od Niemiec wypłacenia Polsce reparacji.

Tusk, największy szkodnik polityczny od co najmniej 1989 r., socjopata, cynik i notoryczny kłamca, przypomina głowie państwa, czym jest patriotyzm, odpowiedzialność za ojczyznę i interes narodowy, bo to miał na myśli Dmowski. I te nikczemne uwagi czyni prezydentowi, który swoją kampanię wyborczą i całą prezydenturę zawiera w haśle: „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy". Trudno o większą hipokryzję i bezczelność. Ale liczący ponad 30 proc. elektorat Tuska przełknie to bez problemu, jak całe zło ze strony człowieka, który jak tylko dojdzie do władzy, systematycznie niszczy nasz kraj. Elektoratowi Tuska obojętne są oczywiste fakty: znieważanie Polski i osłabianie jej znaczenia w Europie oraz polityka podległości zarówno w stosunku do Moskwy jak i Berlina.

Lista hańby Tuska to forsowana z tak wielką siłą umowa gazowa z Rosją na ponad ćwierćwiecze, że aż wymusiła interwencję UE. Jego hojność wobec Moskwy to miliardowa darowizna dla Gazpromu za tranzyt gazu na Zachód, rezygnacja z zysków za ten sam tranzyt przez Polskę, oddanie Rosjanom władzy w spółce zarządzającej gazociągiem Jamalskim. A potem, już jako szefa Rady Europejskiej, wspólne z innymi europejskimi przywódcami lobbowanie na rzecz rosyjsko-niemieckich dwóch nitek gazowych Nord Stream. O tym pamiętają tylko ci, którzy zawsze poważnie traktowali interes Polski, ci, którzy wiedzą, jak haniebną rolę odegrał Tusk w sprawie tragedii smoleńskiej. Oddał śledztwo Rosjanom i do dziś oficjalna wersja mówi o katastrofie z winy polskich pilotów. Elektorat Tuska nie chce pamiętać o opóźnianiu przez niego budowy gazoportu w Świnoujściu, torpedowaniu idei budowy Baltic Pipe oraz amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Redzikowie. Nie chce wiedzieć o podpisanej przez niego umowie o skierowanej przeciwko NATO współpracy między SKW a FSB oraz o planach obrony naszego kraju podczas ewentualnej agresji Rosji na Sojusz na linii Wisły. Byłby to kolejny w naszej historii rozbiór Polski przez Rosję i niemiecką UE.

Tusk od dwóch lat likwiduje państwo polskie, poczynając od niszczenia podstaw demokracji, a kończąc na wyprzedaży za bezcen państwowych firm, jak choćby Cargo czy ostatnio Grupy Azoty Police. W czasie jego pierwszych rządów tę oczywistą kradzież polskiego mienia nazywano – tak jak dziś – restrukturyzacją.

Agresja Tuska wobec prezydenta Nawrockiego ma cechy wręcz psychopatyczne. Premier nie może się pogodzić z tym, że w badaniach opinii publicznej (badanie CBOS z marca 2026 r.) głowa państwa zdobywa zaufanie ponad połowy Polaków, a on tylko 38 proc., co pokrywa się z jego twardym elektoratem, obojętnym na sprawy publiczne, zainteresowanym – jak Tusk – jedynie własnymi korzyściami, jak np. beneficjenci KPO. To elektorat, który dosadnie scharakteryzował prof. Andrzej Nowak: „Tusk zawarł sojusz z chamstwem, z pospolitą hołotą, która nic nie chce wiedzieć o tradycji polskiej, europejskiej, historii, kulturze".

Ostatnią wizytę prezydenta na Węgrzech Tusk skomentował słowami: „To pierwszy efekt wizyty prezydenta Karola Nawrockiego w Budapeszcie. Premier Orbán odciął Ukrainę od dostaw gazu. Putin się cieszy". Oczywiście elektorat premiera nie wie, że wcześniej Ukraina wstrzymała przepływ ropy naftowej z gazociągu Przyjaźń na Węgry i nie zrozumie, że w odróżnieniu od rządu Tuska Budapeszt prowadzi własną, samodzielną politykę zagraniczną.

Nazwałem Tuska socjopatą. Według psychologów to człowiek, który mówi: „Zrobię, co zechcę i kiedy zechcę". Normy prawne i społeczne oraz inni ludzie nie mają dla niego większego znaczenia. Cechuje go egoizm, brak wyrzutów sumienia i wstydu, manipulowanie innymi poprzez kłamstwa, działanie na pokaz. Socjopaci są najczęściej mściwi, złośliwi, pozbawieni skrupułów, żądni władzy oraz popadają w konflikt z prawem. Przykładem jest cyniczne stwierdzenie Tuska: „Będziemy stosować prawo tak, jak my je rozumiemy, a nawet będziemy je niekiedy łamali".

A jak wytłumaczyć przemianę Tuska z dawnego przyjaciela Putina w jego obecnego wroga? Jak wyjaśnić oskarżanie polskich patriotów o wspieranie interesów Moskwy? Dla socjopaty to żaden problem. Ponieważ sensem jego działania jest wyłącznie władza, nic nie stoi na przeszkodzie, aby swoimi kanałami przekonać Putina, że krytyka pod jego adresem to jedynie chwyt erystyczny, w pełni zrozumiały – wszak polskie społeczeństwo tradycyjnie oczekuje tego od swoich przywódców. Więc Tusk pozostanie człowiekiem Moskwy w Warszawie i jednocześnie reprezentantem interesów Berlina.

eprasa.pl e4f04804a5

Baba Jaga i Quasimodo



Andrzej Rafał Potocki

Gen. armii Walerij Gierasimow to szef sztabu wojsk Kacapii, *de facto* zbrodniarz wojenny objęty sankcjami UE i USA oraz innych krajów. Poszukiwany przez Międzynarodowy Trybunał Karny od 25 czerwca 2024 r. moskiewski generał w ostatnim czasie wizytuje kolejne odcinki frontu. Pobudzona aktywnością Gierasimowa część analityków twierdzi, że Kreml przygotowuje wiosenno-letnią ofensywę w Donbasie. Uderzenie może ruszyć najpóźniej w połowie maja. Zdaniem płk. Piotra Lewandowskiego, wykładowcy wojskowego, wizytacje Gierasimowa to typowy dla armii Moskwy sygnał, który poprzedza wznowienie działań na większą skalę. O pierwszych symptomach zbliżającej się ofensywy poinformował 19 marca sztab Sił Zbrojnych Ukrainy. Hordy orków ze Wschodu rozpoczęły atak na trzech kierunkach jednocześnie, angażując piechotę, dziesiątki pojazdów opancerzonych oraz ponad 100 motocykli, buggy i pojazdów terenowych. Skala akcji wyraźnie przekraczała to, co obserwowano na froncie w ostatnich miesiącach. Kluczowe pozostaje pytanie o kierunek uderzenia. Według płk. Piotra Lewandowskiego tym razem scenariusz może być inny. „Sądzę, że głównym kierunkiem będzie uderzenie na Kramatorsk i Słowiańsk" – mówi. Chodzi o tzw. pas twierdz w Donbasie – system silnie ufortyfikowanych pozycji obronnych rozciągających się od Siewierska właśnie przez Słowiańsk po Kramatorsk. To ostatnia główna linia ukraińskiej obrony w regionie. Jej przełamanie otworzyłoby Kacapom drogę w głąb obwodu donieckiego. Wróg może próbować ataku z kilku kierunków jednocześnie, m.in. od strony Siewierska i Łymanu, aby przełamać obronę i otworzyć sobie drogę dalej na zachód. Pożyjemy, zobaczymy, bo na razie stroną atakującą są Tryzuby.

Ukraińcom udało się odsunięcie wojsk Kremla od Pokrowska. Front został przesunięty na ponad 16 km od miasta, podczas gdy jeszcze niedawno Moskale znajdowali się w odległości zaledwie kilku kilometrów. Oznacza to, że znaczna część wrażej artylerii wypadła z zasięgu, a intensywność ataków dronami FPV powinna się zmniejszyć. Według portalu Defence24 najważniejsze wydarzenia rozgrywają się obecnie na styku obwodów dniepropietrowskiego i zaporoskiego. Ukraińskie oddziały przeprowadziły skoordynowane uderzenie w słabsze punkty obrony przeciwnika, wbijając się klinem między różne zgrupowania. W ciągu kilku dni walk udało im się przesunąć linię frontu o 10–15 km, dotrzeć do miejscowości takich jak Nowohryhoriwka i jednocześnie zbliżyć się do kluczowych tras zaopatrzeniowych wojsk Moskwy. Ukraińcy uderzają również na flankach i tyłach, starając się rozbić spójność i zmusić do odwrotu siły Kremla. Jednocześnie Kacap nie porzuca swoich planów ofensywnych w rejonie Zaporoża, zwłaszcza w kierunku Orichiwa, który pozostaje jednym z głównych ukraińskich punktów oporu. Walki na tym obszarze mają charakter bardzo dynamiczny, ale do tej pory żadnej ze stron nie udało się osiągnąć przewagi. Na razie złapał Kozak Moskwicina, a Moskwicin za łeb trzyma.

Ukraińcy wzięli do niewoli bojca, który się poddał. Teoretycznie żadna nowość. Natomiast Ruski prawdopodobnie przyciągnie uwagę naukowców świata. Sądząc ze zdjęcia, jest brakującym ogniwem w teorii ewolucji Darwina. Równie ciekawy co wygląd jest jego życiorys. 45-letni Siergiej pochodzi z Udmurcji (naród ugrofiński), republiki w europejskiej części Federacji Moskiewskiej położonej w rejonie Wołgi. Historia tego Quasimodo trafiła do sieci za pośrednictwem 3. Brygady Operacyjnej „Spartan". Mężczyzna odbywał w Kacapii karę najpierw za pobicie emeryta i rabunek, potem za kradzież metalu. Tuż przed wyjazdem na front groziła mu trzecia odsiadka za to, że zadał ciosy nożem własnemu bratu. Zrobił to prawdopodobnie z zazdrości. Wstąpił do armii i po odbyciu dwudniowego (sic!) przeszkolenia trafił na front. Nie oddał nawet jednego strzału. Na polu bitwy brzydal spotkał się z dronem. Oddajmy mu głos: „Kiedy bezzałogowiec Spartan zaproponował poddanie się, nawet się nie wahałem [drony Spartan w zależności od typu misji mogą mieć zainstalowane megafony – przyp. aut.]. Słyszałem w rosyjskiej telewizji, że Ukraińcy mają potężne bezzałogowe samoloty Baba Jaga, które wysadzają schrony. Dlatego nie chciałem stać się celem takiego drona". Na filmie opowiadał także, że był jednym ze swojej grupy, który przeżył. Jeden z jego towarzyszy wysadził się granatem w drodze do punktu kontrolnego, a drugi zginął prawdopodobnie w ataku drona. Mogła to być Baba Jaga. Cytując klasyka: „To, proszę państwa, w pale się nie mieści".

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e4f04804a5

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wielkanoc jest w nas



Aleksander Nalaskowski

Wielkanoc nie przychodzi tylko z kalendarza. Nie zaczyna się w chwili, gdy na stole pojawia się biały obrus, a w powietrzu unosi się zapach żurku. Zaczyna się znacznie wcześniej – gdzieś w środku nas, w miejscu, do którego rzadko zaglądamy. Bo jeśli Wielkanoc ma mieć sens, nie jest jedynie świętem. Jest procesem. Tak jak procesem była śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. Tragedia i radość. Empiria i wiara.

Zima, która poprzedza wiosnę, ma w sobie coś z naszego codziennego zmęczenia. Krótkie dni, długie wieczory, ciężar obowiązków i powtarzalność, która potrafi przytłoczyć. Ile razy łapiemy się na tym, że funkcjonujemy jak gdyby „na przetrwanie"? Odhaczamy kolejne zadania, odpowiadamy na wiadomości, realizujemy cele, ale gdzieś po drodze gubimy siebie. Właśnie w tym miejscu zaczyna się cicha potrzeba Wielkanocy – potrzeba odrodzenia.

Nie chodzi jednak o nagłą przemianę, spektakularny zwrot akcji czy noworoczne postanowienia przeniesione na wiosnę. Wielkanoc w nas dzieje się subtelnie. To moment, kiedy po raz pierwszy od dawna czujemy, że coś może być inaczej. Że nie musimy tkwić w schematach, które nas ograniczają. Że mamy w sobie zdolność do zmiany, nawet jeśli jeszcze nie wiemy, jak ona dokładnie będzie wyglądać.

Symbole, które znamy od dzieciństwa – jajko, zieleń, światło – nie są przypadkowe. Jajko jest przecież zamknięciem i początkiem jednocześnie. Z zewnątrz kruche, w środku pełne życia. Ile takich „jajek" nosimy w sobie? Ile pomysłów, uczuć, decyzji czeka na moment, w którym odważymy się je „rozbić", by mogło się wydarzyć coś nowego?

A przecież to rozbijanie nie jest łatwe. Wymaga odwagi. Wymaga przyznania, że coś się skończyło – relacja, etap życia, sposób myślenia. Wielkanoc jest nie tylko o radości, lecz także o stracie. O tym, że zanim coś się odrodzi, coś musi odejść. I może właśnie dlatego tak często wolimy zatrzymać się na powierzchni świątecznych rytuałów. Bo one są bezpieczne. Przewidywalne. Nie wymagają konfrontacji z tym, co w nas trudne.

A jednak każdy z nas choć raz doświadcza swojego „poranka wielkanocnego". To może być chwila ulgi po długim kryzysie. Decyzja, która zmienia kierunek życia. Spotkanie, które przywraca wiarę w ludzi. Albo bardzo ciche, prawie niezauważalne uczucie, że „już nie jest tak ciężko, jak było".

To są nasze osobiste zmartwychwstania. Niewidoczne dla świata, a jednak fundamentalne. Nie towarzyszą im dzwony ani uroczyste procesje, ale mają w sobie tę samą istotę, tę samą moc – przejście od tego, co martwe, do tego, co żywe.

Wielkanoc w każdym z nas to także pytanie o nadzieję. Nie tę naiwną, która zakłada, że wszystko samo się ułoży, ale tę dojrzałą, która mówi: „mimo wszystko warto próbować". W świecie, który często podsuwa nam narrację o kryzysie, konflikcie i zmęczeniu, nadzieja staje się aktem odwagi.

Wielkanoc w żadnym z nas nie jest idealna. Nie zawsze przychodzi na czas. Niekiedy się spóźnia, niekiedy zaskakuje. Ale jeśli tylko damy jej miejsce, zaczyna działać

Może dlatego tak bardzo potrzebujemy tych świąt. Nie dla tradycji samej w sobie, choć daje ona poczucie ciągłości i zakorzenienia. Potrzebujemy ich jako przypomnienia, że cykle istnieją. Że po zimie nadchodzi wiosna, nawet jeśli wydaje się to niemożliwe. Że życie ma zdolność odnawiania się, nawet w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Ale Wielkanoc nie kończy się w poniedziałek. Jeśli ma być czymś więcej niż tylko datą, musi zostać z nami na dłużej. W codziennych decyzjach, w sposobie, w jaki traktujemy innych, w gotowości do zaczynania od nowa – nawet po porażkach.

Bo może najważniejsze pytanie brzmi nie: czy świętujemy Wielkanoc, ale czy pozwalamy sobie na odrodzenie. Czy dajemy sobie prawo do zmiany? Czy potrafimy wybaczyć – innym i sobie? Czy jesteśmy w stanie zaufać, że to, co w nas jeszcze kruche i niepewne, ma szansę stać się czymś żywym?

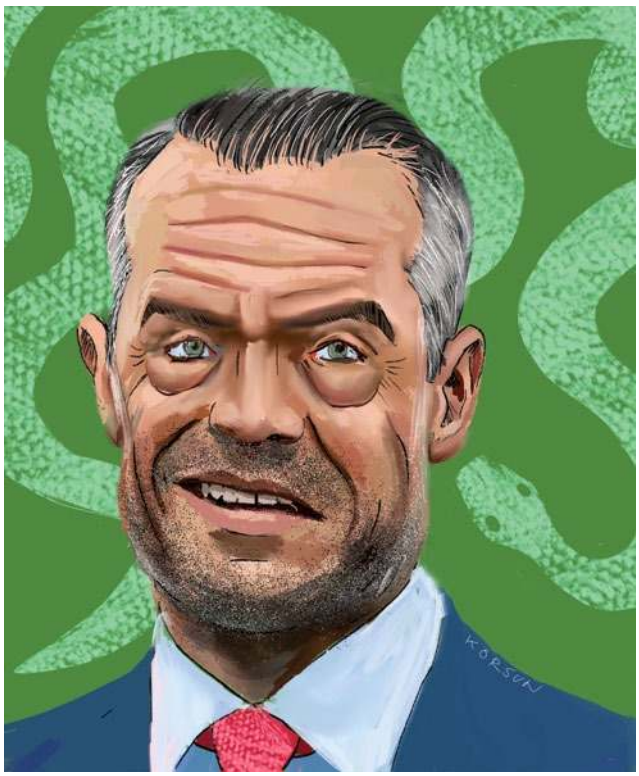
Wielkanoc w żadnym z nas nie jest idealna. Nie zawsze przychodzi na czas. Niekiedy się spóźnia, niekiedy zaskakuje. Ale jeśli tylko damy jej miejsce, zaczyna działać – cicho, konsekwentnie, nieodwracalnie.

I może właśnie w tym tkwi jej największa siła. Nie w wielkich gestach, lecz w drobnych przesunięciach. W decyzji, by spróbować jeszcze raz. W zgodzie na to, że życie – mimo wszystko – potrafi się odradzać.

A skoro tak, to może i my potrafimy?

eprasa.pl e4f04804a5

***Michał Korsun prezentuje:* Sławomir Nowak kąsa prokuratora, który zajmował się jego śledztwem**



Wycinki z przeszłości

Wielkie przestępstwa mają różne oblicza. W 1922 r. „Dziennik Zagłębia" donosił o „olbrzymiej kradzieży" w Sosnowcu – Janowi Żurkowi skradziono... główkę kapusty. Sprawcą był sosnowiczanin Ignacy R., a sprawa nabrała zaskakującej powagi: „O tę olbrzymią kradzież policja spisała również olbrzymią ilość papieru i sprawę skierowano do sądu".

(sp)


DZIENNIK ZAGŁĘBIA

Organ poświęcony sprawom politycznym, gospodarczym i społecznym Zagłębia Dąbrowskiego.

Nr. 46. mk. 600.

Nr. 46. Sosnowiec, sobota 4 listopada 1922 r.

Olbrzymia kradzież.

Janowi Zurkowi skradziono z wozu 1 główkę kapusty. Kradzieży tej dopuścił się sosnowiczanin Ignacy R.

O tę olbrzymią kradzież policja spisała również olbrzymią ilość papieru i sprawę skierowano do sądu.

Dziecko Pogromcy

Rząd angorski a konferencja pokojowa.

Rok 1863

Wierna Rzeka

Z WOLEJA

Fergusson, Simeone i nasi



Ryszard Czarnecki

Trener nie jest jak saper, który myli się tylko raz. Trener może pomylić się wiele razy, ale i tak to fucha obarczona dużym ryzykiem. Piłkarze, siatkarze czy koszykarze, nawet gdy grają kiepsko, mogą co najwyżej wylądować na ławce rezerwowych (w przypadku piłki siatkowej: w „kwadracie") albo zostać przesuniętymi do tzw. drugiego zespołu danego klubu (to już tylko w futbolu) i tak dograć sezon, biorąc kasę. W przypadku trenerów jest prościej i okrutniej: albo-albo. Dziś trenujesz – jutro wylatujesz.

Trenerska karuzela to niestety norma. W tym sezonie piłkarskiej Ekstraklasy, jeszcze przecież niezakończonym, robotę stracili trenerzy już w 7 klubach na 18. Ostatnim, który wyleciał, był szkoleniowiec Arki Gdynia. Pracował 15 miesięcy, wprowadził klub do Ekstraklasy, ale w tym sezonie zanotował rekordową serię porażek na wyjeździe: na 13 meczów przegrał 11 i wygrał tylko 1. Paradoksalnie odszedł niedługo po jedynej wiktorii poza własnym stadionem, i to okazałej (3:0) z mistrzem jesieni Wisłą Płock.

Trenerzy klubów z najwyższego szczebla rozgrywek w futbolu i siatkówce dość często zamieniają trenerską ławkę na studio telewizyjne, komentując mecze. Bywa, że są bezrobotni nawet kilkanaście miesięcy, a jednak olbrzymia większość z nich znów wskakuje na karuzelę, choć nie zawsze na najwyższym poziomie rozgrywkowym.

Dziś mamy ofensywę polskich szkoleniowców, zwłaszcza w piłkarskiej Ekstraklasie. Gdy chodzi o czołówkę, to na osiem pierwszych zespołów Polacy trenują aż sześć. Inna sprawa, że dwa, które pozostają w rękach zagranicznych szkoleniowców, dziś mają zagwarantowaną grę w europejskich pucharach, bo zajmują miejsca pierwsze (Lech Poznań) i czwarte (Górnik Zabrze). W stolicy Wielkopolski pracuje Duńczyk, a w klubie Ernesta Pola i Włodzimierza Lubańskiego – Słowak.

Za granicą największą karuzelę trenerską miało Atletico Madryt. Za legendarnego prezesa Jesúsa Gila w ciągu 16 lat pracowało (i wyleciało) 26 trenerów. Ciekawe, że owe permanentne dymisje przełożyły się z jednej strony na zdobycie w 1996 r. dubletu w postaci mistrzostwa kraju i Pucharu Króla, a z drugiej na degradację do II ligi cztery lata później.

Dzisiaj Atletico – Los Colchoneros (czyli Materacowcy – nazwa wzięła się z tego, że na początku XX w. jego zawodnicy grali w koszulkach w kolorach najbardziej wówczas popularnych materaców na łóżka) poszło w drugą skrajność. Trenerem jest od... 15 (!) lat Argentyńczyk Diego Simeone. Do rekordu sir Alexa Fergusona, który przez 27 lat trenował Manchester United, trochę mu jednak brakuje...

eprasa.pl e4f04804a5

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Skażeni przez grę

Rozważmy tezę: głównie rządzą nami ludzie, z którymi nie chcielibyśmy żyć na co dzień. Albo podobną, którą wypowiada bohater współczesnego francuskiego filmu, doker na rencie: „Nie stać nas, byśmy nie wykonywali pracy dla idiotów".

Albo przyjrzyjmy się losom, a zwłaszcza psychice bohaterów takiego serialu jak „Branża" („Industry"), o młodych, ambitnych pracownikach banku inwestycyjnego. Lub przypomnijmy sobie kultowy serial „House of cards", czyli studium manipulacji politycznej na najwyższym pułapie.

Ale co tam kino. Pomińmy artystyczną fikcję (która szczerze mówiąc, wcale fikcją nie jest) i skupmy uwagę na networku realnym, czyli sieci powiązań i pokus Jeffreya Epsteina oraz jego „osiągnięciach".

I skonfrontujmy to wszystko z nadchodzącymi świętami Wielkiej Nocy, czyli Zmartwychwstania Pańskiego. Przypomnijmy sobie, że to o tych świętach wybitny teolog Joseph Ratzinger mówił, że niosą ze sobą „czar nowego początku".

WYBRAĆ GRĘ

Czy w obliczu „czaru nowego początku" przynoszonego przez Zmartwychwstanie dalej jesteśmy zmuszeni, by czuć się bezradni wobec idiotów, dla których muszą pracować miliony ludzi albo wobec manipulantów, na których musimy głosować w kolejnych wyborach?

No dobrze, to jakie mamy pole wyboru? Jako istoty ludzkie, jako pracownicy, jako obywatele? Gdzie jest przestrzeń do manewrowania?

Odpowiedź jest prostsza, niż by się mogło wydawać, choć wcale niełatwa w realizacji. Nasze pole wyboru jest ogromne. Przestrzenią do manewrowania jest każdy dzień naszego życia. Musimy sobie tylko odpowiedzieć, czy mamy odwagę z niej skorzystać.

To miejsce do manewrowania jest zresztą tam, gdzie zawsze było: w codziennych wyborach, które składają się na to, kim jesteśmy. Problem w tym, że przestaliśmy im przypisywać znaczenie.



Pusty grób nie jest symbolem ucieczki od rzeczywistości – raczej znakiem jej radykalnej przemiany

ZMIENIĆ REGUŁY

Nie jest tak, że młodzi bankierzy z „Branży" budzą się pewnego dnia jako moralnie wypalone potwory. Stają się nimi po tysiącu drobnych, moralnie wątpliwych ustępstw: kolejny raz nie sprzeciwiają się kłamstwu, przemilczają manipulację, udają, że nie widzą krzywdy. Machina się toczy, bo wszyscy mówią: „Taka jest gra". Czyż nie na takim założeniu Epstein budował swoją sieć wpływów? To jest gra, ponoć wszyscy w niej uczestniczą, sądząc, że każdego można wciągnąć albo kupić.

Ale oto wielkanocna prowokacja: „czar nowego początku". W te gry nie zawsze musimy grać. Albo przynajmniej nie musimy grać według ich zasad. Nie oznacza to od razu rewolucyjnego zrywu albo heroicznego wycofania się ze świata. To raczej coś bardziej fundamentalnego. Odzyskanie poczucia, że nasze czyny mają wagę. Że możemy odmówić uczestnictwa w kłamstwie – nawet jeśli wszyscy wokół udają, że go nie ma. Że możemy wybrać pracę mniej prestiżową, ale taką, którą wykonujemy dla kogoś, kogo szanujemy. Że w wyborach politycznych możemy głosować na kogoś mniej medialnego, mniej przebojowego, ale uczciwego. Codziennie dokonujemy setek różnych wyborów. Wybieramy rozmowę z dzieckiem zamiast kolejnego scrollowania telefonu. Nie powtarzamy paskudnej plotki o koledze, choć wszyscy to robią.

Nie musimy respektować zasady, że „taka jest gra". Myślmy raczej, kim będziemy po jej zakończeniu.

TAJEMNICA, KTÓRA WYKLUCZA BEZRADNOŚĆ

Zmartwychwstanie nie jest po prostu *zakończeniem*. W sensie zakończenia opowieści o życiu Jezusa Chrystusa – takim przysłowiowym *happy endem*. Wielkanoc przypomina nam, że przy pustym grobie nastąpił punkt zwrotny historii ludzkości.

To nie jest tylko wspomnienie wydarzenia sprzed 2 tys. lat. To nie tylko początek chrześcijaństwa.

Pusty grób nie jest symbolem ucieczki od rzeczywistości – raczej znakiem jej radykalnej przemiany. W sensie kulturowym zmartwychwstanie przyniosło zmianę sposobu myślenia o życiu i śmierci. Dało przestrzeń, by wybrzmiała idea, że zło i śmierć nie mają ostatniego słowa, że logikę przemocy i śmierci można przełamać. Otworzyło nową perspektywę na ludzki świat, nową wizję człowieka i jego godności, projekt cywilizacji bazującej na przebaczeniu i miłosierdziu.

To się jeszcze nie skończyło.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl e4f04804a5

wPolsce 24

MINĘŁA 20:05

Rozliczamy polityków i piętnujemy absurdy – od poniedziałku do soboty o 20:05



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

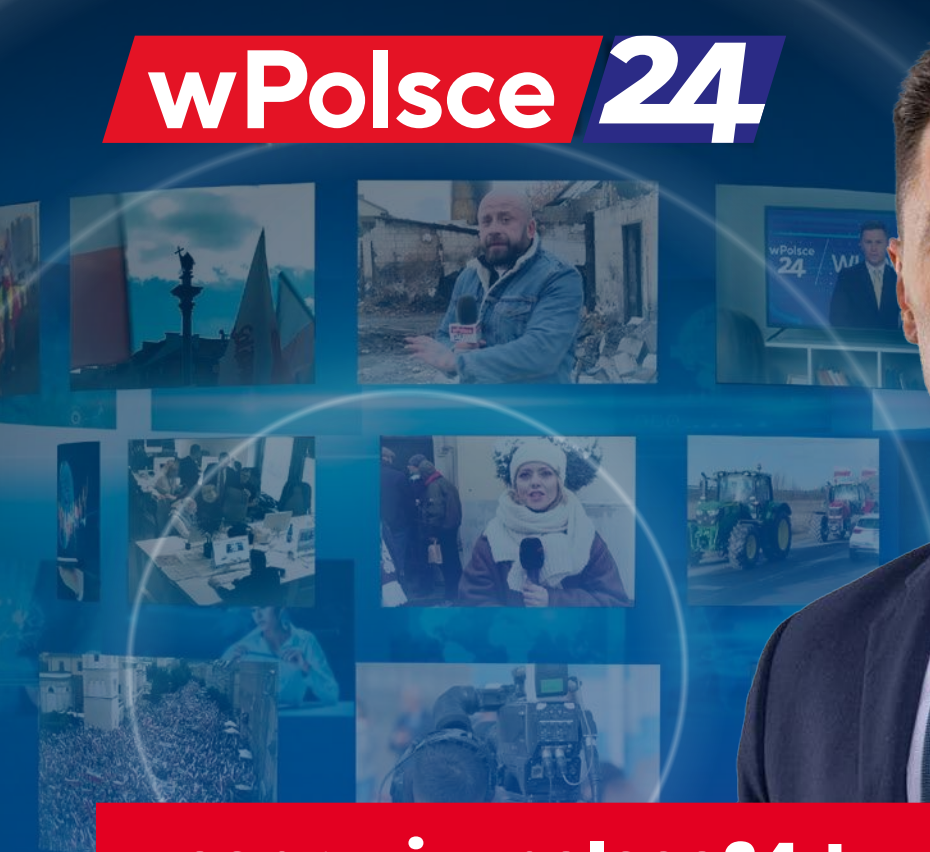
52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl e4f04804a5

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce24





Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl e4f